

POZNANIAK

Na

Dzikim Zachodzie

Od autora

Czytelniku moje wspomnienia obnażają moją osobę na tle innych osób i wydarzeń. Zastanawiałem się nieraz, czy można napisać o sobie obiektywnie? Chyba jednak nie! My zawsze widzimy siebie inaczej, aniżeli ocenia nas otoczenie. Ani jedno, ani drugie spojrzenie nie jest na pewno czystą prawdą o sobie.

Wiem że nasze odczucia, nasze myśli, nasze tęsknoty- nie są udziałem, nawet naszych najbliższych!

Człowiek nieustannie szuka swojej tożsamości, zadaje sobie pytanie, skąd jestem? Jacy byli moi przodkowie ?

Czy byli ludźmi uczciwymi, patriotycznymi- czy egoistycznymi snobami?

Te wspomnienia piszę dla syna i nuka. Może kiedyś zajrzą do nich i coś w swoim życiu zmienią na lepsze?

Janusz Nowak

Rok 2008

Lipiec 1945 roku. Pierwszy raz wybieramy się w podróż do Wrocławia, to znaczy ja z matką. Mój ojciec jest tam już od miesiąca. Pracuje przy odbudowie zakładów Taboru kolejowego. Otrzymaliśmy list od niego, w którym pisze że mieszka u Niemki na pokojiu, a nasze przyszłe mieszkanie jest w remoncie. Pocisk wywalił dziurę w ścianie.

Informuje nas, że rodaków jest jeszcze mało a gruzu na ulicach i w fabrykach 45 bardzo dużo. Wrocław został przez Niemców i później przez działania wojenne zrównany z ziemią. Po wypędzeniu cywilów, wojsko rozkazem Hitlera uczyniło z miasta twierdzę, która walczyła do 7 maja 1945 roku.

Miasto zabytkowe, historyczne, miasto różnych kultur, w okresach historycznych znajdowało się pod panowaniem polskim, czeskim, austriackim i niemieckim. Zamieszkiwało tu 600 tysięcy mieszkańców do 1945 roku.

Miasto stu kościołów i stu mostów, znanego na świecie Uniwersytetu – położone na terenach nizinnych po obu stronach rzeki Odry, na obszarze większym aniżeli nasza stolica Warszawa. Miasto posiadające dużo zieleni w postaci parków, kilka stacji kolejowych i niegdyś posiadające dużą liczbę fabryk i zakładów produkcyjnych..

Pierwszych Polaków, którzy tutaj przyjechali ażeby uruchamiać zakłady i fabryki, tak jak i mojego ojca nazywano ‘Pionierami’ na podobieństwo pierwszych osadników amerykańskich osiedlających się na preriach obu Ameryk..

Na te tereny opuszczone przez Niemców przyjeżdżali również dość wcześnie Polacy którzy penetrowali różne miejsca, ażeby zdobyć pozostawione przedmioty wartościowe i maszyny, oraz urządzenia, tych nazywano „szabrownikami”. Byli to ludzie niejednokrotnie niebezpieczni i bez skrupułów zarówno dla ludności Niemieckiej jak i dopiero, co osiadłej ludności Polskiej.

Była jeszcze inna grupa Polaków, którzy nie byli bogaci, ale słyszeli od przyjezdnych którzy już tam byli że tam można zdobyć olbrzymie bogactwa, które leżą prawie na ulicy, jak w bajce o skarbach, a naprawdę to było mianowicie bardziej prozaicznie. Po prostu rodziny niemieckie szykujące się do wyjazdu sprzedawały większość swojego życiowego dorobku. Można było tanio kupić różne sprzęty jak np. maszyny do szycia, porcelanę, zegary z kukułką, garnki i materiały ubraniowe, kupowano wszystko to, czego w czasie wojny dla Polaków nie było, ale było „Nur für Deutsche..

Z całej centralnej polski pociągi jadące na ziemie zachodnie, jak i również z Poznania do Wrocławia były zapchane i nabite że ‘palca nie wciśniesz’

W taką podróż wybrałem się z matką. Z wielkim trudem udało nam się wcisnąć, ale tylko na pomost. Ja stoję w harmonijce łączącej dwa wagony. Huk i przeciągi panują tu okropne. Jest taki ścisk, że nawet do ubikacji się nie dostanie człowiek, ponieważ jest ona cały czas zajęta.

Cały ratunek dla nas będzie, jeżeli ludzie po drodze będą wysiadali. Np. w Kościanie, Lesznie i na dalszej trasie. Niektórzy pasażerowie jadą na stopniach, a nawet na dachu.

Wiemy już od innych, że do Wrocławia pojedziemy przez Oleśnice – drogą okrężną, ponieważ za Żmigrodem w miejscowości Szewce jest zbombardowany most na rzece i nie da się przez niego przejechać.

Podróż trwała wiele godzin, nogi bolały mnie okropnie, zmrok zaczął już zapadać, kiedy dowleliśmy się w nocy do miasta Oleśnica. Tortura stania w ścisku była już nie do wytrzymania, obsunąłem się na tą brudną podłogę i tak w kucki całkowicie zrezygnowany, popadałem w przerywaną drzemkę. Dobrze, że chociaż od pewnego czasu nikt nie dosiadał na stacjach, bo to zawsze powodowało upychanie i tracenie poprzednio zdobytej pozycji. Były chwile, że żałowałem mojej decyzji ażeby jechać teraz w tym okresie największego nasilenia

Tej „gorączki złota” - ale z drugiej strony nie mogłem się zgodzić, ażeby matka sama jechała – byłem już przecież mężczyzną!

W tych momentach zasypiania wydawało mi się, że jest wojna na świecie. Zima daje nam popalić? W mieszkaniu na Niegolewskich czyli Graf Spee Strasse w Poznaniu nie mamy już żadnego opału, żadnych brykietów ani drewniaków którymi można by rozgrzać przystawkę do pieca kaflowego? Siedzimy wszyscy przy zimnym piecu jakbyśmy chcieli go naszymi oddechami ogrzać?

Zimna woda w kranie też zamarzła? A pić się chce! Teresa poszła lizać wzorki na szybach.

Robi małe przejrzyste okienka. Widać przez nie świat za oknem, czyli poddasza domu z przeciwka. Mieszkamy w zamkniętym podwórku, jak w studni?

W żołądku coś piszczy i ssie! Od dawna nie mamy już skórek z ziemniaków. Kiedyś matka je przynosiła od Niemki. Ojca jeszcze niema. Nie wrócił z pracy.

Matka okrywa nas jakimiś szmatami, które imitują koce? One nic ciepła nie dają a raczej odwrotnie, jeszcze chłodzą jak lód?

Budzę się, bo rzeczywiście jakiś ziąb idzie od otwartego okna? Ktoś nie mógł. Już wytrzymać ludzkiego smrodu od ściśniętych ciał i otworzył okno!

Pociąg pędzi, zimno nocy wdziera się do środka! Ktoś tam krzyknął ażeby zamknąć to okno!

Jak poprzednio gwar rozmów to się nasilał to opadał to teraz zapanowała cisza zakłócana tylko czymś chrapaniem?

Niech się wreszcie ta mordęga skończy! Nie mam zupełnie rozeznanie ile kilometrów jeszcze mamy do przejechania do tego tajemniczego nieznanego Wrocławia?

Jest głęboka noc! Tak mi się wydaje! Już dawno straciłem rachubę czasu przez to zasypianie.

Zmieniam pozycję z siedzącej na podłodze, na pozycję wciśniętego pomiędzy dwóch mężczyzn na pomoście, również siedzących w kucki!

Nareszcie cieplej od sąsiadów. Grzejemy się wzajemnie! Zapadam znowu w sen! Przez moment pomyślałem gdzie jest matka? Ale ją wepchnięto głębiej do korytarza! Pewnie też tam ledwo dyszy? Wiem że o mnie się nie martwi? Wie że wojna nauczyła mnie jak sobie radzić?

Pociąg szarpnął! Obudziłem się! Gwar głosów podniesionych? Usłyszałem czyjeś słowa „-chyba dojeżdżamy- to już Wrocław!

Rzeczywiście zwalniamy i po chwili wtaczamy się na peron?

Jak sprawdziłem później na mapie, to okazało się że nasz pociąg okrążył Wrocław od strony zachodniej i południowej, tak że teraz jechaliśmy od strony Opola. Nie potrafię powiedzieć o której w nocy wtoczyliśmy się na stacje Wrocław-Nadodrze. Ludzie wysypali się na peron!

*

Zimno nocy ogarnęło mnie jak chłust zimnej wody, a dreszcze wprowadziły w dygot całego ciała, kiedy nagle wyłonił się z tłumu mój ojciec. Całowania się i ściskania nie było końca. Taką radość przeżywałem tylko wtedy, kiedy ojciec wrócił z niewoli 1939 roku. Okazało się, że nasz pociąg miał cztery godziny spóźnienia, wszystko to przez ten przymusowy postój pod Oleśnicą, kiedy to przepuszczaliśmy transport wojskowy. Jak to dobrze, że ojciec na nas czekał tak długo? Co my byśmy z matką zrobili, biedne sieroty w wymarłym mieście gdzie nawet o adres nie ma się, kogo zapytać?

Dobrzeż nie mieliśmy bagażu. Wyszliśmy na zewnątrz stacji ojciec rozglądał się, czy nie podjedzie, jaki samochód, czy to wojskowy polski, czy też ciężarówka rosyjska. Niestety nic nie było. Postanowiliśmy ruszyć w kierunku szpitala na ulicę główną przelotowa.

Rzeczywiście po chwili zauważyliśmy wagon tramwaju remontowego. Zatrzymaliśmy przed wiaduktem kolejowym, na wysokości szpitala. Jeszcze ktoś z nami się zabrał. Motorniczy powiedział że za kilka dni spodziewa się też rodziny z Łodzi, tak, że wszystko rozumie.

Dodał jeszcze, że chodzenie pieszo w nocy po ulicach jest niebezpieczne, nieraz widział pijanych żołnierzy rosyjskich jak zaczepiali ludzi mówiąc na nich „germańcy „i odbierali im zegarki albo rowery. Strzelaninę mówił to słyhać, co noc. Polacy nie posiadają broni i nie mogą się bronić przed takimi grupami pijanych żołdaków. Ta ich żandarmeria jeździ”wilisami ”po mieście ,ale kiedy są potrzebni to ich nie ma Odległość, którą przebyliśmy tramwajem to wprawdzie dwa przystanki, ale bardzo długie włącznie z przejazdem przez Odrę mostem Trzebnickim.

Po przejechaniu mostu znaleźliśmy się na pętli końcowej.

A stąd trzeba iść do bloków pieszo. W nocy wydawało się dość daleko. Kiedy byliśmy na alejce, bo tak ojciec nazywał drogę pomiędzy ogrodami prowadzącą do kompleksu niezbyt wysokich , ale nowych bloków mieszkalnych.

Po chwili byliśmy w mieszkaniu. Niemka ukazała się ze swojego pokoju i zapytała nas czy, może nam zrobić herbatę. Byłem tak okropnie zmęczony, kiedy ojciec wskazał mi tapczan, na którym mam spać, to chyba nawet bez mycia padłem na niego i po chwili spałem snem najgłębszym z możliwych.

Obudziłem się wypoczęty , gotowy na spotkanie z nową przygodą. W kuchni już zastałem mamę i tatę ,przygotowywali śniadanie. Może to wydawać się dziwne że ojciec krzątał się po kuchni ,nigdy poprzednio nie wtrącał się mamie do garnków ,ale widocznie ten rok samodzielnego życia zmusił go do samodzielnego przyrządzania posiłków, a ponadto mama w obcej kuchni nie orientowała się które to nasze produkty!

W trakcie śniadania rozglądałem się po kuchni. Strasznie dużo tutaj było różnych drobiazgów. Makatki były wszędzie na ścianach ,na ławach , na kredensach. Na tych wiszących wyhaftowane różne hasła, widocznie Niemcy, jako naród zdyscyplinowany lubią sobie codziennie wbijać do głowy praktyczne rady i zasady życia. Nie jest to na pewno głupie! My Poznaniacy mamy też w sobie pewna praktyczność, pewnie nauczyliśmy się tego od nich ! – I niema czego się wstydzić !

Dowiedziałem się w trakcie śniadania , jakie plany są na dzisiaj!.Za godzinę wyruszamy na drugą stronę Odry , w pobliże stacji Nadodrze na wielkie targowisko!

Kiedy dotarliśmy do tego miejsca, do którego wszyscy przyjeżdżający zazwyczaj się udawali, to oczom ukazał się niecodzienny widok – dziwna ulica!

Ulica zasypana gruzem, nieprzejezdna dla żadnego pojazdu. W niektórych odcinkach fronty domów stoją sobie nie wzruszone , tylko że nie ma w nich stropów i dachów . Fasady tych szkieleatów na ogół pięcio piętowych kamienic kiedyś chlubiły się swoją świetnością architektury secesyjnej. Wysokie smukłe okna, nad nimi ozdobne ornamenty, przypominały mi ulicę Matejki z takimi samymi kamienicami w moim mieście Poznaniu.

Partery tych domów były niegdyś ekskluzywnymi sklepami ulica ta w przyszłości będzie się nazywała Bolesława Chrobrego . Z powodu bliskości dworca kolejowego Wrocław Nadodrze

Skupia wielu ludzi wzdłuż odcinka od placu do pierwszej przecznicy. Przyjezdni wiedzą że tutaj Niemcy ustawiają się wzdłuż tej ulicy i eksponują wszystko to co można spieniężyć. Drugim takim miejscem jest Plac później nazwany Grunwaldzkim a obecnie zwany popularnie „ szaber placem „

Handel ten jest niezbyt humanitarny, bo ci co sprzedają są w konieczności ze względu na głód i niedostatek, a kupujący dyktują im warunki, dając śmiesznie niskie ceny!

Chyba z dwa, albo trzy razy uczestniczyłem przy okazji przyjazdu z Poznania naszej rodziny w tych targowaniach.

Raz chyba nie wiem już co to było, być może że to był wazonik kryształowy. Kupiłem go za swoje uciulane pieniądze bez wiedzy oczywiście rodziców, a następnie będąc w Poznaniu sprzedałem z dość dużą korzyścią na Rynku Łazarskim. Wtedy pewnie odkryłem że mam również zamiłowanie do handlu.

Patrzę na te starsze kobiety i mężczyzn, chociaż tych ostatnich jest mniej. Przy nogach mają poustawiany swój dobytek. Polacy przechodzą wzdłuż tego szpaleru, dotykają, oglądają, łamaną niemczyzną próbują się dogadywać. Tych pięć lat okupacji trochę ludzi nauczyło języka. Kupujący to na ogół mężczyźni ale i kobiety również. Często ceny pertraktują też na palcach czyli na migi.

Muszę stwierdzić że nie zdarzało się aby znęcano się słownie, czy też czynnie nad tymi biedakami. Zastanawiałem się ile mieszkańców hitlerowcy wypędzili, a ile nie posłuchało rozkazu i pozostało w mieście. Patrząc na nich uświadamiam sobie że większość z nich zimą nie przeszła by nawet połowę drogi. Jaka to bestia z tego Hitlera który własny naród chciał wytepić! A ten naród tak jemu ufał, otaczał go prawie czcią boską, posłusznie wypełniał jego rozkazy i ginął!

Historia uczy że tacy szaleńcy, mordujący inne narody bez żadnych skrupułów, nie oszczędzą własnego w momencie kiedy im się grunt pali pod nogami.

Zdobywam się na odwagę i zaczynam rozmawiać z niektórymi. Są chętni i mówią śmiało o swoich planach wyjazdowych, chociaż niektórzy decydują się na mieszkanie w tym mieście wspólnie z Polakami. Mówią też o swojej biedzie, czy nawet głodzie. Ale nam też nie jest łatwo, jedzenia też nie mamy dużo, ograniczenia kartkowe pozwalają rozdzielać żywność na wszystkich, ale przede wszystkim na pracujących i ich rodziny. Ci wychudzeni Niemcy to już nie są ci sami butni cywile którzy jeszcze rok temu bili mnie po twarzy na ulicy w Poznaniu, czy na Dworcu Głównym kiedy ich prosiłem o kupno biletu do Kościana, ponieważ Polakom nie sprzedawano. Najgorsze były Niemieckie kobiety! Mówiły do mnie, a właściwie wrzeszczały na mnie –ty polska bezczelna świni! Musiałem wtedy szybko uciekać ażeby mnie policja nie aresztowała. I chociaż mówiłem po Niemiecku, to mój łatany ubiór mnie zdradzał!

Taka przemiana tego narodu ta lekcja pokory pozostanie w nich na całe pokolenia. Dopiero po wielu latach może pamięć zatrze krzywdy naszego narodu, oby nie było jednak tak że my jesteśmy winni ich krzywd. Nie wolno zapomnieć kto rozpętał tą okropną wojnę, i w jakim celu i jakimi środkami!

Targowanie trwało do godzin popołudniowych. Ludzie z różnymi tobołami, maszynami do szycia, zegarami i tym podobnymi rozchodzili się do swoich pociągów. my też postanowiliśmy wrócić do domu. Zwiedzanie dalszych części miasta przełożyć na jutro!

Niemka zrobiła nam niespodziankę. Z produktów pozostawionych przez ojca ugotowała smaczny obiad. Być może ojciec pozwalał jej na dożywianie się przy jego zaopatrzeniu. Prawdopodobnie jej racje były bardzo małe. Mama trochę podejrzliwie przelykała każdy kęs jak by się obawiała czy w tym obiedzie nie ma trucizny? Żadnym słowem nie dała poznać swoich nieufności i bacznie obserwowała jej twarz. Niemka początkowo była speszona tą lustracją, ale po chwili rozgadała się na dobre.

Przyjrzałem się jej bacznie, była chyba nieco starsza od matki, ale olbrzymi smutek w jej oczach pewnie ją jeszcze postarzał. Wsłuchiwałem się w to, co opowiadała. Nie wszystkie słowa rozumiałem, ale sens był mniej więcej taki: Po 12 stycznia, kiedy ruszyła Rosyjska ofensywa zimowa z nad Wisły nastąpiło przerwanie frontu na szerokości 90 kilometrów, wojska Niemieckie odrzucone zostały aż do granic Rzeszy. Potężne bastiony oporu Warszawa, Częstochowa, Kraków, Łódź, Piotrków, na środkowym odcinku, Tylża i Gąbin, Wytruć, Nidzica na północy, Koszce na południu zostały zdobyte szturmem. 19 stycznia rosyjskie armie podeszły do granicy Śląska pod Kluczborkiem i Kępem. 21 stycznia Rosjanie zajęli miasta Kluczbork, Olesno, Dobrodzień, Gorzów Śląski, Buczynę i ostrzeliwano już Bytom i Oleśnicę.

Wraz z nadciąganiem armii rosyjskiej rozpoczęto ewakuację ludności Śląska z obszarów po prawej stronie Odry. I teraz roztoczył się we Wrocławiu wstrząsający widok nieustannie dniem i nocą uciekającej ludności: nieprzerwane sznury chłopskich wozów, zaprzężonych w konie lub krowy, obok ręcznych wózków robotnic i kolumn jeńców wojennych, obcokrajowców, Rosjan, Francuzów, Serbów itd. Z saneczkami, na których wieźli swe tobołki. Straszliwy był widok tych wyniszczonych i zmarniałych ludzi, którzy ze swym skromnym mieniem musieli opuścić ziemię ojców. W Prusach Wschodnich specjalne formacje opróżniały mieszkania po odejściu ich właścicieli i podpały wsie i osady. Głównie byli to ludzie starsi i dzieci, lub młodsze kobiety, które tylko przy pomocy jeńców wojennych musiały uprawiać swoją rolę, bo mężowie ich walczyli na różnych frontach. Ta masowa ucieczka przypadła w dodatku w ostre dni zimy, gdy temperatura spada do 13-15 stopni. Dzieci zamarzały i ich krewni układają je na skraju ulicy. Do Wrocławskich kostnic zwożono pełne ciężarówki takich zamarzniętych dzieci. Do tutejszych szpitali przywożono sporą liczbę uchodźców z odmrożeniami. Ci uchodźcy przybywali z Warthelandu, czyli z kraju Warty od trzech dni byli w drodze, a nawet i dłużej.

Wrocław doczekał się również ewakuacji. Prawdziwa panika i zamęt ogarnęły masy. Dworce kolejowe były całymi dniami tak przepełnione, że przebrnięcie przez tłumy było niemożliwością. Wszyscy tłoczyli się do pociągów, które mogły przyjąć tylko ograniczoną liczbę uciekinierów; największa część musiała pozostać i próbować następnym razem. Tak więc większość ludzi zabierała wózki dziecięce i niezbędny bagaż, pieszo udając się szosą w niepewne. Obok chłopskich wozów ciągną nieprzerwane kolumny mieszczan. Którzy na wózkach dziecięcych i kolaskach wieźli swa chudobę ku nieznannej jeszcze i wątpliwej przystani?

Rozporządzenie władz Niemieckich o obowiązkowym ewakuowaniu się było zbrodnią popełnioną na niemieckim narodzie, było popychaniem do śmierci. Ze Świebodzic doniesiono telefonicznie, że tam u podnóża gór piętrzy się rzeka uchodźców. W zimnych stodołach, w zamarłych, lodowato zimnych fabrykach lokują się tłumy uchodźców. Okrutnie rzucono na ofiarę cały naród, bo niemieckiemu narodowi odjęto całkowicie prawo współdecydowania o swym losie. Stał się je3dynie krwawą ofiarą swoich wodzów.

Jakże straszny nastał sąd Boży nad narodem, którego rząd odrzucił Boga i jego prawa! Nasza Niemka przerwała na chwile swoją opowieść, łzy płynęły jej po twarzy. Na nas ten jej smutek i cierpienie też wywarło ogromne wrażenie zwłaszcza, że ojciec nam już wcześniej powiedział, co się stało z jej bliskimi. O tym, że mąż jej zginął pod Stalingradem, a ojciec i matka podczas bombardowania.

Czytając pamiętniki księdza Peikerta przebywającego wtedy we Wrocławiu można było się dowiedzieć jak wyglądał obraz tej niedoli ludzi. W szczytowym okresie ewakuacji ze wschodnich prowincji i zachodnich oraz Wrocławia wyniosła ona około 12 milionów. Ewakuowano w ostatnim okresie wielkie rolnicze obszary na wschodzie, Kraju Warty, z prowincji gdańskiej, Pomorza, Śląska i Brandenburgii, coraz dalej w głąb Niemiec, bo też rosyjska ofensywa zimowa z dużą szybkością parła na Berlin!

Rosjanie uderzają szybciej, niż uciekająca ludność zdąży się usunąć. Dopędzają często kilometrowe kolumny uciekinierów. Przypominam sobie, co się działo na polskich szosach w 1939 roku, kiedy Niemieckie kolumny parły na Warszawę, a ludność polska z miast i wsi zachodu uciekała na wschód, mieszała się z wojskiem, utrudniały organizowanie obrony, padała od bomb i serii karabinów maszynowych niemieckiego lotnictwa, na dodatek od kul zdrajców niemieckich dywersantów zamieszkujących tereny polskie w momencie wybuchu wojny. Nasze Polskie lasy nie dawały nawet schronienia wojsku i uciekinierom, bo ci dywersanci w cywilnych ubraniach umówionymi sygnałami naprowadzali atakujące nieustannie samoloty Niemieckie.

Co można powiedzieć porównując obie paniczne ewakuację- ucieczki, że na Niemców nie spadały bomby ani nie strzelano do tych kolumn cywilów jak do kaczek- Rosjanie tego nie robili?

Ksiądz Peikert naoczny świadek pisze, że w dniu 22.01.45 Roku Wrocław liczył 700.000 Mieszkańców razem z uchodźcami. A po ewakuacji liczył około 180- 200 tysięcy osób. Głównie byli to ludzie starsi i ich bliscy, którzy woleli nie narażać się na niebezpieczeństwa ucieczki.

Mimo to organy partyjne stosowały bezprzykładny terror, aby jeszcze i tych nielicznych usunąć z Wrocławia. Wrocław miał być utrzymany przez wojsko do ostatka i zachodziła obawa kryzysu żywnościowego przy długotrwałym oblężeniu, jeśli by tu pozostało zbyt wielu ludzi! Popelniono w tym czasie wiele samobójstw, zdarzały się liczne wypadki rozstrzeliwania ludzi i nawet funkcjonariuszy partyjnych i urzędników administracji, którzy widząc szybkie zbliżanie się Rosjan uciekali za przykładem idącym z góry. Tych, których złapano rozstrzelano. Nastąpił okres wzajemnego mordowania się. Mordowano jeńców, więźniów, oraz własnych żołnierzy i cywilów. Za defetyzm za brak wiary w Furera itp. Sprawy w śródmieściu wysadzano liczne domy. Mieszkańców tych domów w większości ewakuowano pod przymusem. Straszono, że zostaną wysadzeni razem z budynkami. Wolno im było zabierać tylko nieliczne rzeczy. Całe wyposażenie domu musiało pozostać. Domy wysadzano w powietrze. Nie zabezpieczywszy uprzednio w jakikolwiek sposób wyposażenia mieszkań. Sprzęt domowy pochłaniały gigantyczne masy gruzu. Piętrzyły się wysokie góry gruzu wymieszanego z meblami bielizną i obrazami.

Pierścień okrażenia wokół Wrocławia zacieśniał się.. Działa dalekosiężne ustawiono na wzniesieniu wsi Wysoki Kościół ostrzeliwały one dzień i noc śródmieście. Lotnictwo bombardowało dzień 0.000 i w noc poszczególne dzielnice miasta. Zrzucano ulotki nawołujące do poddania miasta. W języku niemieckim- przedstawiono w nich sytuację beznadziejną obrońców. Władza wojskowa z generałem Niechofem, i władza partyjna z Gauleiterem Hanke wolała doprowadzić do zguby własny naród i do całkowitego zniszczenia tego starego pięknego miasta dla fanatyzmu i idei szalonego Adolfa Hitlera . Tak się zazwyczaj dzieje, kiedy naród w swojej naiwności stawia na czele państwa osobę bez żadnych skrupułów, otaczającą się takimi samymi miernotami o niskich zwierzęcych instynktach.

100 tysięcy żołnierzy posłusznych swym dowódcom dzień w dzień ginęło niepotrzebnie, bo każdy trzeźwo myślący Niemiec już wiedział, że wojna jest przegrana.. A Wrocław płonął, dymy pożarów zasłaniały niebo. Mróz dawał się w znaki każdemu. Tymczasem Brenkomanda systematycznie burzyły i paliły dzielnice południowe miasta, niegdyś zamieszkałe przez bogatszych obywateli tego grodu.

W drugim dniu naszego pobytu, a była to chyba niedziela postanowiliśmy wyruszyć w miasto i zobaczyć to na własne oczy, o czym opowiadała nam Niemka. Od tych dni oblężenia, huku wystrzałów, Gwizdu bomb trzasku walących się domów, szalejących pożarów upłynęło już dwa miesiące. Odeszły do niewoli pokonane wojska hitlerowskie. Trupy usunięto z ulic. Buldożery usunęły niektóre barykady. Polacy uruchomili już niektóre zakłady. Pracowała już elektrownia, gazownia, szpitale, tramwaje już się ruszyły. Trudno odgadnąć ilu Polaków już pracuje a ilu Niemców jeszcze tutaj zostało, są to na pewno już tysiące, chociaż na ulicach ich nie widać.

Idziemy pieszo ulicami, niektóre są już oczyszczone z gruzu i żelastwa. Wszędzie martwa cisza, domy stoją jak ślepy bez szyb. Czuje się drażniący nos, smród spalenizny.

Są ulice, które nie ucierpiały od bombardowań, tylko gdzieś widać dziury w ścianach od pocisków dużego kalibru. Na placach stoją spalone czołgi i działa.

Można znaleźć bez trudu różnego kalibru pociski. Samochody wojskowe stoją bez opon.

Tramwaje leżą przewrócone w poprzek ulicy. Barykady, co kawałek z gruzu, mebli i różnego żelastwa.

Po niektórych ulicach przemyka tramwaj roboczy z dźwigiem do podnoszenia i układania torów.

Mijamy kościoły z utraconymi wieżami. Każdy inny z różnych okresów rozwoju miasta, świadczące kiedyś o kulturze ludów tutaj zamieszkałych. Katedra ma obie wieże zwalone! Mijamy domy towarowe o konstrukcji stalowej. Wypalone bez okien i ścian działowych. Pozostały tylko metalowe schody i stropy. Można kto odważny, wchodzić do wnętrza i na pietra.

Mosty kamienne, z cegły i żelazne o dziwo są całe, a jest ich mnóstwo. Na kanałach Odry, których w centrum jest wiele. Widać młyny wodne napędzane turbinami Wyspa Piaskowa zbombardowana, most prowadzący do niej zawalony. W pobliżu masywny długi budynek to Uniwersytet Wrocławski cudem niezniszczony.

Od czasu do czasu spotykamy osoby. Nie wiemy, czy to Niemcy czy też Polacy?

Po mieście jeżdżą wojskowe patrole.

Miasto przestrzega godziny policyjnej. Widać też milicję Polską. Są to ludzie w normalnych cywilnych ciuchach, z opaską na rękawie i karabinem na plecach.

Idąc dzisiaj z rodzicami czuję się pewnie i bezpiecznie. Sam za żadne skarby nie wybrałbym się na ulicę tego wymarłego miasta.

Idziemy w kierunku Dworca Świebodzkiego. Przechodzimy przez żelazny most na kanale.

Mijamy szpital przy dużym placu. Oglądamy posągi olbrzymich lwów z brązu, leżących w pozycji czatującej, pomiędzy nimi szerokie schody. Prowadzą one na bulwar ułożony wzdłuż rzeki.

Idziemy dalej, mijamy okrągły bunkier z betonu. Olbrzymi, chyba o średnicy około 100 metrów, i wysoki do trzeciego piętra. Wokoło na różnych poziomach znajdują się okienka strzelnicze. Widać po dziurach ile pocisków w niego waliło!

Żaden nie przebił się przez te grube ściany betonowe. Ulica przed i za bunkrem, nazwane później Legnicką obecnie prawie na długości około dwóch kilometrów, po obu stronach jezdni, zamiast domów ma zwały gruzu zalegającego ma wysokość trzech metrów.

Przedstawia widok jak po wybuchu bomby atomowej. Nie wiem, po co Niemcy to wyburzyli?

Jak okiem sięgnąć i na lewo i na prawo nie widać żadnych całych budynków w całej tej dzielnicy? Widok, który pierwszy raz ujrzałem i który śni mi się w makabrycznych snach.

Postanowiliśmy wracać, bo ta pustka przerażała nas i wprowadziła nas w smętny nastrój.

Dość zmęczeni po wielogodzinnym chodzeniu, po tylko fragmencie tego olbrzymiego miasta wróciliśmy głodni do naszej kwatery.

Jutro z mamą wracamy do Poznania. Smutno będzie rozstawać się z ojcem. Ale jeszcze nie ma warunków ażeby wspólnie zamieszkać. W lipcu wyjeżdżam z harcerzami na obóz.

Minęły już dwa dni od naszego powrotu, mego i mamy z Wrocławia, zdążyłem już uczestniczyć w spotkaniu harcerskim na ulicy Grotgera, gdzie znajdował się w tym pierwszym okresie mój hufiec

Tutaj dowiedziałem się, że przystępujemy my harcerze do akcji żniwnej!

Na apel władz o udzieleniu pomocy rolnikom przy zbiorze zbóż zgłosiło się wielu ludzi z fabryk i zakładów pracy. Powszechnie wiadomym było, że są trudności z zaopatrzeniem w chleb, którego brakowało na zaopatrzenie kartkowe.

Rolnicy zgłaszali brak rąk do pracy przy żniwach a zbiory w tym pierwszym powojennym roku zapowiadały się dość obfite.

19 lipca miał nastąpić nasz wyjazd w rejon Szamotuł. Mama wzięła się ostro do przygotowania mnie na tą wyprawę. Posiadałem już czapkę i tymczasową bluzę. Zresztą wszyscy chłopcy byli w podobnej sytuacji. Jak już wspomniałem do hufca należeli tylko chłopcy? Jak sądzę dzisiaj należałem do grupy najmłodszej?

Na spotkanie pierwszej przygody harcerskiej wybrałem się tak jak stałem. To znaczy bez żadnego bagażu. Pociągami osobowymi dojechaliśmy do stacji Kaźmierz. Stąd marszem dotarliśmy do jakiegoś gospodarstwa we wsi, której nazwy już nie pamiętam, ale poblizu jeziora Bytyńskiego. Tutaj nastąpił podział na inne gospodarstwa. Ja zostałem przydzielony z kolegą z mojej ulicy o pseudonimie „koza” do tego, do którego dotarliśmy prosto ze stacji, leżącego chyba około trzech kilometrów od szlaków kolejowych.

Osiemdziesięciu harcerzy rozmieszczono w stodole, albo raczej w długim baraku posiadającym dwie kondygnacje. Mnie przypadła kondygnacja górna, czyli pod słomianym dachem. Strop, na którym mieliśmy spać wyścielony był również słomą.

Na podwórzu ustawiono długie drewniane ławy zbite prowizorycznie z desek. W jednym miejscu znajdował się na podporach duży kocioł typu wojskowego, a pod nim palenisko. Zabudowanie mieszkalne znajdowały się w dość dużej odległości od naszej siedziby harcerskiej. Mieliśmy być samodzielni, czyli samemu przygotowywać posiłki, samemu dbać o higienę. Zbudować latrynę, czyli wykopać dziurę w ziemi i zbudować przy niej siedziska ażeby można było się załatwiać. Również trzeba było zbudować koryta do mycia się i doprowadzić do nich wodę. Nasi przełożeni, czyli hufcowi posiadali w poblizu namiot, a drużynowi mieli mieszkać z nami!

Pierwszy dzień, a właściwie popołudnie upłynęło nam na wykonywaniu prac związanych z budową naszego tymczasowego miejsca zamieszkiwania. Ale od jutro będziemy pracowali w polu. Z tego, co nam powiedziano, wynikało, że będziemy snopki zżętego żyta składali w snopki, zbierając je po kosiarce. Praca nie straszna dla mnie. Przecież już nieraz to robiłem, w Oborzyskach.

Kolacje zjedliśmy zasiadając do prowizorycznych stołów. Każdy dostał po dwa kawałki wiejskiego chleba, niestety posmarowanego tylko masłem i po kubku kawy zbożowej, ale za to z mlekiem. Smakowało nam lepiej aniżeli w domu. Zwłaszcza, że przed nami wielka przygoda!

Z kolegą zaraz po capstrzyku wdrapaliśmy się po drabinie na nasz stryszek, a za nami jeszcze kilku harcerzy. w słomie leżało się wygodnie, toteż szybko sen nas zmorzył!

Ranek zaczął się pobudką graną na trąbce. Zupełnie tak jak w wojsku. Ponieważ spaliśmy w ubraniach, zdejmując tylko bluzy, toteż wybiegliśmy szybko na zbiórkę. Po odliczeniu, padła komenda do mycia. Nie dla wszystkich było miejsce przy umywalkach, toteż cierpliwie czekaliśmy z Kozą aż się trochę rozluźni. Mycie polegało na obmyciu twarzy i szyi, ręczników nie otrzymaliśmy, kto nie zabrał z domu nie miał się, w co wytrzeć. Ja właśnie należałem do tych ostatnich. Słoneczko już dobrze grzało toteż szybko mnie wysuszyło.

Nie straciłem z tego powodu humoru. Ale po chwili odczułem swędzenie na twarzy i szyi, to samo stwierdził Koza, który po umyciu zaczął się drapać. Przyjrzałem się jemu dobrze i zauważyłem charakterystyczne ukąszenia przez pluskwy!

To paskudztwo w nocy spadało na nas i wypijało naszą krew . Miałem już z tym do czynienia w czasie okupacji w naszym mieszkaniu. Pokój w którym spałem cały był w tapetach i to draństwo się tam lęgło ,a wieczorem wychodziło na sufit i lądowało na naszych twarzach. Pamiętam, że musieliśmy się wtedy wyprowadzić z naszego mieszkania na trzy dni do wujka Stacha na Matejki 36. Natomiast u nas zerwano wszystkie tapety i zagazowano całe pomieszczenie jak również wszystkie kąty i szczeliny. Zapach tego gazu czułem jeszcze kilka dni pomimo wymalowania ścian. Gaz ten prawdopodobnie nie był szkodliwy dla ludzi!

*

*

20 lipiec 1945 roku zapowiadał się wspaniale. Słoneczko niezastłonięte żadną chmurką rozgrzewało chłód poranka zapowiadając dzień przyjemny i bez deszczowy! Śniadanie było znowuż skromne, tak jak kolacja chleb i kawa, ale to nie miało wpływu na nasz nastrój i zapał do pracy przy żniwach. Obóz harcerski to nie pierzynka i smakołyki u mamy!

Wyruszamy na pole. Po drodze oglądamy okolicę. Jest piękna z jeziorem wyglądającym tajemniczo z wyspą na środku, jezioro jest tak duże, że nie widać jego krańców. Na wyspę pływa prom linowy. Rośnie tam gęsto roślinność i drzewa. Ach, co to za wielka atrakcja! Na polu pracują już ludzie miejscowi. Wyznaczają nam rejony i zaczynamy znoszenie snopków i układamy w stogi albo wrzucamy na wozy.

Rozbieramy się do pasa, pot z nas płynie sucho w gardle nikt nie dba o zaopatrzenie w napoje. Wytrzymujemy z Kozą do obiadu. Może po południu będzie lżej. Myjemy twarz, szyję i pod pachami przyjemnie chłodną wodą w tych drewnianych korytach. Och, jaka ulga! Obiad jest bardzo kiepski. Ugotowali go nasi starsi koledzy harcerze, którzy pewnie jeszcze nie zdobyli sprawności kucharza. Dyżur w tej kuchni polowej czeka mnie też. Trzeba będzie myć kotły, obierać ziemniaki, palić pod kotłem. Harcerze muszą być samodzielni! Boję się jednak nocy. Bardzo nie lubię wszelakiego robactwa, wolałbym spać pod gołym niebem. Niestety namiotów nie posiadamy a wstyd się przyznać drużynowym, dlaczego nie chcemy spać pod dachem!

Po obiedzie wykonujemy te same czynności w polu, co przed południem, ale pracuje się już lepiej, koszul już nie zdejmujemy, chociaż i tak niektórzy mają poparzone plecy. Morał z tego taki – nigdy nie wystawiaj się na słońce zbyt łapczywie, należy dozować stopniowo to przyjemne ciepło, szczególnie w pierwszym dniu.

Widać jak pomoc nasza pomaga szybko zbierać plony, woźnice nie nadążają ze zwożeniem do stodół. Wszędzie pracują harcerze tylko kilku miejscowych kieruje załadunkiem, nigdy nie wiadomo, kiedy spadnie deszcz? Mokrego zboża nie można przechowywać w stodole! Kolacja podobna do poprzednich posiłków. Ale po kolacji w programie będzie śpiewanie pieśni harcerskich przy ognisku.

Ogień płonie, drwa trzaskają, iskry się sypią. Na niebie gwiazdy i my wkoło siedzimy w kucki. Śpiewamy „Szumi dokoła las „ Wśród nocnej ciszy pod Lwowem „, Morze nasze morze. Tą ostatnią lubię szczególnie, a idzie to tak :

Chociaż każdy z nas jest młody,
Lecz go starym wilkiem zwą .
My, strażnicy polskiej wody,
Marynarze polscy są.
Morze , nasze morze,
Wiernie ciebie będziemy strzec !
Mamy rozkaz cię utrzymać,
Albo na dnie, na dnie twoim lec,
Albo na dnie z honorem lec.

Żadna siła, żadna burza

Nie odbierze Gdańska nam.
Nasza flota, choć nieduża,
Wiernie strzeże portu bram.
W zupełnych ciemnościach idziemy na nasz stryszek. Zmęczenie po całodziennym trudzie daje znać. Niosę ze sobą worek którym postanawiam się przykryć może to uchroni mnie przed spadającym robactwem. Koza czyni to samo.

Pobudka. Budzimy się jednocześnie. Nasze worki ochronne zsunęły się, a robactwo pije naszą krew. Otrząsamy się i wybiegamy na zewnątrz. Słoma we włosach na ubraniach i na dodatek przyklepione do ciała pluskwy. Mówię do Kozy –Mam już dosyć spania pod tym dachem! Ja również! – odpowiedział! Ale co zrobimy?
Pójdziemy po apelu do druha hufcowego i zgłosimy to! –powiedziałem po chwili.
Miny mieliśmy kiepskie i zaraz po umyciu się, odszukaliśmy w namiocie służbowym.
Kozy zameldował się przepisowo i zdał relacje z naszego problemu. Hufcowy wysłuchał go popatrzył też na mnie i odezwał się w takie słowa: Jesteście harcerzami czy płaczącymi babami? Czy wam się marzą ciepłe pierzynki jak u mamusi? Harcerz musi być jak żołnierz zahartowany na wszelkie trudy i niewygody. Czy wy mieliście już nocną wartę przy sztandarze? Nie! – odpowiedzieliśmy obaj.
No to z niedzieli na poniedziałek was wyznaczam. I myślę że tam was pluskwy nie napadną! Odmaszerować!
Wyszliśmy ze zwieszonymi nosami, ale złość w nas narastała na takie potraktowanie. Popatrzyliśmy na siebie, zauważyłem u Kozy w oczach to samo postanowienie. A więc wiejemy! Drużynowy chyba coś wyczuł, pewnie nasze szepty nas zdradziły. Kazał na czele kolumny stanąć i tak ruszyliśmy do pracy na pole.
Dzisiaj sobota to nie będziemy pracowali tyle godzin, co w dzień powszedni. Popołudnie będzie przeznaczony na pogadanki oraz różne gry i zabawy, Ponadto zapowiedziano nam że jutro to znaczy w niedzielę nie pracujemy, a cały czas przeznaczony jest na po pierwsze wycieczkę promem na wyspę i na zwiedzaniu okolic. Po drugie na zdobywaniu sprawności harcerskich.
Humory nam się poprawiły na tak wspaniałe perspektywy życia harcerskiego. A o planie ucieczki zapomnieliśmy!
Wieczorem po pracy zasiadaliśmy przy ognisku, gdzie każdy rozmawiał o czym chciał z sąsiadami, bo tak naprawdę to się dopiero zapoznawaliśmy. Nasza drużyna i hufiec naprędce zorganizowane ściągnęły chłopaków z różnych dzielnic. I to nieraz wrogo nastawionych w czasie okupacji. Obecnie była okazja się lepiej poznać, czy nawet zaprzyjaźnić.
Opowiadało się o naszych przeżyciach wojennych i o ostatnich wydarzeniach, czyli walkach na ulicach Poznania i na cytadeli, o naszych krewnych którzy zdobywali i zginęli za wolną Polskę. Nasz patriotyzm w tamtym czasie kierował naszymi czynami i myślami. Nie było takiego chłopaka dla którego te sprawy były by obojętne. Nienawiść do Niemców siedziała w nas jak zadra, a Rosjan uwielbialiśmy jak bohaterów. Widzieliśmy ich odwagę, ale również ich zdziwienie w wielu postępkach wobec ludności cywilnej, co nam w naszym kodeksie honoru się nie mieściło. Te kradzieże ludziom zegarków, rowerów, pijaństwo gwałty, a jeszcze nie znaliśmy my Poznaniacy ich zbrodni na narodzie polskim na terenach Polski Wschodniej] 17 wrzesień nic nie mówił wielu Polakom Były oczywiście też takie rodziny jak nasza która znały te sprawy, jak i sprawę Katynia, zbiorowego mordy dokonanej przez nich pod Smoleńskiem na polskich oficerach i inteligencji.
Te sprawy wtedy wydawały się tak odległe, że widzieliśmy w nich tylko wyzwolicieli i bohaterów. Oficjalna propaganda podkreślała ich zasługi, a tuszowała prawdę historyczną ażeby naród poprowadzić jak te barany na rzeź, a w naszym przypadku do komunizmu!
Drugą część wieczoru zeszła nam na śpiewaniu naszych pieśni patriotycznych i harcerskich.

Dzisiaj mamy 21 lipiec, nic się nie zmieniło w naszym życiu obozowym. Pluskwy, słabe wyżywienie, praca przy żniwach. Najgorsze dopiero miało nas spotkać. A było to tak. Wróciliśmy z pola na obiad. Nazywało się że będzie gulasz z ziemniakami. Ucieszyło to nas, bo na razie to jedliśmy kiepsko!

Wkrótce okazało się że to była jakaś bryja, nie do zjedzenia. Mdłe, śmierdzące mydlinami, jak po jakimś praniu. Nasze protesty spowodowały natychmiastowe śledztwo!

Okazało się że dyżurni harcerze szorowali kocioł, a ponieważ nie wiedzieli jak to zrobić użyli do tego szarego mydła. Kocioł był już dość stary, pewnie karmiono przedtem z niego bydło gospodarskie, wewnątrz było chropowate i dlatego nawet po przepłukaniu zimną wodą część tego mydła pozostała. Wrzucono mięso do środka zalano wodą i powstał gulasz mydlany. Głodni i źli, razem z Kozą schowaliśmy się za stodołę. Plan mieliśmy taki. Natychmiast uciekać. Po rozważeniu tego pomysłu, doszliśmy do zgodnego wniosku. Ponieważ wydawało się nam że do Poznania pociąg przejeżdża rano, do stacji jest dość daleko, a więc najlepiej będzie jeżeli nasza ucieczkę przełożymy na jutro.

Zaraz po śniadaniu poszczególne drużyny miały w kolejności wyruszać na wycieczki przeważnie planowano wyprawę promem na tajemniczą wyspę.

Nas już to nie interesowało. Kiedy tylko wymaszerowano. Ruszyliśmy biegiem w kierunku stacji kolejowej, a nie było to blisko, chyba około 2 kilometrów. Po chwili tam dobiegliśmy. Nikt z nas nie miał pieniędzy, a więc trzeba będzie jechać na gapę. Na stacji stał już pociąg. Kiedy się zbliżyliśmy omijając budynek stacyjny to okazało się że jest to pociąg towarowy. Jak się po chwili zorientowaliśmy był to transport rosyjski z maszynami, pod brezentowymi płachtami. Na jednej platformie leżał sobie żołnierz radziecki i się opalał. Wiedzieliśmy już że Rosjanie wywożą maszyny z Niemiec, bo takie transporty codziennie przejeżdżały przez Poznań.

Nie zauważeni przez nikogo, wśliznęliśmy się pod wagon Nie było w zasięgu wzroku żadnego innego schowka.

Godziny płynęły nam bardzo wolno, a pociągu osobowego widać nie było. Czas skracaliśmy opowiadaniem o sobie i o swoich planach życiowych. Gdzieś około południa zauważyliśmy na stacji jakiś ruch. To nas poszukiwano. Starszyzna harcerska i kilku młodszych obeszli budynek stacji, zajrzeli do środka. Pewnie pytali czy nie kupowaliśmy biletów. Dwóch druhów ruszyło w kierunku pociągu. Skóra nam ścierpła na plecach. Zatrzymali się jednak w pewnej odległości, zauważyli żołnierza pilnującego transportu i widocznie doszli do wniosku że tutaj nie możemy się ukrywać. odeszli, a nam kamień spadł z serca.

Jeszcze upłynęło trochę czasu zanim usłyszeliśmy gwizd zbliżającego się pociągu. Był to na szczęście pociąg osobowy. Wjeżdżał na sąsiedni tor. Oczekaliśmy aż się zatrzyma i po tym jednym skokiem znaleźliśmy się w środku. Nie było to takie łatwe, ponieważ stopień znajdował się na wysokości naszych piersi. Jakaś życzliwa ręka otworzyła nam drzwi i pomogła się podciągnąć w górę.

W pociągu podróżowało dość dużo pasażerów, co nam się wydało korzystne dla nas. Konduktor ma dużo pracy przy sprawdzaniu biletów i na pewno szybko nie dojdzie do naszego przedziału. Na wszelki wypadek oczy mieliśmy szeroko otwarte, a zmysły napięte do ostateczności. Wydarzyło się jeszcze coś dziwnego. Usłyszeliśmy nagle silny gwizd wiatru i pociąg zaczął zwalniać. Wiatr ten wzmagał się z każdą chwilą, aż wreszcie pociąg stanął w szczerym polu. Po chwili się uspokoiło i ruszyliśmy dalej. Minęło pół godziny i już wjeżdżaliśmy na stację Poznań Główny. Wyszliśmy wyjściem zachodnim bo tylko to było czynne.

Zbliżyliśmy się na wysokość kawiarni Magnolia i parku Wilsona. Kiedy zauważyliśmy tramwaj przewrócony, mnóstwo połamanych drzew w parku i przed parkiem¹.

Ludzie chaotycznie opowiadali o jakimś kataklizmie przyrody.

Ulicą Berwskiego przemknęliśmy obok naszej szkoły i na wysokości kościoła przy ulicy Matejki nasze drogi się rozeszły.

Gazeta poniedziałkowa doniosła o dwóch ważnych wydarzeniach. Treść była następująca: 22 lipca gwałtowny huragan, który się rozszalał nad miastem, między godziną 17-18 wyrządził wiele szkód w budynkach mieszkalnych i parkach. Wiele przechodniów na ulicy M. Focha, Kanałowej, Berwskiego, Grunwaldzkiej i Chełmskiego zostało rannych od spadających cegieł, dachówek i konarów drzew.

Wyjście z parku Wilsona zostało zatarasowane stosami gałęzi. Drzewa powyrywane z korzeniami. Była to trąba powietrzna.

A we wtorek przeczyliśmy następny artykuł. Trąba powietrzna która nawiedziła 22 lipca, w godzinach popołudniowych nasze województwo, w powiecie Szamotulskim, w pobliżu Kaźmierza, zatopiła prom linowy, którym wracali z wyspy Poznańscy harcerze. Na skutek silnego podmuchu została zerwana lina i na skutek olbrzymiej fali, prom się wywrócił, zatapiając siedmiu harcerzy i ich opiekuna.

Przeczyliśmy z matką tą tragiczną wiadomość, dziękując Bogu, że czuwał nad moimi poczynaniami.

Pierwszy wrzesień, zaczynam naukę w 5 klasie, jeszcze przed wakacjami przeniesiono moja szkołę z ulicy Jarochońskiego na Berwskiego, w poprzednim budynku urządzono szpital dla Polskich żołnierzy rannych na wale Pomorskim z Drugiej Armii Polskiej.

Nieraz odwiedzaliśmy rannych w szpitalach i tak na przykład na Przybyszewskiego leżeli Rosjanie zajmując wszystkie oddziały, tak wielu rannych tutaj zwieziono. Przypominam sobie jak sprzedawałem im lemoniadę robioną przez ciotkę Jadwigę Oczywiście ta kolorowa woda nie posiadała gazu. Ale nawet w sklepach jej też nie było!

Poznań szybko dźwigał się ze zniszczeń wojennych. Ratusz, szczególnie wieża była już w odbudowie. Można było oglądać jak cieśle zbudowali z desek gigantyczne rusztowanie, sięgające aż do przyszłego szczytu wieży.

Ulica Święty Marcin przemianowana na ZWM-u najbardziej zniszczona, była obecnie przejezdna, a kościół Św. Marcina w odbudowie.

Dom żołnierza na ulicy Ratajczaka całkowicie zburzony szpecił kupą gruzu. Były głosy byłych więźniów prześladowanych w tym budynku symbolu Niemieckiego terroru ażeby go całkowicie rozebrać, a w to miejsce postawić pomnik męczeństwa.

Dworzec Główny spalony był również w odbudowie, spalony po nalocie alianckich samolotów 1944 roku. Funkcję jego pełnił obecnie Dworzec Zachodni.

We wrześniu 1945 roku Poznaniacy mocno byli zaangażowani przy budowie Pomnika Przyjaźni i Zwycięstwa na Cytadeli. Stworzono tutaj cmentarz dla pięćdziesięciu lotników angielskich zamordowanych przez Gestapo za ucieczkę z obozu jenieckiego w Żarach.

Pochowano ponownie wszystkich Żołnierzy armii Radzieckiej, ekshumowanych z tymczasowych grobów Wielkopolski. Również pochowano na Cytadeli Polaków, którzy zginęli w lutym 45 roku przy jej zdobywaniu.

1 października 1945 roku Poznań liczył 268694 mieszkańców, brakowało już mieszkań tak, że wprowadzono ograniczenia meldunkowe dla nowo przybyłych. Meldowano tylko fachowców potrzebnych do odbudowy miasta i związanych z uruchamianiem nowych zakładów pracy.

Do Poznania przybyła delegacja amerykańska z attache wojskowym Stanów Zjednoczonych ppłk. Pasheyem. Udali się oni do Nowej Wsi na pogrzeb lotnika amerykańskiego, który zginął 6 marca 1945 roku, w pobliskim jeziorze.

31 października 1945 przed Dworcem Głównym oddany został do użytku barak spełniający funkcję prowizorycznego dworca. Uruchomiono w nim 10 okienek kasowych, przechowalnię bagażu i poczekalnie.

W tym też miesiącu dokonano próby wytrzymałości prowizorycznego drewnianego mostu Uniwersyteckiego.

W dalszym ciągu dokonuje się ekshumacji zwłok Polaków, którzy polegli na Cytadeli, przenosi się z tymczasowego miejsca pochówku z Placu Zamkowego na stoki nowego Parku Przyjaźni w miejsce międzynarodowego pochówku bohaterów, ku pamięci potomnych. W dniu 7 listopada razem z klasą jesteśmy na placu i uczestniczymy w uroczystym przenoszeniu. Są przemówienia przedstawicieli władz miejskich i wojskowych.

Wolks deutsche pracują przy odkrywaniu powapnowanych zwłok i załadunku na samochody ciężarowe. Ten widok pracujących przy takich pracach zdrajców narodu jest dość częsty. Ludzie dość często na ich widok reagują agresywnie, wyzywając ich a nawet rzucając w nich kamieniami. Widać, że ta bezkarność w znęcaniu się nad nimi, wydaje się nawet przy powszechnej aprobacie motłochu ich jeszcze bardziej rozzuchwalać. Nie lubię takich scen. Nie ma we mnie nienawiści! Nie potrafię się znęcać nad nikim. Tak mnie wychowały babcię i rodzice!

Zbliża się zima. Zaopatrzenie znowu szwankuje. Braki chleba i tłuszczów dokuczają ludziom w wolnej ojczyźnie. Liczymy na transporty z UNRZY. Niestety, każde miasto walczy o jak największe przydziały. Prasa pisze, że poznaniaków oszukują, że inne miasto dostają więcej tych artykułów. Na dodatek również węgiel z kopalń nie dowieziono do Poznania. Poznaniowi potrzeba 70.000 Ton węgla na zimę, a dostawy są za małe. Druga połowa listopada, nadeszły już pierwsze mrozy! Brak węgla powoduje, że nasza szkoła i niektóre inne od 19- tego są zamknięte.

1-go Grudnia Pogotowie ratunkowe zawiesiło swoją działalność z powodu braku benzyny. 12-go Grudnia znowu przerwa w nauce, po dwóch tygodniach chodzenia- kryzys węglowy- szkoły nieczynne!

Tak wygląda nasze życie! Głodno i chłodno. Ponadto po okresie walk i braku higieny, jak również z powodu braku środków higieny wśród dzieci rozpowszechniła się wszawica i świerzb.

Wieczorami matka smaruje nas maścią siarkową, strasznie śmierdzącą i dokładnie wyczesuje głowy. Jak to dobrze, że mamy, chociaż szare mydło i metalowe grzebienie?

Na okres Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku 24-26 Grudnia i 31 – 1 stycznia zniesiona została przez rosyjskiego komendanta miasta godzina policyjna.

Święta będą smutne. Jesteśmy jednak cierpliwi, wierzymy że z każdym rokiem, będzie lepiej. Wojna i niewola uczy pokory. Kto tego nie poznał, wiecznie będzie niezadowolony i wszystkiego będzie mu mało?

My dzieciaki z naszego podwórka przy ulicy Niegolewskich, cieszymy się życiem, dużo czasu spędzamy na wspólnych zabawach. Oczywiście mówimy gwarą pomiędzy sobą, dzisiaj już nie potrafiłbym. Ale rozumiem, co znaczy: goździem w ślip, albo szport na kiju, czy też, weź te rękę prek.

Zapisałem się ponownie do harcerstwa, ale teraz moja siedziba jest na ulicy Klaudyny Potockiej przy kościele M. Boskiej Bolesnej. Z poprzedniego hufca za tą ucieczką mnie wywalono!

Zbiórki mamy raz w tygodniu. Uczymy się różnych węzłów oraz śpiewamy piosenki harcerskie. Słuchamy wykładów o honorze i szlachetności, które to cechy winny cechować każdego, kto nosi ten mundur!

W szkole na Berwskiego jest za duży tłok i bałagan. Nauczyciele nie są sympatyczni, traktują nas według mody niemieckiej, czyli wg. Zasady kija i marchewki. Wywołują jako numer w dzienniku. Nie mam tutaj żadnych przyjaciół. Myślę już o wyjeździe do Wrocławia do ojca.

Mamy tutaj oczywiście rodzinę, cieszę się z kontaktów z kuzynostwem, ale chciałbym być jednak z ojcem, za którym bardzo tęsknię.

Z Jurkiem Weisem chodzimy do parku Wilsona, do centrum sportu. Tutaj wypożyczamy rękawice bokserskie i pierzemy się po pyskach. Nieraz te treningi przeradzają się w prawdziwe walki o dominację.

Jurek z matką zamieszkali razem z nami na naszym mieszkaniu na Niegolewskiej. Ojciec postanowił, że mieszkanie z meblami zostawiamy ciotce Jadwidze. Straciła ona przecież wszystko, cały dobytek, kiedy Niemcy wywieźli ich do Generalnej Guberni, czyli w Lubelskie. To przymusowe zesłanie miało związek z aresztowaniem wujka Makska jej męża. Przebywali tam na wsi aż do wyzwolenia Polski.

Siostra mojej matki ciotka Helena pojechała na szaber do Wrocławia, po powrocie narobiła plotek. Że ojcu gotuje Niemka, o czym już dawno wiedzieliśmy. Dlaczego mieszka u niej? Tak zdenerwowała matkę. Zbudziła w niej zazdrość! Ze coraz częściej mówiło się już o wyjeździe pod koniec lipca.

Na początku Lipca, a właściwie miało się to wydarzyć 7 lipca 1946 roku. Wielka sensacja, w gazecie dużymi literami pisano, że w tym dniu: po procesie kata Poznania wydano wyrok - kara śmierci, przez powieszenie dla Artura Greisera- gubernatora Kraju Warty.)

Ten okrutny władca w okresie swego panowania wydał wiele tysięcy Polaków na śmierć. Takie miejsca w Poznaniu, jak Dom Żołnierza, Fort VII czy Obóz Żabikowo przerażały Polaków samą nazwą. Największą ironią historii było to ten drań urodził się w Środzie Wielkopolskiej, wychował się wśród Polaków i na koniec zdradził swoją ojczyznę.

Szubienica została ustawiona na zboczu wzgórza cytadeli przy skrzyżowaniu ulic Winogrody i Szelągowskiej, tłumy Poznaniaków zapełniły to skrzyżowanie, uniemożliwiając jakkolwiek ruch kołowy czy nawet pieszy. Na wiele godzin przed egzekucją tak szczelnie zapełniono jezdnię i chodniki, że z wielkim trudem przeciskałem się do przodu, zbierając, co chwile kuksańce od tych, którym wchodziłem w drogę. Ponieważ nie zaliczałem się wtedy do wysokich, toteż ciągle nie widziałem tego podwyższenia z szubienicą. Wreszcie przy którejś Latarni ulicznej się zatrzymałem. Nie pamiętam, o której godzinie to miało się odbyć, ale 46 przypominam sobie jak dorośli sprawdzali, co chwilę na zegarkach ile czasu jeszcze pozostało.

Wreszcie pokazały się sylwetki na drewnianym podwyższeniu. Dwie osoby prowadziły go pod ręce, ponieważ Greiser miał opaskę na oczach. Tłum się ożywił, padały jakieś okrzyki. Najbliżej stojący przy mnie mężczyzna wykrzyknął: zobaczcie nie może nam morderca patrzeć nam w oczy, to kazał sobie założyć opaskę!

Wchodząc na podwyższenie skazaniec chwiał się mocno.

Kat założył mu pętle na szyję, odczytano jemu wyrok, trochę to trwało i po chwili widzieliśmy jak spod nóg usunęła mu się podpora i zadyndał na sznurze. W tym momencie tłum wydał zbiorowy okrzyk radości. Dzisiaj już wiem, że to był jedyny przypadek, kiedy wyrok wykonano publicznie. Innych Gaulaiterów, jak Forstera Gdańska i Franka z Krakowa stracono nie publicznie.)

* * *

W domu duży ruch. Szykujemy się do wyjazdu. Idziemy jeszcze na Matejki, bo właśnie ciotka Wikta wróciła z Wrocławia i ma dla nas wiadomości od ojca.

Rozmawiam z Henrykiem o naszym wyjeździe. Stwierdza, że jest mu smutno, że się rozstajemy. Całą okupację przeżyliśmy wspólnie, niejednokrotnie się wspierając duchowo. Postanawiamy nie zrywać kontaktów rodzinnych, obiecując, że będziemy podróżować w obie strony.

Ja jeszcze nie wiem, co oznacza nasze rozstanie z wujostwem, jestem młody i świat mnie ciekawi, nowi ludzie i miejsca.

Nie zdawałem sobie sprawy wówczas, co znaczyło dla wujka Stacha i ciotki Wikty nasz wyjazd? Dzisiaj sobie uświadamiam, że nie pogodzili się z naszym wyjazdem i cały czas myśleli, co tu zrobić ażeby nas z powrotem zciągnąć do Poznania. To ciotka znalazła działkę Pod budowę na Górczynie.

Na ulicy Mochneckiego numer 29 mieszkania numer 5, to jest na drugim piętrze bloków kolejowych, wybudowanych przez Niemców w latach przedwojennych, mieszkało się nam bardzo dobrze. To budownictwo było stosunkowo nowe i funkcjonalne.

Bloki wzdłuż ulicy M. Mochneckiego były jednopiętrowe ze strychemi pod spadzistymi dachami krytymi czerwoną dachówką.

Narożnikowe natomiast taki właśnie jak nasz znajdował się przy skrzyżowaniu z ulicą Kaminskiego był dwupiętrowy ze strychem dokładnie nad naszym mieszkaniem.

Mieliśmy to szczęście, że na naszym piętrze było tylko jedno mieszkanie, ponieważ sąsiadowaliśmy z małym stryskiem przeznaczonym dla mieszkańców na suszenie prania.

Pod nami na pierwszym piętrze znajdowały się dwa mieszkania. Mieszkali tu państwo Sypniewscy przybyli z Górnego Śląska z trzema synami Bogdanem Edkiem i Marianem.

Obok po sąsiedzku mieszkali państwo Zachciałowie z córką Krystyną i synem Marianem.

Rodzina ta przybyła z Lubonia koło Poznania, była to rodzina kolejarska,

Na parterze mieszkała rodzina wielodzietna, przeważnie dziewczynki państwa

Lewandowskich, których ojciec był początkowo milicjantem a później również kolejarem.

Na tym parterze znajdowało się wejście na zaplecze sklepu spożywczego należącego do państwa Sypniewskich.

Nasze mieszkanie od pierwszego dnia naszego przyjazdu zrobiło na mnie ogromne i przyjemne wrażenie. Poczulem się jak młodzieniec, którego zaproszono do cudownego pałacu. Moje wspomnienie naszego skromnego mieszkania z Poznania z ubikacją na półpięterku, bez łazienki, wprawdzie dwupokojowe, ale z oknami wychodzącymi na dachy sąsiednich domów i małe ciemne podwórko nie wytrzymało porównania. Te potoki słońca, które wpadały do stołowego ten piękny widok na zielone ogrody od razu mnie urzekły!

Wrocławskie mieszkanie posiadało dużą kuchnię, około 20 metrów kwadratowych, obok kuchni łazienka z wanną i kotłem grzewczym na węgiel, pomieszczenie nie zbyt wielkie, ale posiadało również ubikację, szkoda, że nie było umywalki. Oba te pomieszczenia miały okna wychodzące na ulicę Maurycego Mochneckiego, również jeden z pokoi sypialnia rodziców o metrażu około 16 m. Kwadratowych miał okno na tą samą ulicę.

Pozostałe dwa pokoje to stołowy około 20 m. Kwadratowych ten robił największe wrażenie.

Oraz przez nas nazwany małym z drzwiami do stołowego chyba o wielkości 15 m.

Kwadratowych., Okna ich wychodziły na ulicę Kaminskiego.

Do wszystkich pokoi wchodziło się z dużej, antrejkki czyli przedpokoju.

Budowniczo pomyśleli również o spizarce, która posiadała małe okienko wychodzące na klatkę schodową. Warunki mieszkaniowe mieliśmy luksusowe! Mieszkania narożnikowe były jednymi z największych w całych blokach kolejowych.

Mój ojciec zanim nas sprowadził 1946 roku do Wrocławia do tego mieszkania, mieszkał uprzednio na pokoju u Niemki, która jeszcze nie zdecydowała się na wyjazd. Jako kierownik stolarni i pionier otrzymywał propozycje od władz objęcia pustych wilek opuszczonych przez uciekających przed Rosjanami mieszkających tu Niemców. Nie zdecydował się jednak na to, ponieważ bardzo często, w dzień a szczególnie w nocy zdarzały się napady i rabunki dokonywane przez pijanych żołnierzy rosyjskich i innych mętów szabrowniczych.

To nasze obecne mieszkanie nie posiadało fragmentu jednej ściany, którą wywalił pewnie pocisk artyleryjski w czasie walk i na dodatek było całkowicie okradzione z mebli i innych sprzętów.

Przez okres kilku miesięcy ojciec remontował ściany i parkiety. Koledzy z pracy, kolejarze pomogli w zdobyciu nowych mebli i potrzebnego wyposażenia.

Na nasz przyjazd latem, po skończeniu roku szkolnego przeze mnie i Teresę wszystko już było gotowe i urządzone.

W stołowym wisiał duży piękny kryształowy żyrandol, na grubym dużym dywanie czarny rozsuwany stół i osiem krzeseł stylowych, pod prawą ścianą pianino z kandelabrami. W lewym narożniku na wprost też czarny stojący zegar w wahadłem, na ścianach piękne obrazy.

W stołowym wisiał piękny kryształowy żyrandol, na grubym dużym dywanie, czarny rozsuwany stół i osiem krzeseł stylowych, przy prawej ścianie pianino z kandelabrami. Na wprost, nieco na lewo od okna też czarny dwumetrowy zegar z wahadłem, na ścianach piękne Obrazy. Martwa natura, owoce i czerwony rak na paterze. Pejzaże zimowe wszystko to Niemiecka szkoła malarstwa. Fotele, jeden cały ze skóry, na stoliku z lampą pod abażurem radio Nord – Mende. Kredens pod kolor stołu. Wewnątrz porcelana i kryształy.

Kuchnia – również umeblowana z garnkami w szafkach, wiszącymi pułkami, zegar z kukułką, młynek do mielenia kawy wiszący na ścianie. Kuchenka gazowa i piec westwalka, pod oknem wentylowana szafka na produkty. Na ścianie porcelanowe pojemniki na mąkę, kasze, kawę sól, cukier i mniejsze na wszelkiego rodzaju przyprawy.

Nieraz myślałem o Niemcach, którzy uciekając w popłochu i na rozkaz Gauleitera Hanke-Hitlerowskiego komendanta, zmuszeni w środku zimy opuścić swe domy, mieszkania i swoje miasto. Tylko, dlatego ponieważ Hitler postanowił z Wrocławia zrobić twierdzę, a w centrum miasta na gruzach domów stworzyć lotnisko i całe miasto obsadzić wojskiem w celu Walki do ostatniego żołnierza. Hitler już w końcowym akcie agonii Niemiec mówił do generałów: „Jeżeli on ma umrzeć, to niech zginie naród niemiecki, ponieważ nie zasługuje w swoim tchórzostwie na nic innego.

Oczywiście była to nieprawda. Naród został zmuszony do beznadziejnej walki w momencie, kiedy zabrakło już żołnierzy, wtedy powyciągał z domu starców i chłopców, Kazał im walczyć i ginąć za Firera.

Nie miał litości dla własnego narodu działał systematycznie na wyniszczenie dla złudnych idei.

Które nigdy nie miały się spełnić?. Mieszkańcy Wrocławia, kobiety, dzieci, starcy z tobołkami

Na wózkach i pieszo szli szosami i padali, aby dalej w głąb Niemiec.

Kiedy dowiedziałem się z pamiętników niemieckiego księdza o tej gehennie Niemców, przypomniałem sobie jak to my Polacy 1939 roku uciekaliśmy, czym się udało, pociągami? Wozami pieszo polskimi szosami, bombardowani, rozstrzeliwaniem przez samoloty jak i przez oddziały motocyklistów. Ciągle mam w pamięci obrazy, zabite matki, rozszarpane i płaczące nad nimi dzieci. Lament, krzyki strachu i bólu, po łące porzucane ludzkie kończyny. Wszystko to działo się nie na filmie, a w naszym otoczeniu moim i mojej matki.

W tych latach powojennych nie czułem litości dla Niemców, ale mieszkając we Wrocławiu spotykałem często kobiety i starszych mężczyzn na ulicach przed dworcem, a najwięcej ich się skupiało na ul. Chrobrego próbując coś sprzedać z domowych skarbów, ażeby mieć pieniądze na jedzenie. Wtedy pierwszy raz poczułem, że jest mi ich żal!

Wróćmy jednak do pierwszego dnia pobytu we Wrocławiu i to na nowym mieszkaniu / muszę tutaj zaznaczyć, że uprzednio już dwukrotnie bywałem w tym mieście, ale o tym przy okazji / Mama ugotowała na nowej kuchence obiad z produktów zdobytych przez ojca. Tak to właśnie było, że przy małej ilości sklepów i towarów, nie mówiło się kupiłem tylko miałem szczęście I zdobyłem! Obiad zjedliśmy z apetytem w kuchni na porcelanowych naczyniach, na deser ojciec przyniósł na paterze różne owoce: jabłka, gruszki, brzoskwinie.

W pewnym momencie zapytaliśmy Tatę, skąd to wszystko znalazło się na naszym stole? Zrobił tajemniczą minę oraz obiecał, że po obiedzie zaprowadzi nas w pewne miejsce – gdzie czeka na nas duża niespodzianka!

Nasza nowa kuchnia była przestronna, słoneczna i ładnie urządzona. Na ścianach wisiały różne bibeloty byliśmy wszyscy pod dużym wrażeniem. Wszystko nas interesowało, zaglądaliśmy do wszystkich pokoi i zakamarków. Mama również oglądała swoje królestwo, widać było po niej, że jest bardzo zadowolona. Myślała pewnie wyjeżdżając z Poznania, dlaczego Feliks jej mąż kazał wszystkie meble i skorupy zostawić swojej siostrze Jadwidze?

Ojciec taką miłą niespodzianką nam zrobił! Nie mogliśmy uwierzyć, że teraz będziemy tak kulturalnie mieszkali. W jednym z pokoi stała ozdobna szafa biblioteczna pełna książek,

Oczywiście Niemieckich. Ojciec kilka przejrzał i odłożył do czytania, o astronomii i o odkryciach

W jednym z pokoi stała ozdobna szafa biblioteczna pełna książek, oczywiście Niemieckich. Ojciec wybrał sobie do czytania o astronomii i świecie geograficznym.

Po południu pogoda słoneczna nam nadal dopisywała był to przecież miesiąc lipiec. Ojciec kazał nam się przygotować do wyjścia! Obiecał, że to będzie niedaleko.

Zeszliśmy na ulicę, stanęliśmy przed słupem reklamowym z zegarem stojącym przy naszym domu – częściowo zdewastowanym.

Po chwili ruszyliśmy ulicą Kaminskiego idąc po prawej stronie przy ogrodach mijając duży ładny ogród ze stawem należący do naszych sąsiadów państwa Sypniewskich. Lewa strona ulicy to ciągnące się wzdłuż bloki, które tworzyły czworobok. Po chwili ukazał się nam duży budynek na tle ogrodów. Ojciec powiedział: To wasza nowa szkoła, tutaj będziecie się uczyli, ale dzisiaj pójdziemy tą wąską uliczką przed szkołą wśród ogrodów, czeka na was inna niespodzianka.

Zaczęliśmy domyślać się gdzie nas prowadzi! Po chwili stanęliśmy przed ogrodem z zieloną siatką. To tutaj – powiedział. – To jest nasz ogród!

Weszliśmy do środka. Już od brzegu powitały nas jabłonie i krzewy róż, a dalej w głębi czerwone i różowe piwonie. Na samym końcu zielona altanka z ławeczką. Tyle tych drzew owocowych, że się nie mogliśmy w pierwszej chwili rozpoznać w ich nazwach. Na większości z nich piękne, dorodne owoce. Żółte jabłka – złota reneta, szare jabłka – szara reneta. Jeszcze jakaś grusza, czereśnia czarna, brzoskwinia, krzewy agrestu i porzeczkowe. To prawdziwy Raj! Biegaliśmy po ogrodzie, zaglądając w zakamarki, co chwila, odkrywając coś nowego!

*

*

Poznanie okolicy rozpoczęliśmy od włączenia na rozbitą armatę przeciwlotniczą, która stała na ulicy Kaminskiego. Posiadała ona obrotową platformę z siedzeniami dla obsługi, a nam służyła jako karuzela. Zachowywaliśmy oczywiście ostrożność kręcąc wszelkimi możliwymi Korbkami. Początkowo baliśmy się oddalać na większe odległości, ponieważ ojciec ostrzegał nas przed pijanymi ruskimi żołdatami, Niemców nie należało się bać, bo sami byli bardzo przez tych ostatnich wystraszeni.

Zbadaliśmy, że na drugim końcu ulicy Kaminskiego znajduje się stary zabytkowy, zadrzewiony cmentarz. Ozdobna kuta brama była szeroko otwarta, a tuż za nią widać było z czerwonej cegły budynek śliczny jak pałacyk. Przed nim wybrukowany zajazd. Aż dziwne, że to nie zostało zniszczone w trakcie działań wojennych!

Za pałacykiem znajdowały się trzy aleje. Jedna najszersza biegła na wprost, a te dwie rozchodziły się półkolem na dwie strony, opasując jakby cmentarz. Idąc którąkolwiek z nich, szło się pomiędzy rzędami bogatych w ornamenty grobowców. Każdy z nich inny, na wielu zauważa się odsunięte płyty nagrobne. Zaglądam ostrożnie ze strachem do środka. Widać otwartą trumnę a w nim leżący szkielet. Jak się okazało, dowiedziałem się, że to uczynili poszukiwacze złotych obrączek i innej biżuterii, popularnie zwani hienami cmentarnymi?

Przebywanie na cmentarzu, na którym nie widać żywego ducha pobudza dreszczyk emocji. I ma się ochotę wiać gdzie pieprz rośnie, ale jeżeli przeżyło się wojnę i okupację, to się nie jest tak strachliwym. Okaże się zresztą w późniejszym czasie, że ten cmentarz będzie naszym ulubionym miejscem zabaw i podchodów wspólnych z koleżankami i kolegami z naszych bloków.

Przypominam sobie jak któregoś wieczoru, ojciec rozpałił ogień pod kotłem w łazience I mieliśmy się pierwszy raz wykąpać w wannie o długości prawie dwumetrowej. Muszę tutaj wspomnieć, że w tamtych czasach ludzie nie posiadali powszechnie łazienek, a myli się najczęściej zimną wodą z kranu albo na wsi ze studni. Ciepła woda tylko wtedy była, jeżeli się ją zagrzało w garnku na blasze piecyka.

Tutaj we Wrocławiu też nie mieliśmy centralnego ogrzewania ani podwójnych kranów z których leciała by ciepła i zimna woda. Taki luksus mieliśmy tylko w łazience i nazywał się baterią. Toteż po nagraniu kotła można było sobie dowolnie regulować dopływ do wanny ciepłej i zimnej wody.

Była to olbrzymia frajda, kiedy poziom wody pozwalał na całkowite zanurzenie z jednoczesnym myciem głowy.

Pluskanie się nastrajało człowieka do śpiewania wszelkich piosenek, jakie tylko przychodziły do głowy. Nie wiem, dlaczego głos w łazience tak ładnie dudni?

Szczęście rozpierało pierś z posiadania takich wygod. Ten przyjazd do Wrocławia podziałał na mnie jakbym się na nowo narodził. Odkrywał świat na nowo, a starał się z pamięci wykreślić okropne i ponure lata okupacji w Poznaniu.

Na moje dobre usposobienie miało też wpływ to, że było lato, wakacje i grono nowych ciekawych kolegów, a również codzienne odkrywanie nowych okolic.

Nie wszędzie było tak bajkowo! Jadąc pociągiem już od Osobowic widziało się morze ruin, poskręcanych przeseł mostu, pozatapiane barki i stateczki rzeczne, a im bliżej stacji kamienice zbombardowane i wypalone sterczące tylko frontowymi ścianami bez okien.

Ludzie twierdzili, że miasto uległo zniszczeniu w 80 procentach. Największe hałdy gruzu zalegały rejon placu Grunwaldzkiego, dworca Świebodzkiego i starówki. Dzielnice zewnętrzne szczególnie północne, jak Karłowice i nasza Różanka, po Niemiecku – Rozental Nie ucierpiały prawie wcale.

*

*

Zapoznałem się z chłopakami z mojej bramy. Edek Sypniewski jest w moim wieku i już wiem, że będziemy chodzili do tej samej klasy. Bogdan brat Edka jest o dwa lata starszy, a Maryś o trzy lata młodszy ode mnie. Od państwa Zachciałów – Marian jest o dwa lat młodszy, ale przeważnie siedzi w domu przy mamie.

My włóczyliśmy się wszędzie, przeważnie bywam z Edkiem. Najpierw poznaje ich ogród! Jest fajnie! Na stawie mają łódkę. Trochę wiosłujemy. Udajemy, że pływamy po dużym jeziorze wśród szuwarów.

Edek w tajemnicy pokazał mi pistolet, bębnowy typu Colt. Znalazł go gdzieś niedaleko i powiedział, że tam jest dużo broni i amunicji. Ja ażeby nie być gorszym i trochę się dowartościować opowiedziałem jak w Poznaniu na podwórku szkolnym na ulicy Jarochońskiego gdzie chodziłem najpierw strzelaliśmy z chłopakami z splotek karabinowych. Było to na tyle bezpieczne, że uprzednio wyjmowaliśmy z łuski pocisk i pozbywaliśmy się prochu.

Umówiliśmy się z Edkiem, że któregoś dnia postrzelamy sobie na jego ogrodzie. Z ulicy kiwał do nas jakiś blondyn. Edek powiedział, że mieszka on po sąsiedzku na ulicy Kamńskiego i nazywa się Henryk Kliks, a jego ojciec jest kolejarzem.

Kiwnęliśmy na niego ażeby przyszedł do nas. Ponieważ mnie pierwszy raz widział, powiedział: - Cześć brachu, pewnie niedawno przyjechałeś? A skąd, można wiedzieć?

- Z Poznania – odpowiedziałem. – A to jesteśmy krajanami! Bo ja ze Zbąszynie.

Powiedział, że ma tylko młodszą siostrę, ale to jeszcze dzieciuch.

Widać było po jego zachowaniu, że trochę się zgrywa na chojraka, może, dlatego że był okularnikiem i na dodatek trochę za pulchny.

Bardzo dużo czasu spędzałem poza domem. Z chłopakami na ogół graliśmy w palanta, jest to gra podobna do amerykańskiego bajsbolu, albo na boisku szkolnym w siatkówkę. Ulubioną zabawą była walka Indian z białymi, albo wojna Polaków z Niemcami. Terenem tych chowanek był rejon ogrodów działkowych przylegających do ulicy Kamńskiego z jednej strony i pod betoniarnie z drugiej strony. Ogródki działkowe jeszcze do niedawna zamieszkałe przez wystraszonych Niemców. W głębi za działkami znajdowały się gęste chaszczki i zarośnięte trzciną stawy. Całkowicie dziki i bezludny krajobraz. Tworzyliśmy dwie grupy po 10 – 12 osób. Szukanie przeciwników trwało nieraz kilka godzin. A w momencie, kiedy spotykały się dwie grupy dochodziło do wymiany pocisków. Rzucaliśmy do siebie owocami, pomidorami, deskami i czym tylko popadło. Raz, pamiętam jeden z kolegów dostał w głowę glinianym pojemnikiem na wodę dla gołębi. Krew lała się, trzeba było zawołać nieco starszą dziewczynę, mianowicie, Dankę, która opatrzyła ranę kolegi. Były to zabawy na pewno niebezpieczne, ale my dzieci wojny byliśmy dość swobodni i na pewno trochę rozpuszczeni! Nie mogę powiedzieć, że istniała jakaś nienawiść pomiędzy nami. Raczej czuliśmy, że łączy nas przynależność do jednego narodu Polskiego, chociaż mówiliśmy różnymi gwarami. Byli wśród nas Lwowiacy, Ślązacy, Tarnowiacy i Poznaniacy. Do naszej bandy należeli – Czesiek Szrodke, - pseudonim orzeł kulawy-, ponieważ utykał na jedną nogę. Julek Stachowiak, Heniek Wencel, Zenek Piechota, bracia Sypniewscy, Heniek, Kliks i inni. Jedyna dziewczyna w naszej bandzie jak już wspomniałem to, Danka – pseudonim – sarenka modrooka. Mój pseudonim to Old Saterhand. Byli jeszcze Winetou i Unkas oraz inni znani Indianie z książek Karola Maja. W szkole w jednej ławce siedziałem z fajnym kolegą, Zbyszkiem Tworkowskim który mieszkał blisko szkoły na narożniku ulicy Kamńskiego i ulicy Żmigrodzkiej. Dom w którym mieszkał wyróżniał się na tle innych domów, po pierwsze że stał samotnie na tym narożniku a po drugie posiadał ciekawą architekturę, przypominał domek baby jagi z tym że był dwupiętrowy. Zbyszek mieszkał z babcią, bez rodziców, którzy zginęli w czasie zawieruchy wojennej. Wojna pozostawiła wiele sierot! Poznawaliśmy się właściwie na przerwach, na lekcjach nie wolno było gadać ani się wiercić. Było kilku waśniaków w mojej klasie, jak mi się początkowo wydawało. Chodzili ubrani w mundury wojskowe armii zachodnich. Niektórzy byli starsi od nas o cztery lata. Okazało się że są fajnymi kumplami, że poznali kawał świata oraz że mają o czym opowiadać. Jeden przywędrował nawet z Iranu i Palestyny. To razem z wojskiem wędrowały sierociniec wyrwane z niewoli Rosyjskiej, ci których tyfus oszczędził i wytrzymali torturę głodu a ich rodzice na zawsze pozostali w tej nieludzkiej ziemi. Dziewczyny w naszej klasie były uczynne i uśmiechnięte, pozytywnie do wszystkiego nastawione, nie mieliśmy z nimi żadnych zatargów. Mogę nawet powiedzieć, że później już takich nie spotkałem! Ale mój pogląd na nie pewnie wynika też z tego, że chodziłem już tylko do szkół męskich i znałem je raczej z romantycznej literatury, dlatego miałem skłonności do idealizowania ich i pewnie w obcowaniu z nimi w późniejszym okresie np. na prywatkach. Byłem nieśmiały i zdawałem też sobie sprawę, że nie jestem przystojniakiem, za którym Wszystkie dziewczyny szaleją. Zawsze byłem za chudy i sam siebie nazywałem rycerzem Chudogębą. W sumie nie pamiętam ilu nas razem z dziewczynami było w klasie, wieże Na pewno nie było żadnej ciasnoty w ławkach. Nauczyciele mieli nas jak „na patelni”, toteż Wyciągali często do tablicy i to, kiedy przyłapali na gadaniu-za ucho! Moje wspomnienia z tej szkoły, szczególnie, jeżeli chodzi o nauczycieli nie zbyt mile, toteż nie uczyłem się dobrze!

Polonista nie zauważył nawet, że pisałem ładne wypracowania. Dopiero w następnej szkole to doceniono, ale o tym później!

• *
•

My rodziny kolejarzy mamy darmowe rodzinne bilety kolejowe oraz osiemdziesięcioprocentowe zniżki na wszystkie przejazdy kolejowe. Taki bilet bezpłatny rezerwowaliśmy sobie zazwyczaj na dalsze podróże, ponieważ było ich chyba tylko trzy na cały rok. Ten bilet wypisywało się na dowolną trasę, tam i z powrotem, można było wypisać nawet miejscowość na drugim końcu Polski. Można było zrobić przerwę w podróży w dowolnym miejscu, aby tylko znajdowała się na trasie przejazdu i co najważniejsze bilet ten był ważny trzy dni.

Z tego kolejarzkiego przywileju korzystaliśmy dość często, oszczędzając oczywiście bilety na Ważniejsze podróże, ale korzystanie ze zniżki umożliwiało nam kontakty z rodziną. Czy to w Poznaniu, czy to w Oborzyskach Oborzyskach, Kościanie. W tym czasie chodziłem jeszcze do szkoły powszechnej, tak się wówczas nazywała. Wielokrotnie podróżowałem, czy to z ojcem, czy matką. Wtedy na ogół przebywając w Poznaniu spaliśmy u ciotki Jadwigi, na naszym poprzednim mieszkaniu albo też bywało u wujka Stacha Nowaka.

Podróż w tym kierunku, mam na myśli Poznania nie należała do wygodnych. A to z tego powodu, że most w Szewcach około 30km od Wrocławia w dalszym ciągu był w remoncie i trzeba było z bagażem wysiadać, przechodzić przez prowizoryczny drewniany rozpięty nad rzeczką i wsiąść do drugiego pociągu podstawionego, który podstawiony pusty czekał na podróżnych. Na tej operacji, tej pielgrzymki ludzi z tobołami traciło się około godziny? Kiedy się doda czas tracony na niezliczoną ilość przystawania na różnych małych stacyjkach, to cała podróż trwała sześć godzin?

Na tej trasie zawsze olbrzymie wrażenie na mnie robił przejazd przez żelazny most na Odrze W Osobowicach! Most swoją wysokością i długością przerażał! Dudnienie, skrzypienie metalowej konstrukcji i niekończąca się jazda przez niego powodowała cierpienie skóry na plecach. Zwłaszcza, że w dole leżało mnóstwo poskręcanych przęsł, podtopionych barek, czy innych statków rzecznych, różnokolorowych i o różnych kształtach. Były tak na dole krótkie holowniki z kominami i długie pojemne barki.

Aż dziw bierze, że Niemcy nie zniszczyli konstrukcji mostu? A udało im się to z takim przecież nie długim mostem w Szewcach?

Przyjeżdżając do Poznania zauważało się brak gruzów. Prawie normalny ruch pieszych komunikacji tramwajowej. Z każdym przyjazdem widziało się coraz więcej czynnych sklepów, czego nie można było jeszcze dostrzec w olbrzymim zrujnowanym Wrocławiu. Wychodząc jednak do miasta Poznań wydawał mi się malutki i prawie bez śladów wojny? Kto nie znał Wrocławia z tego czasu, tych ogromnych przestrzeni? Widziałem jak stopniowo podnosił się z gruzów i zaludniał odległe dzielnice nie może powiedzieć, że widział Feniksa jak wstaje z popiołów?

W Poznaniu odwiedzaliśmy rodzinę. Raz z Jurkiem Weisem kuzynem odwiedziłem jego dziadka na Jeżycach. Wtedy to ćwiczyliśmy z nim przy muzyce z płyt taniec zwany karioką. Jurek tłumaczył, że tańczy się go jak tango, ale trzeba stosować różne wyginania, nawet dość ciekawe, ale trzeba mieć giętki kręgosłup? Przypomniałem też jemu jak chodziliśmy do Parku Wilsona gdzie zaraz po wojnie mieściło się centrum sporu. I tam zakładaliśmy rękawice bokserskie, aby się naparzać? Nie powiem, z jakim wynikiem końcowym się rozstaliśmy - powiedzmy, że był remis! Przy każdej bytności odwiedzałem moją kochaną i mądrą babcie Józefę. Biedaczka coraz mniej wychodziła z domu, przez te jej puchnące nogi, ale była przy niej Stefa i Zygmunt moi kuzynowie, którzy potrzebowali jeszcze babcinej twardej ręki. Nieraz żaliła się na swoją niemoc i trudności wychowawcze z nimi. Gdzie ten piękny okres, kiedy jeszcze z babcią chodziłem do kina Rialto?

Mój pierwszy pies! To było wydarzenie i przeżycie niezapomniane. Wróciłem właśnie do domu i zasiadłem do obiadu, kiedy nagle coś zapiszczało pod stołem. Zjrzałem i nagle żółta żywa kuleczka piszcząc weszła mi na nogę! Gorąca fala radości opanowała mnie do tego stopnia, że wziąłem tą kuleczkę w dłoń i podniosłem do twarzy. Piękna mordka patrzyła na mnie ze strachem, kiedy tak wysoko go trzymałem. Pomyślałem wtedy, że pewnie niedawno zabrano go od psiej mamy i rozpaczliwie szuka, ciepłej, przyjemnej istoty. Przytuliłem go do piersi i zapytałem Tatę: Czy to jest już nasz piesek? -- Tak! -- Odpowiedział. Ale pod jednym warunkiem! W tym momencie byłem gotowy spełnić wszystkie warunki. Ojciec mówił dalej -- Nauczysz go siusiać na piasek, a później będziesz wyprowadzał na spacer! Na wszystkie warunki wtedy godziłem się ochoczo jak to normalnie mówią dzieci uradowane takim prezentem! --Pamiętaj Janusz, że to nie jest zabawka. To będzie jak twój brat, o którego przez wiele lat będziesz dbał! -- Dopowiedział ojciec. Pieskowi nadałem imię „Pikuś” bo takie właśnie przyszło mi na myśl. Od tego dnia zbierałem wszelkie informacje gdzie się tylko udało, ale najwięcej dowiedziałem się od swojego Taty na temat karmienia, tresowania i higieny związanej z taką psiną. Pierwsze dni były okropne! Pikuś powinien nazywać się lejek! Biegałem po kuchni i korytarzu ze szmatą, szukając mokrych placków. I tak Mama, co chwila pokazywała mi nowe, a zdarzało się mi, że musiałem zbierać trochę grubsze kupki. Ha! Trudno! Jeżeli się pokocha stwora – trzeba się poświęcać. Mogę tylko powiedzieć, że jadł i kupkował. Nadeszły jednak wkrótce dni, że zaczął już coś niecoś rozumieć. Już mu w główce układało się, że piasek kojarzy się ze spacerem na dworze, a dywany w pokojach to jest tabu! Że nie wolno na razie wchodzić za próg pokoju. Nauczyłem go wkrótce podawania łapy, i siadania.

*

*

Dni upływały mi szybko i radośnie. Nowe otoczenie, nowi koledzy, dostatek owoców i pięknych kwiatów w naszym ogrodzie pozwalał na szybkie zapomnienie wojny i lat okupacji. Razem z kolegami poznawałem coraz dalsze okolice. Zapuszczaliśmy się w odległe rejony Różanki i Karłowic. W klasie miałem kolegów którzy mieszkali na ulicy Na Polance – położonej przy blokach nad jedną z nitek Odry. Widok z jego okien na czwartym piętrze był wspaniały, w dole po lewej stronie widać było most Trzebnicki i po prawej stronie most Osobowicki. Na wprost widać było Jazy i śluzy zamykające i podnoszące poziom wody i również elektrownie wodną. Wysokie wały trzymały rzekę w obu nitkach na odpowiednim poziomie. Barki rzeczne uszkodzone tkwiły nieruchomo. Zielone poldery latem służyły jako plaże, a zimą na skocznie narciarskie. Był tam taki jeden odcinek piaszczysty gdzie gromadziło się wielu ludzi w czasie upału, zwłaszcza, że znajdowały się tutaj w długim drewnianym budynku szatnie i prysznic. Mosty widoczne jak na dłoni bardzo się różniły konstrukcją. Metalowy, nitowany z olbrzymimi przęsłami, pomalowany na zielono, służył już bardzo intensywnie, ponieważ większość linii tramwajowych biegła przez niego ulicą Trzebnicką w kierunku centrum Starego Miasta. Most Osobowicki to zabytek, cały z czerwonej cegły całkowicie w innym stylu, ale też piękny! Szeroki z podwójnym torem tramwajowym, niskimi murkami ochronnymi.

W Poznaniu takiego mostu nie było!

Sprawdziłem na zegarku/ stara poniemiecka cebula z łańcuszkiem?. Szedłem naszą alejką od ulicy Maurycego Mochnackiego do pętli tramwajowej około piętnastu minut. Był to marsz wśród zieleni ogrodów po prawej i mijanych domków po lewej. Za chwilę mijam tancbudę czyli drewniana poniemiecka kawiarnie i sale taneczna! Niegdyś to był ładny obiekt. Obecnie straszy szkieletem bez okien, ale intrygującym naszą paczkę z blokową kolejowych swymi tajemniczymi pomieszczeniami malunkami na ścianach. Zauważyć można było przychodząc tu od czasu do czasu jak rozbierano ten obiekt. Wymontowywano urządzenia sanitarne pozniakały już ścianki działowe pewnie na opał? Pomyślałem, że szkoda! Niegdyś tutaj bawili się Niemcy w otoczeniu zieleni. Na pewno wieczorami zapalali lampiony- a wojna była dla nich obojętna! Hitler im wmówił, że są narodem stworzonym do panowania nad całym światem! ŻĘ inni to, podludzie którzy im będą służyć do wszelkich prac jako niewolnicy. Roztaczał przed nimi taką świetlaną przyszłość, że ni mieli powodów do zmartwień, Co ich obchodziło, że inne narody giną, tracą dorobek całego życia? Im się powodziło coraz lepiej! Kroniki filmowe pokazywały przecież szlachetnego niemieckiego żołnierza, który podbija inne kraje miasta, przeciwników zaś w łachmanach, poddających się żołnierzy, czy też ludność witająca ich kwiatami! Przecież Hitler powiedział, że ich przestrzeń życiowa to jest urodzajna Ukraina i to się należy im Niemcom ażeby wyżywić tak duży naród! Może tylko coraz częściej ubywało w ich domach rodzinnych ojców czy braci czy synów? Odchodzili na wszystkie fronty Europy! Nie wiem czy Wrocław był bombardowany tak często jak inne miasta niemieckie? My w Poznaniu przeżyliśmy dwa ogromne naloty po 1000 samolotów za każdym razem Raz przylecieli amerykanie chyba w nocy a drugi raz Anglicy! Alarmy wyrwały nas w nocy na równe nogi a nakaz zmuszał nas do zbiegania do piwnic, czyli do prowizorycznych schronów! Tak często z tego powodu ze trasy samolotowe lecących na bombardowanie Niemiec prowadziły często przez Poznań! Widzieliśmy w nocy zanim zeszliśmy do schronu jak na niebie wędrowały smugi reflektorowe. Jak gdakały gdzieś niedaleko, chyba na ulicy J. Matejki działa artylerii przeciwlotniczej? Miąłem wreszcie tancbudę i zszedłem w dół na skróty do ulicy Lindego i dalej na Kasprowicza. Tą drogą chodziliśmy często do kościoła i na wały Odrzańskie zima na narty a latem na przechadzki! Od ulicy Kasprowicza odchodziły uliczki Wincentego Pola, Langiewicza, Syrokomli a dalej idąc Kasprowicza można było dojść do pl. Gotwalda obecnie pl. Daniłowskiego. Cały ten rejon był przez nas rozpoznany. Młodzież stąd przychodziła do kościoła i też chodziła do naszej podstawówki nr 20 przy ulicy obecnie Kamińskiego.. Na placu było kino, do którego w niedziele chodziliśmy na poranki!

W rejonie moich bloków kolejarskich były ulice: Brodzinskiego Romanowskiego, Romanowskiego alejkę nazwano później drogą rowerową! Za moją ulicą Mochnackiego były jeszcze Baczyńskiego Kocha. I przy cmentarzu Gąsiorowskiego! Cmentarza już niema, ale zrobiono tam później piękny ze starodrzewiem park nazywa się Park Marii Dąbrowskiej! Ul Kamińskiego można było dojechać rowerem do dzielnicy Poświatne i do Polanowic? Po drodze mijało się ruską fabrykę jak to wtedy nazywaliśmy! A były to zakłady remontowe aut ciężarowych pod tytułem ZIS piać- z góry jechać a pod górę pchać ! Takie to dykteryjki krążyły o nich!

W pobliżu bloków Fredka Feifera znajdowało się boisko do piłki nożnej. Nieraz tutaj przychodziliśmy na mecze, oczywiście kibicowaliśmy drużynie kolejarzy.

Ale największą atrakcją była stacja i kolej wąskotorowa, która jeździła wzdłuż ulicy Żmigrodzkiej, przy młynie Różanka, przez Poświętne w kierunku Trzebnicy i Milicza- Ale to w latach późniejszych!

Poznałem również rejony ulicy Obornickiej, Kwiatowej, słynna tancbudę ' Pod Beczką ' W dzielnicy Różanka jak nazwa wskazywała było bardzo dużo zieleni i kwitnących róż, wspaniałe ogrody, oczka wodne, tajemnicze i niebezpieczne zarośla z pozostawionymi minami, bronią, amunicją, budynkami fabrycznymi. Okolica prawie bezludna – jak po wielkim kataklizmie!

My chłopaki czuliśmy się jak odkrywcy na obcej planecie poszukujący śladów życia w opuszczonych murach zakładów fabrycznych.

Ilekoć się zapuszczałem w nowe nierozpoznane jeszcze przeze mnie okolice towarzyszył mi dreszczyk emocji. W głowie odzywały się ostrzeżenia ojca, ale ciekawość pchała do ryzyka. Nieraz okazywało się, że opatrność nade mną czuwała i ratowała mnie od niechybnej śmierci!

Najbliższe okolice, które już zbadałem to Psie Pole słynne miejsce z historii, Polanowice i Osobowice. Zakłady Naprawcze Kolejowe mieszczą się przy ulicy Rychtańskiej po drugiej stronie Odry, zresztą prawie całe miasto znajduje się po tamtej stronie rzeki. Do ojca do pracy jeżdżę rowerem na skrót, po przejechaniu mostu Trzebnickiego za budynkiem jakiejś Instytucji skręcam w lewo i drogą przeznaczoną tylko dla rowerów i pieszych jadę wzdłuż muru ZNTK, widać za nim parowozy czekające na remont. Po chwili jestem już wewnątrz na stolarni, której kierownikiem jest właśnie mój Tato!

Przyjeżdżałem tutaj często, na portierni już mnie znają, lubię kręcić się wśród jego pracowników, pomagać, oglądać maszyny również parowozy remontowane na kotłarni. Straszny huk stamtąd zawsze dochodzi, to oczyszczane z kamienie kotłowego są rury, już trochę o tym wiem. Naczelnikiem zakładów jest inżynier Krawczyński, a zastępcą inżynier Kilar. Na tym terenie stoi wiele innych hal. Biura też się tu znajduje, wszystko to z czerwonej cegły, obecnie już wyremontowane i w pełni sprawne. Ale 1945 roku, kiedy ojciec tutaj przyjechał było wiele zniszczeń celowo dokonanych przez Niemców.

Z zaopatrzeniem w żywność w tych latach 46-47 nie było jeszcze zbyt dobrze. Mało sklepów w całym zrujnowanym mieście. Dobrze, że mamy w naszej bramie sklep p. Sypniewskich, a naprzeciwko szkoły piekarnie, w której chleb na ogół jest do kupienia. Mięso jest na kartki, raz w miesiącu jedzie się do miasto po tak zwaną ' rąbankę '. Mama tak gospodarzy, że nie chodzimy z Teresą głodni!

Wieczorami lubię słuchać radia! Pierwszy raz w życiu mamy dobre radio wielozakresowe, muzyka z całego świata. Słucham dla zabawy i nauki różnych stacji i próbuje odgadnąć, w jakim to jest języku. Przekonałem się, że w przyszłości to się przydaje, wiele słów w różnych językach jest takich samych albo podobnych. Inną moją rozrywką jest gra na pianinie. Nut w domu jest dużo, oczywiście tylko niemieckie. Nie mogę w żaden sposób dopasować ich do klawiatury! Mój ojciec trochę gra i to z nut, czego mu zazdroszczę. Postanowił, że Teresa będzie się uczyła u jednej pani- może coś z tego będzie?

Często bywam, piętro niżej u Sypniewskich, u nich można przeżyć ucztę duchową. Bogdan gra już świetnie, a szczególnie lubię słuchać jego gry na akordeonie. Pan Sypniewski gra na pianinie, a i Edek też coś tam bębnił. Ich rodzina jak również k rodzina Wasiólków -47 z którą

Są spokrewnieni jest bardzo muzykalna. Wujek W. Gra w radiu utwory solowe i bardzo przykłada wagi do uczenia muzyki swoich dzieci.

Edziu do odrabiania lekcji nie ma tyle miejsca, co ja. U nich robią to na zmianę. Ja mam pełen komfort. Duże biurko, na którym rozkładam się wygodnie. Mapy wiszą. Na ścianie. U nas to

rodzinne zamięłowanie do map i podróży. Porównując nasze wyniki w nauce, to znaczy moje i Edka można powiedzieć, że byliśmy na jednym poziomie, ale ja przeczytałem więcej książek. Edek za to przewyższał mnie w sprawności fizycznej. Byliśmy jednak dobrymi przyjaciółmi, nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic.

Pierwszy raz w życiu miałem takiego przyjaciela. Był jeszcze jeden kolega przy mnie, nazywał się Janek Hausiu, mieszkał w ogródkach naprzeciwko naszych bloków. Był to chłopak, który chodził do naszej klasy, ale wszyscy traktowali go lekceważąco oczywiście chłopaki, w nauce nie szło mu też dobrze. Ja mam coś w moim charakterze, że lubię się takimi nieudacznikami opiekować. Traktowałem go na serio, nie wyśmiewałem, a ponieważ wśród kolegów miałem wyrobioną pozycję, to nikt nie odważył się w mojej obecności go zaczepiać. Od tego czasu 'Hausiu' był mi wierny jak mój giermek, starał się jak najczęściej przebywać ze mną, nie zawsze było mi to na rękę, musiałem robić uniki przed nim wychodząc nieraz z kumplami, miałem z tego powodu wyrzuty sumienia.

Przed naszym domem jak już pewnie wspomniałem stał słup ogłoszeniowy na samej górze. Znajdowały się kiedyś sprawne duże zegary. A poniżej niego szklane podświetlane tafle również rozmieszczone na cztery strony świata. Resztki jego świetności reklamowej jeszcze w pierwszych latach można było zauważyć, ale ludzie stopniowo dewastowali go.

Słup ten służył nam jako miejsce spotkań, jako miejsce dla wszystkich widoczne, czy to z ulicy Kamńskiego, Mochnackiego i ogródków.

Wszystkie dni we Wrocławiu upływały szybko i przyjemnie. Byłem radosny i szczęśliwy, za dużo czasu na pewno spędzałem poza domem. Mój ojciec, chociaż bardzo zajęty swoim zakładem pracy zauważył, że wciągnęło mnie życie bez trosk, że większość dnia spędzam z kolegami i moim psem Pikusiem. Matka też nie mogła mnie utrzymać w domu. Postanowił nałożyć na mnie trochę obowiązków.

Zadawał mi z matematyki zadania, które musiałem przed powrotem jego z pracy mieć rozwiązane. Pomagały mi w tym też korepetycje. Więcej godzin musiałem teraz przebywać w domu. Miałem przez to czas na rozmyślenia. Czasami zatęskniłem za Oborzyskami, za babkami, tą również z Poznania. Za kochaną, cierpliwą i wyrozumiałą ciocią Kasią, również ciocią Celiną Grygrową, w ogóle za wszystkimi, których pokochałem w tych latach ciężkich, głodnych i chłodnych.

Nie zdawałem sobie wówczas z tego sprawy, że to one, swoją dobrocią i miłością rodziną, której dzisiaj się już nie spotyka, ukształtowały mój stosunek do ludzi i świata.

Uwierzyłem wtedy, że wszyscy są dobrzy, życzliwi, jeżeli i my im to dajemy. Niestety okazywało się bardzo często że ludzie, nawet nasze dzieci potrafią być okrutne, zimne, wyrachowane, aroganckie.

Brak im często tej pokory, której nauczyła nas wojna i niewola. Nasze ideały wyrzucili do śmietnika, grzeczność, dobre maniery przestały istnieć. Liczy się tylko siła, tupet i pieniądze. Normalna postawa to maczo i kobieta wolna od kompleksów i moralności.

Ideały dzisiejsze to filmy Amerykańskie. Posiadanie wszelkich dóbr materialnych.

Rozwój intelektualny! – Po co? Wystarczy poziom Big Bradera! Myśleć o jutrze, o planach, o dzieciach, o kształtowaniu ich przyszłości – znowuż, po co?

Żyć tylko dniem dzisiejszym, zlekceważyć wszystko, co mówią rodzice? Religia, moralność—dla głupców! Przyjaźnie intelektualne, – po co? Wystarczy trochę alkoholu i kolega prostak, który imponuje forszą, chamstwem i łamaniem ogólnie przyjętych norm kultury.

Jak wyglądało nasze wyżywienie w tych pierwszych latach we Wrocławiu i ilość sklepów w tym mieście, niech świadczy to, że w naszym osiedlu Różanka i w całej dzielnicy Karłowice, to jest prawie cały rejon po północnej stronie Odry, nie posiadał sklepu mięsnego, jak to się dawniej nazywało? Na Różance była jedna piekarnia na ul. Kamńskiego naprzeciw naszej szkoły pana Karczmarka i jeden sklep spożywczy w naszej bramie pana Sypniewskiego.

Kartki, które upoważniały nas do odbioru miesięcznego przydziału mięsa, realizowało się w mieście w rejonie Dworca Nadodrza.

Kupowało się tutaj tak zwaną „rąbankę” tzn. rzeźnik, czy też sprzedawca odrąbywał kawał świni, w zależności ile kartek pracowniczych i rodzinnych się posiadało. Nie można było sobie wybierać, co lepszych kawałków tylko otrzymywało się „tak jak leci”. O kielbasie, nawet tej najzwyczajszej można było sobie tylko pomarzyć.

Pamiętam, że przez wiele lat nie zakosztowałem tego specjału!

Kto potrafi sobie dzisiaj wyobrazić, że pieniądze nawet były, tylko nie było, co za nie kupić? Dzisiaj mamy różne gatunki kielbas, baleronów, szynki i polędwic a wtedy nikt nawet o nich nie słyszał i na oczy nie widział. Można powiedzieć jednak dla oddania całej prawdy, że kto miał rodzinę na wsi, a trafił na świnioobicię to mógł popróbować domowej roboty kielbas, salcesonów czy kaszanek. Można też było kupić, jak to się wtedy mówiło „spod ręki” na wsi, ale to też nie było legalne i groziły za to kary. Nie wszyscy jednak mieli takie możliwości, toteż w miastach było dużo gorzej aniżeli na wsi. W tym to okresie zaczęło się w miastach, szczególnie, kto miał ogródek działkowy hodowanie królików, świnek a później nutrii.

Nasz sklep spożywczy, który początkowo prowadziła rodzina państwa Sypniewskich posiadał tylko niektóre artykuły. Mówię tutaj o początkach, ponieważ w późniejszym okresie, kiedy zaczęła się nagonka na prywatnych kupców i restauratorów, UB aresztowało pana Sypniewskiego pod zarzutem kupowania towarów bezpośrednio od chłopów, sklep jego przejęła bezprawnie spółdzielnia. W tej ograniczonej ilości artykułów w sklepie kupowaliśmy mąkę, mleko, marmoladę, kaszę, sól, cukier.

Olej w pierwszych latach otrzymywaliśmy z amerykańskiej UNRY.

Warzywa hodowaliśmy w ogródku: kapustę, kalafiora, cebulę, kalarepę, czosnek, magii, marchew, pietruszkę, seler, szczypiorek i porę.

Kapustę kisiliśmy sami, z owoców robiło się wino, a piwo mama robiła ze słodu. Dobre to było piwo, tylko jak za długo stało na półce w butelkach korkowanych to natrafiło samo strzelać od nadmiaru gazu.

Mięso jemy dwa razy w tygodniu, trzeba tak rozdzielać ażeby przydział wystarczył na cały okres.

Tych ogromnych ograniczeń nie odczuwamy tak dokuczliwie, bo jesteśmy wolni, wtedy jeszcze nie znaliśmy całej prawdy o naszym poddaństwie, toteż byliśmy pełni optymizmu w lepsze jutro.

Wolność to wspaniałe uczucie, po latach niewoli, jesteśmy zdrowi, chwała Bogu za to, bo do lekarzy daleko i prawie ich nie ma i co najważniejsze jesteśmy razem i możemy się kochać! Pięknie jest żyć w zgodzie i miłości do bliźniego swego, człowiek się czuje taki czysty i szlachetny!

Dzisiaj wiem, że to był mój najpiękniejszy okres w życiu, ludzie promieniowali serdecznością i życzliwością do siebie. Po tych trudnych latach nauczyli się pokory! Nie było żadnych dyskusji roszczeniowych, a to, że się komuś coś należy, że można na kłamstwie i intrygach budować swoją przyszłość. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że przyszłość każdego z nas zależy od niego samego, od nauki i jego pracy, bo start wszyscy mieliśmy równy!

Byłem szczęśliwy i bez troski dzięki temu, że dbał o nas ojciec!..

Nikt nie tęsknił za sprawami materialnymi, po tej strasznej okupacji ludzie chcieli wierzyć w lepszą przyszłość. Cieszyłem się również z tego, że ojciec wtedy zdecydował się na nasz wyjazd!

Wyjazd z Poznania. Dzięki temu poznałem innych ludzi, ich tradycje, ich sposób myślenia, stosunek do ludzi i spraw historycznych, można powiedzieć że zdobyłem szerszy horyzont myślowy, nieograniczony tylko do spraw związanych z zamieszkiwaniem w jednym historycznie związanym rejonem Polski.

Rozwój człowieka zależy od wielu czynników, ale na pewno trzy są zasadnicze. Po pierwsze, co się wynosi z domu, czyli jak Niemcy to nazywali „Kindersztuba”. Są to zasady wiary, uczciwości i stosunku do ludzi. Drugim elementem kształtującym człowieka jest jego środowisko, czyli, z kim przebywa, z kim się zadaje i co przejmuje od niego? Czy dobro, czy zło? Pytanie jest takie, czy zasady wyniesione z domu oprą się złym prądom wnoszonym nieraz przez niewłaściwie dobrane środowisko. Oczywiście, że środowisko może też wносить dobre cechy do charakteru, a nawet wpływać ambicjonalnie na rozwój intelektualny człowieka, pobudzać do zdrowej rywalizacji. Ten czynnik ma olbrzymi wpływ na ukształtowanie się charakteru.

Wreszcie trzeci czynnik to wykształcenie. Daje ono człowiekowi zrozumienie wielu spraw i zarazem, nakłada pewną odpowiedzialność za sprawy i losy zależnych od niego ludzi.

Cieszył mnie powszechny szacunek i poważanie, jakie zdobył sobie mój ojciec we Wrocławiu.

Darzyli go nim nasi sąsiedzi jak również pracownicy i kierownictwo zakładów kolejowych. Cieszył się powszechnym autorytetem. Byłem dumny, że jestem synem Feliksa Nowaka.

Na pewno nie było to łatwe dorównać jemu, mnie synowi, zdobyć jego uznanie za swoje postępowanie. Wiem, że przynosiłem jemu zaszczyty, ale też przyniosłem i wstyd.

Myślę jednak, że tych pierwszych było więcej i że rozumiał mnie dość dobrze, chociaż życiowa maksyma mówi: wiem, jaki był mój ojciec, ale nie wiem, jaki jest mój syn?

Chętnie mnie przyjmowano w domach jego kolegów czy współpracowników. Do niektórych lubiłem zachodzić, ponieważ były tam ładne dziewczyny. Wprawdzie byłem jeszcze wtedy nieśmiały, ale lubiłem im się przyglądać czy słuchać ich szebiotania

Pan Sypniewski ma fajne auto, jest to trójkołowiec, tylko z jednym kołem z przodu. Wygląda trochę śmiesznie, ale marze o tym ażeby się nim przejechać. Bogdan jeździ nim po towar dla sklepu, Udało mi się kiedyś przejechać nim ale na pace z tyłu, ale to była frajda!

Jak by to było pięknie ażeby tak w środku usiąść i trochę pokierować? Ciągnęło mnie do motoryzacji. Motoryzacja wówczas prawie nie istniała. Na ulicach widywało się bardzo mało samochodów osobowych, za to częściej motocykle takich marek jak na przykład DKW, BMW, NSU, czy też inne stare marki.

Wyścigi motocyklowe oglądałem kiedyś w Poznaniu, kiedy to odbywały się wyścigi uliczne. Pamiętam stałem na ulicy Jarochońskiego a koło mnie przelatywali tacy mistrzowie jak Mieloch czy Żymirski, Zapach eteru, jaki pozostawiali po sobie wprowadzał nas w wielkie podniecenie

Jeszcze wiele lat miało upłynąć zanim pierwszy raz wsiądę na motor kolegi Mariana w Ostrzeszowie a później na swoja wuefemke 125.

Dzisiaj od rana mam dobry humor. Spieszę się z toaletą poranną. Mama przygotowała paczkę z jedzeniem. Włożyłem ją do chlebaka. Przed naszą klasą miła perspektywa całodziennego wycieczki poza miasto.

Pojedziemy „ciuchcią”, czyli kolejką wąskotorową do Trzebnicy położonej 30 kilometrów od Wrocławia.

Zbieramy się pod szkołą i po chwili dwie nasze klasy maszerują na ulicę Żmigrodzką. Przy Młynie Różanka znajduje się przystanek – stacja kolejki. Tory biegną tuż przy szosie.

Na przyjazd pociągu czekamy około 15 minut. Pokazała się wreszcie od strony ulicy Na Polance gdzie znajdowała się stacja początkowa.

Gwizdem oznajmiła, że się już zbliża. Mały parowozik dymiąc okrutnie wtoczył się na peron, a za nim węglarka i trzy wagony.

Maszynista wyjrzał z okna, a konduktor zeskoczył na peron i zaprosił nas do wsiadania.

Zapełniamy wszystkie wagony, pociąg przyjechał prawie pusty. Zajmujemy wszystkie miejsca siedzące.

Każdy z nas, dziewczyny i chłopaki mamy ze sobą „suchy prowiant”, czyli drugie śniadanie. Zapowiedziano nam przed wyjazdem, to znaczy kierownik szkoły pan Czerwinski i nauczyciele, że istnieje taka ewentualność – powrotu późnym wieczorem!

Pierwszy raz udajemy się jako klasa na wyprawę poza szkołę. Jedziemy do miejsca, które znamy tylko z opowiadań nauczycielki.

W pociągu siadam przy koleżance, która mi się bardzo podoba! Jadwisia usiadła przy oknie i zaprasza mnie ażebym usiadł obok niej, co też szybko czynię, ażeby mnie ktoś nie uprzedził!

Maszynista zagwizdał dwa razy i ruszyliśmy na spotkanie wielkiej przygody!

Mijamy peryferia, dzielnice Poświętne ze znanym mi już torem kolarskim. Przed oczami roztaczają się pola i niskie domki dość luźno rozrzucone. Przejeżdżamy przez żelazny most nad rzeczką Widawa. Wagony kolebią się na tych wąskich torach. Pogoda i nastroje mamy wyśmienite. Gwar rozmów jest tak głośny że nie słyszę co do mnie mówi Wisia. Zbliżyłem się do niej ażeby lepiej słyszeć, co do mnie mówi, wtedy stwierdziłem, że ma piękne błękitne oczy!

Mijamy kolejne miejscowości, wszędzie widać już polskie nazwy. Okolica dotychczas prawie płaska zamienia się w górzystą. Widać te góry po stronie zachodniej. Wiemy, że są to Góry Kocie i należą do pasma Gór Izerskich. Śmiesznie wyglądają jak na góry, można je raczej nazwać pagórkami.

Mijamy miejscowość Wysoki Kościół. Lokomotywa głośno sapie, wspinamy się na te małe góry, po chwili mijamy Wisznia Mała.

Przyjemnie się rozmawia z koleżanką, trochę mnie krępuje jej spojrzenie. Okazuje się że mamy wspólne zainteresowania, że lubi czytać książki i podróżować!

Wysiadamy wreszcie, podróż przeszła mi szybko i przyjemnie. Bardzo ładne miasteczko zabytkowe. Znajduje się tutaj kościół Świętej Jadwigi żony księcia Piastowskiego. Wewnątrz cudowne źródło. Proboszcz opowiada nam historię tej głębokiej studni znajdującej się wewnątrz kościoła!

Wnętrze nas mniej interesuje, chociaż widać piękne nefrytowe kolumny, bogactwo Dolnego Śląska, i wiele złocień i rzeźb.

Dowiadujemy się że w pobliżu znajduje się zabytkowe Opactwo Cystersów.

Wychodzimy z zimnych wnętrza kościoła i wspinamy się na nie wielką górę, trwa to jednak dość długą chwilę. Wychodzimy wreszcie na szczyt na polanę. Pada komenda – Stop, tutaj odpoczywamy!

Łąka na małym zboczu pachnie kwiatami. Widok mamy wspaniały. Na całą dolinę. Tam w dole widać szosę i tory naszej małej ciuchci, a na zboczach sąsiednich pagórków czerwone dachy lśniące w słońcu małych domków i kolorowe pola!

Dziewczyny skupiły się wokół naszej opiekunki, a my rozłożyliśmy się dość swobodnie w małych grupkach. Pani zaintonowała – „Płonie ognisko w lesie „, najpierw dziewczyny a po chwili i my zaczęliśmy wspólnie śpiewać. Piosenki harcerskie i nie harcerskie rozbrzmiewały, wyśpiewywaliśmy wszystkie znane nam piosenki.

Radość rozpieła nasze serca. Właściwie niewiadomo, z jakiego powodu?

Może powodem była nasza młodość? Życie bez zagrożenia i bez troski! Powszechne uczucie przyjaźni, które nas ogarniało!

To uczucie przenosiliśmy i na przyrodę, która nas otaczała i na wszystkie żywe stworzenia.

Wpatrywałem się w Wisię, kiedy tak w słońcu jej blond włosy mieniły się złotem, a różowy sweterek wyróżniał ją, jak motyla na tle zielonej łąki, kiedy śpiewała wspólnie z innymi!

Wyobrażałem sobie ją jako osobę delikatną, kruchą, serdeczną, uczciwą, a w podświadomości coś mi podpowiadało – to anioł!

Czyżby to było pierwsze moje zauroczenie? Ale było to przyjemne uczucie, miłe memu sercu, czułem się w tym wspaniale! Sam wydawałem się sobie lepszy.

Żeby tylko chciała zauważyć, że patrzę na nią moimi maślanymi oczami.

Ona była tak roześmiana i pewnie również szczęśliwa jak ja, szkoda, że nie z mojego powodu!

A ja jej nie powiem, co do niej poczułem, bo jestem chłopakiem w tych sprawach nieśmiałym.

Słoneczko świeciło już wyżej, ale przygrzewało nas rozmarzająco, tak, że nie chciało się nam biegać po wzgórzu. Leżeliśmy i gapiliśmy się na czyste, bez jednej chmurki niebieskie niebo inni podziwiali pejzaż – panoramę wokół Trzebnicy, a jeszcze inni na nasze dziewczyny i naszą panią. Nasza pani była osobą jeszcze młodą, ładną i wesołą – czuliśmy się z nią tak swobodnie, że zapominało się nawet o złych stopniach, które niejednemu z nas w ostatnim okresie się przytrafiło.

Przelatujące ptaszki z zaciekawieniem przypatrywały się nam, siadając na pobliskich krzaczkach i drzewkach zastanawiając się, kto to ośmiela się pierwszy raz, zająć ich ulubioną polanę.

Bo bez wątplenia byliśmy pierwszą wycieczką, która tutaj się znalazła od zakończenia wojny!

Patrząc na miasto, można by powiedzieć, że tutaj na pewno jej nie było!

Może tak front przeszedł, że zostały oszczędzone te zabytki. Pani opowiedziała nam jak wyglądała bitwa o Wrocław!

Wiedzieliśmy już z lekcji historii, jak to było. Wojska Radzieckie otoczyły to olbrzymie skupisko domów, placów, mostów i kanałów Odry. Dlatego że rozkazem Hitlera, miało być niezdobytą twierdzą, walczącą do ostatniego żołnierza.

Rozlokowano rosyjską artylerię pierścieniem opasującym miasto. Bombardowania lotnicze i tysiące pocisków wystrzeliwanych z tych dział zamieniały mury domów w rumowisko gruzów, Domy opuszczone przez mieszkańców, ale zajęte przez wojsko, sypały się jak zabawki, płonąc przy tym i rozsnuwając dym czarny, gryzący, zasłaniający widoczność radzieckim lotnikom.

Miasto przez SS było tak najeżone bronią i umocnione różnymi przeszkodami że zdobywanie go szturmem czołgami i piechotą trwało długo i z dużymi stratami. Walczono o każdą dzielnicę o każdy plac. Bezsensowny rozkaz powodował przeogromne zniszczenie i śmierć żołnierzy z obu stron.

Dopiero 7 Maja 1945 roku na dwa dni przed upadkiem Berlina i bezwzględną kapitulacją Niemiec, miasto Wrocław zostało zdobyte.

Dzień nam upłynął jak jedna chwila. Ale z dobrymi humorami szliśmy na stacje kolejki, bo jeszcze przed nami powrót tą śmieszoną ciuchcią, jadącą po rowach, polach i drogach.

Dzień zakończył się wspaniale!

Nigdy radość nie trwa długo. Człowiek musi przejść różne dla niego trudne momenty życiowe. Różne nieszczęścia go spotykają, niektóre z nich może dzięki swojemu rozumowi, przezorności, czy zwykłej ostrożności unikać!

Ale nie da się uniknąć śmierci starej schorwanej osoby a zarazem nam bliskiej i kochanej. Otrzymaliśmy wiadomość, która napełniła nas smutkiem. Zmarła babcia Zofia w Oborzyskach Starych. Kochana babcia, która tak się opiekowała nami wnukami z takim poświęceniem i odpowiedzialnością.

Niestety już 1945 roku wtedy, kiedy mieszkaliśmy jeszcze w Poznaniu i odwiedzaliśmy wieś, leżała przykuta chorobą do łóżka nie mając już całkowitej świadomości swego otoczenia. My młodzież nie rozumieliśmy tego. Tej nagłej zmiany. Dzisiaj mam wyrzuty sumienia. Ponieważ wtedy nawet robiliśmy jej różne nieprzyjemne psikusy, które na pewno jej się nie podobały, co nam dawała do zrozumienia oczami.

Skurczyła się w tym łóżku, była taka malutka! A przy niej ciągle obecna córka Kasia- dla mnie w moim odczuciu osoba święta, – która życie poświęciła służąc innym. Wyrzekła się własnego osobistego. Jak ten dobry duch czuwała nad dziećmi, szczególnie dbała o mnie, o mój charakter?

Pamiętam taki zjazd rodzinny w Oborzyskach¹, było to w 1945 roku albo na początku 1946 roku. Przybyli tutaj wszyscy, kiedy babcia leżała już chora nasi rodzice i my tzn. pamiętam był Wojtek, Jurek i ja. Dużo radości sprawiło mi też spotkanie z wujostwem Mądrymi z kochaną kuzynką Kazią. Cieszyliśmy się z wolności i z tego, że możemy znowu być razem. Kuzyna Kaźmierza już nie było w Oborzyskach, zaczął on prace na kolei, w ciągłym ruchu- jako konduktor. Bardzo dużo teraz podróżował.

Obeszliśmy wspólnie wszystkie miejsca magiczne, jak ogród babci, ziemianka cioci Józki, park przylegający do majątku.

Nareszcie mogłem obejrzeć ten słynny pałac w parku, do którego w czasie okupacji nie wolno było zaglądać!

Kiedy otrzymaliśmy telegram, wszystkie dobre chwile i ich ciepło, ich miłość przypomniła się na powrót? Ojciec postanowił, że my dzieciaki zostajemy w domu. On z mamą pojedą do Oborzysk, na pewno sami starsi tam się zjadą. Synowie i córki babci, Stachu, Janek, Feliks, Stella, i Jadzia, oczywiście z okolic rodzina z Kawczyzna, może też od Rybarczyków, - tak, że ludzi będzie bardzo dużo!

I tak to we Wrocławiu, w oddali żegnałem moją kochaną babcie!

Z opowiadania rodziców po ich powrocie, wiem, że Oborzyska Stare od lat nie widziały tylu członków rodziny Nowaków, Mądrych, Kaczmarków, Weisów, Rybarczyków, Grygrów, Nawracałów, powiązanych węzłami rodzinnymi, ale też zaprzyjaźnionych osób było wielu. Był to wielki hołd złożony tej szlachetnej i uczciwej kobiecie!

* * *

Dni we Wrocławiu płyną nam normalnym tokiem. Ojciec chodzi do pracy, ja i Teresa do szkoły. Pogoda jest ciepła chociaż to połowa września.

Wróciłem ze szkoły i wielka niespodzianka w domu! Mamy gości!

Wujek Włodek brat mamy z kolegą wystrojeni w paradne mundury przypominające mi przedwojenne generalskie, z przypiętymi do boku szablami. Wpadli na jeden dzień do nas. Jego kolega przedstawił się jako brat generała Żymirskiego. Szkoda, że u nas zabawili tylko jeden dzień, ponieważ musieli jechać dalej. Radość była jednak duża. Z wujkiem łączyła mnie wielka przyjaźń od najmłodszych lat!

Lato się skończyło! Jesień, okres zbiorów. Zrywamy jabłka szarą i złotą renetę do skrzynek, następnie zanosimy na strych nad naszym mieszkaniem. Ojciec zrobił z desek długie regały, na których układamy nasze owoce.

Jest tego tak dużo, że na pewno nie uda nam się zjeść do przyszłych zbiorów, na pewno część rozdamy. Oprócz pięknych, dorodnych jabłek posiadamy też gruszki Bery i orzechy włoskie. Tak zaopatrzeni nie byliśmy jeszcze nigdy w naszym życiu.

Życie szkolne po wakacjach nabiera normalnego rytmu, czyli to znaczy, że co jakiś czas klasówki albo sprawdziany. Dobrze, że mamy też lekcje tańca.

Sala gimnastyczna niestety jeszcze w leży w gruzach. Pogoda bezdeszczowa pozwala na zajęcia na boisku szkolnym.

Jednego dnia ojciec zaskoczył nas tak niespodziewanie pewną sprawą, która zarzutowała na moje życie w pewnym jego okresie dość znacząco.

Wrócił z pracy z workiem, takim, jaki używa się na ziemniaki, tylko, że ten worek, kiedy go położył w antrejce, zaczął się ruszać i popiskiwać. Pikuś natychmiast zwiertzył że to może być coś niebezpiecznego. Zaczął szczekać i skakać wokół worka. Ojciec nie wytrzymał i zamknął go w spiżarni. To na wiele nie pomogło, bo nadal szczekał. Natomiast worek zaczął się poruszać i przesuwać po podłodze.

--No, zajrzyjcie tam do środka, nie bójcie się—powiedział do nas.

Rzuciliśmy się z Teresą, wprawdzie trochę niepewnie. Ja otworzyłem worek, a Teresa

Wykrzyknęła: - To jest mała świnka!

A my myśleliśmy, że może drugi, mały piesek, żeby Pikusiowi się nie nudziło, a to świnka.

- Po co nam świnka?

Po chwili się wszystko wyjaśniło, ale chyba na naszą zgubę!

Tato powiedział, – ponieważ są trudności w aprowizacji będziemy chodowali na ogródku naszą 'Basie', czyli świnkę!

Jeszcze wtedy nie zdawaliśmy sobie, jakie obowiązki się z tym wiązały.

Nagle zauważyłem, że oprócz tego worka, ojciec przyniósł jeszcze szary karton z napisami w języku angielskim.

Nie zauważyliśmy go w pierwszej chwili, ponieważ pozostawił go w kuchni na krześle.

--A, co tam jest w tym kartonie? – Zapytała Teresa.

Otwórzcie, a zobaczycie – odpowiedział. Nawet mama była bardzo zaciekawiona. Karton był cały woskowany i oklejony taśmą. Po otwarciu okazało się, że w środku jest czekolada w tabliczkach, konserwy mięsne z koniny guma do żucia, masło kakaowe w puszcze, suchary. Na nasze uradowane i zdziwione miny wyjaśnił nam, że paczki pochodzą z UNRY, to jest amerykańska organizacja, która udziela pomocy żywnościowej państwom, które przeszły wojnę.

W zakładzie pracy, co jakiś czas będą rozdzielać pracownikom w zależności od wielkości rodziny odpowiednią wielką paczkę.

Zaczęła się zima, w nocy spadł pierwszy śnieg. Do Świąt Bożego Narodzenia pozostało jeszcze trzy tygodnie. Będą to pierwsze święta we Wrocławiu. Z dala od Henia, cioci Wikty, Wujka Stasia, babci Józefy i całej rodziny w Oborzyskach i rodziny w Poznaniu, którą tradycyjnie w tych dniach odwiedzaliśmy,

Ciekaw jestem jak to będzie? Z Teresą rozmawiamy na ten temat. Czy będzie prawdziwa choinka z lasu? Czy też tylko kilka gałązek świerku dla tradycji i zapachu?

W ostatnich dniach przed świętami zaobserwowaliśmy podejrzaną ruchy w sypialni rodziców. Podejrzenie duże paczki zanosił tam ojciec zaraz po przywiezieniu z pracy, a następnie zamykał drzwi na klucz, czego poprzednio nigdy nie robił. Klucz oczywiście zabierał ze sobą. Nigdy u nas nie zdarzało się tak, ażeby już przed Wigilią poznać tajemnice i wiedzieć, jakie prezenty dostaniemy! Na pewno nas korciło, co to może być?

Ale ten efekt niespodzianki był tak przyjemny, że woleliśmy cierpliwie na niego poczekać. Wreszcie dzień przed Wigilią, kiedy mama była już w pełni zaangażowana wypiekami, a ja z Teresą ucieraliśmy mak, ktoś zapukał do drzwi!

Mama otworzyła, słyszeliśmy jakieś glosy z korytarza i po chwili szuranie po podłodze. Krzyknęliśmy jednocześnie: to na pewno choinka!

Rzeczywiście, pracownik ojca przywiózł bardzo wysoką, pachnącą lasem i zgrabną choinkę. Pikuś zaszczeakał niezadowolony, ponieważ ona tymczasowo zajęła jego ką, w którym znajdowało się jego legowisko.

W dzień Wigilii byliśmy z całą szkołą w kościele na ulicy Kasprowicza. Spotykaliśmy się tam z młodzieżą z sąsiedniego rejonu naszych Karłowic, a mianowicie Placu Gotwalda. Zawsze przed kościołem był gwar, śmiechy, piski dziewcząt. Było to miejsce ulubione, miejsce spotkań niekrępujących nikogo. Mogliśmy się sobie przyglądać, dowiadywać skąd przyjechaliśmy i zawiązywać nowe znajomości. Wszyscy byli bardzo entuzjastyczni i ciekawi opowiadań o przeżyciach wojennych.

Agresywnych chłopaków tutaj się nie spotykało. Zdarzały się tylko głupie przygaduszki, kiedy z ich dziewczynami się śmialiśmy!

Nikt nie przeklinał, umawiać się też nie umawialiśmy. Nie było to w modzie!

Poza tym dziewczyny nas nie interesowały, my czternastolatki trzymaliśmy męskie paczki. Były to wtedy pomysły zaczerpnięte z książek Karola Maja, albo również naszej historii ostatnich lat wojny i okupacji. W tych zabawach byliśmy Polakami walczącymi z Niemcami. Najgorsze, że w tych zabawach nikt nie chciał grać roli Niemca. Trzeba było wybierać drogą losowania, kto będzie, kim, wtedy taki musiał grać taką niewdzięczną rolę. Bo przecież była to rola niewdzięczna, bo przegranego, i można było nieźle oberwać.

Wigilia- wieczór, zapaliliśmy świeczki. Nie wiem skąd ojciec zdobył te wszystkie ozdoby? To Niemcy już kiedyś wprowadzili ten zwyczaj ozdobionej choinki w domu, w takim dniu. Chociaż jeden plus na ich konto!

Kiedy pierwsza gwiazdka ukazała się na niebie połamaliśmy się oplatkiem i zasiedliśmy do skromnego stołu?. W radiu nadawano kolędy. Najwięcej stacji mieliśmy zagranicznych. Polskich było mało.

I wreszcie nadszedł ten moment, kiedy pozwolono nam wskoczyć pod choinkę i zaspokoić swoją niecierpliwość?

Prezenty były szokujące! Teresa dostała dużą lale chodzącą i mówiącą i wiele innych dziewczęcych prezentów, już dzisiaj nie pamiętam, co to było?

Ja byłem najbardziej zainteresowany moimi paczkami!

A więc było tam duże pudło a wewnątrz, kolejka nakręcana na sprężynę, parowozy, wiele wagonów osobowych i towarowych, mostów, szyn, zwrotnic, stacji drzewek, czego tam jeszcze nie było niech dopowie wyobraźnia czytelnika.

Ale na tym nie koniec, w drugim pudle była „laterna Magika”.

Tak się nazywało to pudło po Włosku i podobnie po Niemiecku,
Było to kino domowe. Kolorowe klisze przedstawiały zwierzęta, egzotyczne ludy Afryki i
Australii. Były tam również zabawne krótkie historyjki.
Do tego należał rzutnik na prąd. Z prześcieradła robiliśmy ekran i zapraszaliśmy dzieci oraz
naszych gości na seanse filmowe.

**

Nieraz wieczory zimowe spędzane w domu, dają dużo zadowolenia najpewniej całej rodzinie.
Siedzimy w jadalni pod pięknym kryształowym żyrandolem. Nasz piec kaflowy grzejący już
od rana, daje teraz pod wieczór przyjemne ciepłko. Uprosilimy tatę żeby nam coś zagrał na
pianinie. Przejrzał Niemieckie nuty i chyba znalazł coś odpowiedniego, co potrafi zagrać.
W kandelabrach na pianinie dla nastroju zapalamy świece. Światło górne przytłumiamy i z
przyjemnością wsłuchujemy się w grany utwór.

Przy okazji takich wieczorów śpiewamy wielokrotnie, jeżeli to jest utwór znany dla
wszystkich. Na pewno nie można porównywać naszego grania, czyli umiejętności mego taty,
do koncertów, które odbywają się piętro, poniżej, czyli u państwa Sypniewskich.
Każdy z nich gra na jakimś instrumencie, pianino, wiolonczela, skrzypce a i nieraz jeszcze
akordeon.

Lubię bywać u nich i słuchać tych improwizowanych wieczorków muzycznych, na których
Czuje się radość z ich wspólnego grania, chociaż wiem, że Edek to robi z przymusem, jedynie
Bogdan jest posłuszny ojcu i ćwiczy prawie codziennie.

Wieczory u nas są również bardzo przyjemne. Słuchając taty grania, pozwalam sobie na
marzenia, wpatruje się w nasze wiszące na ścianie obrazy. Są to przeważnie krajobrazy. Jeden
przedstawia pejzaż zimowy, widać na nim narciarzy, ośnieżone świerki, jakaś chatka do
połowy zasypana śniegiem. Najpiękniejszy z obrazów, chyba jest ten przedstawiający martwą
naturę. Na pierwszym planie czerwony rak, za nim na złotej paterze egzotyczne owoce.
Mama zrobiła cukierki marcepanowe. Które degustujemy siedząc sobie każdy na ulubionym
swoim siedzeniu w ulubionym kąciku w gronie rodzinnym?

Po takim koncercie na ogół słucham muzyki z radia, ojciec czyta książkę, mama z Teresą
robią coś w kuchni.

Mamy też gumę do żucia o smaku miętowym z paczki, nie przepadam za tym smakiem, wole
zjeść kawałek czekolady. Dobra rzecz te paczki z, UNRY, aby ojciec otrzymywał je jak
najczęściej!

Moje nowe buty zimowe, które niedawno dostałem – to narciarki, można do nich również
łyżwy przymocować. Jest to taki typ łyżew, który przykręca się na korbkę.

Jeździmy z kolegami na stawie u Edka. On też ma łyżwy i świetnie już jeździ! Zawsze
sprawdzamy czy grubość lodu jest wystarczająca, na wszelki wypadek, kłujemy w miejscach
najjaśniejszych, w których lód jest najcieńszy metalowym drągiem. Chociaż staw nie jest
głęboki i na pewno nikt z nas tam się nie utopi.

Ale nie jest najprzyjemniejsze w czasie mrozu zamoczyć się w wodzie.

Co innego, kiedy jesteśmy w ferworze bitwy na kule śniegowe, ośnieżeni i nasze ubrania są
mokre od czapy po buty? Dzisiaj wieczorem u państwa Sypniewskich organizujemy lekcję
tańca. Maryś wykręca się- to jest jeszcze młodzik. Ale Bogdan, Edek i ja jesteśmy chętni
problem w tym, że mamy do dyspozycji tylko Teresę, która na dodatek kłopotów, jeszcze się
nie zdecydowała, bo się wstydzi! Ona zresztą mi wmawia, że ja depcze po palcach. Wtedy,
kiedy ćwiczymy w domu, tańczę na ogół z mamą. Myślę, że coś tam w szkole nas nauczono!

Nadeszła znowu wiosna. W ogrodzie zakwitły śnieżyczki, a gałęzie bzu i innych kwitnących krzewów zaczynają pęcznić i wypuszczać pączki. Bazie wierzbowe rozkwitają przy drodze. Kos śpiewa wieczorem i rano swą pieśń.

Wszędzie rodzi się oczekiwanie nadchodzącej wiosny. Wszystko przygotowuje się do zmartwychwstania!

W naszym cudownym ogrodzie oczy zachwycają uporządkowane, równo posiane zagonki i pikowane młode roślinki: pory, kapusty, kalarepy i czego tam tylko można było się spodziewać. Ładnie też wzeszła pietruszka, marchew i cebula. W korytkach rośnie posiana rozsada pomidorów, przechowywana na razie w altanie. Ja wprawdzie nie lubię pracy w ziemi, ale mój ojciec wprost to uwielbia. Moim zadaniem na wiosnę jest przekopanie ogródka! Robię to według ich opinii, bardzo niestarannie i dobrym ogrodnikiem nie będę.

Muszę tutaj wspomnieć o jednym wydarzeniu. Jesienią jeszcze, kiedy porządkowaliśmy altanę Zawadziłem grabiami o sufit i nagle spostrzeżliśmy, że deska, o którą zaczepiłem, podniosła się w górę jakby nie była wcale przybita. Zrodził się pomysł, ażeby podstawić dwie skrzynki i sprawdzić, dlaczego ta deska się uniosła?

Przyszedł nam z Teresą wariacki pomysł, że może Niemcy schowali tam skarb! Słyszało się nieraz opowiadania o zakopanych albo ukrytych w najprzeróżniejszych miejscach skarbach czy też kosztownościach. Liczyli oni, że wkrótce jak ich zapewniała kłamliwa propaganda Geobelsa wrócą na stare śmieci.

Wspiąłem się na skrzynki i wtedy okazało się, że i druga deska również się unosi! Wsadziłem tam rękę i namacałem narty. Po chwili wyjąłem stamtąd dwie pary nart, łyżwy, jakieś zabawki, porcelanowe wazony i to było wszystko – skarbu nie było! Pomimo tego ucieszyły nas te drewniane narty. Zimą przydadzą się do zjeżdżania z wałów na Odrze.

W sobotę wybieramy się tramwajem na Sepolno, a tam zwiedzimy Wrocławskie ZOO.

Tramwajem jedynką jedziemy ulicami całkowicie oczyszczonymi z gruzu. Widać, że w mijanych domach mieszkają już ludzie. Jedziemy ulicą Sienkiewicza do Placu Grunwaldzkiego, trzeba tutaj wspomnieć, że plac powstał w dniach oblężenia. Niemcy wyburzyli domy tutaj stojące i w tym miejscu zrobili lądowisko dla swoich samolotów wojskowych, które dostarczały do okrajonego miasta amunicję i materiały pędne. Najbardziej szokujące w tej całej historii było to, że lądowisko pod przymusem wybudowali starcy, kobiety i dziesięcioletnie dzieci. Mieszkańcy, którzy nie opuścili miasta przeszli gehennie od swoich rodaków, partyjnych grupowych. Każdy mieszkaniec, łącznie z dziećmi otrzymywał kartę pracy i codziennie był sprawdzany po pracy przez swojego grupowego, czy posiada wpis i pieczętkę potwierdzającą jego obecność w tym dniu. Za nie wstawienie się do wyznaczonej pracy groziła kara śmierci! Na dodatek lotnictwo radzieckie pilnie obserwowało wszelkie skupiska ludzkie i nie szczędziło im bomb. Trzeba też powiedzieć, że wielokrotnie zrzucało ulotki nawołujące do poddania miasta.

Minęliśmy Plac Grunwaldzki i jedziemy teraz ulicą Curie Skłodowskiej, po chwili dojeżdżamy do Hali Ludowej. Ten okrągły budynek, dość wysoki cały oszklony przypomina naszą, oczywiście później wybudowaną Arenę. Wysokość jego jest imponująca! Po prawej stronie ulicy widać już bramę wejściową do ogrodu zoologicznego.

Wchodzimy na teren. Zapoznajemy się z planem zwiedzania. Obszar zajmowany przez ZOO jest ogromny. Kilka razy większy niż w Poznaniu. Zauważamy nagle zwierzęta, ale o dziwo nie są wcale w klatkach. Lwy i tygrysy chodzą sobie swobodnie po terenie, odgradza je od widzów fosa z wodą i barierka, która nie pozwala na zbliżanie się do fosy! Podchodzimy do niedźwiedzi, które również są na wolności! Najbardziej zdziwiło nas to, że małpy, które są bardzo skoczne, mają tak samo swobodny wybieg, z drzewami rosnącymi na ich terenie żyją

Tutaj w skupiskach rodzinnych. Poszliśmy dalej, widzimy słonie i hipopotamy w pobliżu. Dziwnym się nam wydaje, że aż tyle zwierząt się uchowało?

Zwiedzanie zajęło nam prawie pół dnia. Wchodziliśmy również do pomieszczeń pod dachem. Były tu żółwie, węże, pająki olbrzymy, papugi, krokodyle, ryby, motyle i inne gatunki.

Wielkie nieszczęście na nas spadło. U.B aresztowało mojego ojca!
Żyjemy wszyscy w niepokoju i zdenenerwowaniu. Poczujemy się, że sprawa się wyjaśni i ojciec szybko wróci do domu.
Powodem tego aresztowania był wypadek, jaki się wydarzył na terenie zakładów kolejowych. W godzinach wieczornych wybuchł pożar w stolarni, której kierownikiem był ojciec. W czasie, kiedy powstał pożar nikt nie pracował, a ojciec był w domu razem z nami. Dopiero na drugi dzień dowiedział się, co się stało.
Straż pożarna zakładowa uratowała od całkowitego zniszczenia część maszyn. Deski i dach budynku uległy zniszczeniu.
Od momentu zabrania ojca przez dwóch nieprzyjemnych panów minęło już cztery dni. Matka wpadła w panikę. Ja i Teresa jesteśmy bardzo przygnębieni.
Dowiadujemy się od pracownika ojca, a może od Naczelnika Zakładów, już nie pamiętam, od kogo otrzymaliśmy tę straszną wiadomość, że ojca oskarżają o sabotaż!
Co za bzdura! Ci idioci uczciwych ludzi traktują jak bandytów.
Ojca o to oskarżają, który przyjechał tutaj na ochotnika, ażeby odbudowywać zakłady kolejowe- posądzać i wmawiać jemu, że zorganizował to podpalenie.
Słyszeliśmy już, co nieco o ich metodach prowadzenia śledztwa. Tym bardziej nas to niepokoiło, że nie dopuszczają matki na widzenie i potraktowali ją ordynarnie.
Wróciła z płaczem i opowiedziała nam, że dotarła do ich szefa o żydowskim nazwisku. Który z taką nienawiścią z nią rozmawiał, że pomyślała wtedy sobie jak oni rozmawiają z ojcem?
Matka skontaktowała się z naczelnikiem Inż. Krawczyński i zastępcą inż. Kilarem.
Powiedzieli jej, że wystawili ojcu jak najlepszą opinie i że ma być dobrej myśli!
Minęły już trzy tygodnie a ojca jeszcze nie zwolnili. Matka płacze, żałuje, że tutaj przyjechaliśmy na ten „dziki zachód” jak go niektórzy nazywają. –Co my zrobimy tutaj sami bez ojca w obcym mieście, wśród obcych ludzi? Słyszał nawet jak jeden poznaniak powiedział, że na pewno bez winy nie był! Ludzka zawiść i podłość nie ma umiaru.
Zaprzyjaźnieni Lwowiacy, szczególnie kolega ojca pan Jerzak nas odwiedza i pociesza mamę. Z żoną zaprosili nas do siebie i starają się nas pocieszać jak tylko potrafią. Ta świnią, która tak o ojcu mówiła nazywa się Antoniewicz i jest wielkim aktywistą partyjnym, a przy tym tępy jak but nie dorasta ojcu do pięt. Prawdopodobnie chciał ojca wygryźć ze stanowiska jak się później dowiedzieliśmy. Ponieważ jego sąsiadem był nasz dzielnicowy fryzjer, który do ojca odnosił się z wielkim szacunkiem, dlatego w tajemnicy nam o tym powiedział i ostrzegł przed nim. Jeszcze dwa tygodnie minęły, kiedy wreszcie ojca wymizierowanego obrośniętego wypuścili bez przeproszenia. Ale takie były ich metody. Ojciec opowiedział nam, w jaki sposób oni traktują Polaków, to Niemcy, chociaż też w czasie okupacji go przesłuchiwali nie byli tak brutalni! Ci z bezpieki. lampą świecili w oczy, nie pozwalali spać, co chwila zaczynali od nowa, wmawiając przynależność do organizacji zachodniej dywersyjnej i tym podobne bzdury.
Byliśmy szczęśliwi jednak, że wrócił do nas i naczelnicy darzyli go dalej zaufaniem, skierowano go nawet na kursy popołudniowe w celu podniesienia kwalifikacji.
Ojciec już wcześniej zaprzyjaźnił się z inż. Aleksiewiczem- autochtonem. Który wprawdzie słabo mówił po polsku, ale ojciec doskonale porozumiewał się po niemiecku? Uczył on ojca matematyki, skomplikowanych obliczeń geometrycznych i w ogóle cały czas pomagał zdobyć wiadomości technika. Naczelnik obiecał ojcu że po skończeniu szkolenia powierzy mu stworzenia oddziału budowlanego, którego zostanie kierownikiem. Oddział ten skupiać ma fachowców z różnych dziedzin, mianowicie- Stolarzy, murarzy i malarzy.
Zadaniem ich będzie remontowanie domów wybudowanie warsztatów szkolnych itp. Obiektów. Zaczynał się dla ojca nowy rozdział w życiu wiedziałem, że jest ambitny i wywiąże się z powierzonego mu zadania!

Dzień od wczesnego ranka zapowiadał się pięknie. Niebo prawie bez chmur, tylko małe strzępki puchu porozrzucane gdzie niegdzie, a słońce grzało już dość solidnie.

Szedłem właśnie ulicą Kaminskiego w kierunku naszego cudownego ogrodu. Kiedy właśnie ujrzałem jak wyszła z domu moja blond dziewczyna – Wisia?.

Zrobiło mi się nagle gorąco, ponieważ zauważyła mnie i pokiwała mi ręką. W głowie miałem mętlik myśli. Co ja jej powiem? Zawsze mnie jej bliskość onieśmiała. A kiedy już z bliska zjrzałem w jej niebiesciutkie oczy, pot na plecach i język jak kołek nie pozwalał mi się nawet odezwać. Mogłem tylko lekko się uśmiechnąć!

Tym razem podeszła do mnie i zapytała tym swoim melodyjnym głosem.

- Pójdziemy na huśtawkę? I nie czekając na moją odpowiedź, skierowała się na zaplecze naszej szkoły. Posłusznie ruszyłem za nią, patrząc jak zahipnotyzowany na jej zgrabną sylwetkę.
- Patrzyłem jak poruszała się lekko niby anioł w locie!
- Jadwisia Hornung była córką kolejarza, który również pracował w warsztatach gdzieś na produkcji. Przyjechali aż ze Lwowa. Wisia oczywiście miała mamę i młodszego brata.
- W naszej siódmej klasie, do której chodziliśmy razem, było wiele dziewczyn ładnych i miłych. Pamiętam niektóre z nich. Danke Burzyńską, Ulę Seredyńską.
- Niektórzy chłopcy byli starsi ode mnie, prawie już dorośli, palili papierosy. Losy wojny rzuciły nimi po świecie. Często bez ojców a zdarzało się, że sieroty przygarnięte przez armię na zachodzie. Teraz należało odrabiać stracony czas bez szkoły wspólnie z młodszymi.
- Atmosfera w klasie była koleżeńska, z chłopakami graliśmy wspólnie w siatkówkę, najczęściej na boisku za szkołą.
- Sala gimnastyczna leżała w gruzach po działaniach wojennych i dlatego wszystkie zajęcia wuefu odbywały się na wolnym powietrzu.
- Była jednak taka lekcja, która odbywała się na największej sali – zwanej świetlicą. Była to lekcja tańca towarzyskiego. Ta lekcja była przez nas najbardziej upragnioną, bo można było się pośmiać i trochę powyglupiać. A wyglądało to tak. Dziewczyny ustawiano w jednym długim rzędzie, a my chłopcy naprzeciwko w drugim rzędzie. I na kogo wypadło na tego bęc! Następnie, robiło się dwa kroki, albo trzy do przodu i spotykało się z dziewczyną, nie zawsze tą, którą by się chciało tańczyć, ale nie można było protestować czy grymasić. Nie było by to nawet elegancko w stosunku do naszych koleżanek z klasy, jeżeli byśmy okazywali niezadowolenie. Mnie często trafiała się koleżanka najgrubsza w klasie. Taniec z nią miał ten plus, że nie musiałem się wysilać ażeby prowadzić, to ona rzucała mną na lewo i prawo jak piłeczką pingpongową, ponieważ byłem wówczas wyjątkowym chudzielcem. Podkład muzyczny oczywiście leciał jak to się dawniej mówiło z gramofonu na korbkę i niemieckich płyt. Tanga, walce, słofoksy, a również polkę i poloneza też ćwiczyliśmy.
- Były to jednak miłe chwile urozmaicające monotonię życia szkoły.
- W podstawówce nie wyróżniałem się specjalnie niczym. Nie stawiano mnie za wzór, a raczej podpadałem nauczycielom. Szczególnie jednemu od angielskiego, panu Bujakowi.
- Był to typ niesympatyczny o skłonnościach sadystycznych. Potrafił bić nas linijką i wrzeszczeć jak choleryk oraz ośmieszać uczniów. Ja miałem to nieszczęście, że liścik, który napisałem na lekcji do Wisi, mój niezdarny kolega upuścił na podłogę. Bujak natychmiast go złapał i przed całą klasą przeczytał. Następnie zmusił mnie do przyznania się, wyciągnął za ucho do tablicy i publicznie wyśmiał moje szlachetne i wzniosłe uczucia oraz na pewno początki mojej poezji skierowanej do mojej wybranki serca.
- Drugim sadystą w tej szkole był ksiądz. U niego też podpadłem dość szybko i to nie za przekleństwa bo wtedy młodzież nie przeklinała, tylko wspominałem coś o teorii Darwina, chcąc się pochwalić moim odczytaniem i erudycją. . . Ta moja wiedza nie

Młody człowiek a takim właśnie byłem mając 14 lat nie zdaję sobie często sprawy, że Zapewnienie bytu rodzinie przez zaradność i przezorność rodziców mają też dla nas w tym Konkretnym przypadku również szczególnie dla mnie i Teresy strony ujemne. To znaczy wymagają od nas pewnego poświęcenia.

Nasza „Jasia” czyli świnka wymagała codziennego żywienia jej czyli „tuczenia” Z Teresą na zmianę a nieraz i mama zanosiliśmy” zlewki”, czyli pozostałości z obiadów do Altany na naszej działce, gdzie jak już wspomniałem wcześniej zamieszkała nasza świnka. Od pewnego czasu mam wstręt do tego zajęcia, zwłaszcza, że bańka, którą trzeba przenieść w pobliżu domu mojej Wisi, jest dość duża i wydaje mi się, że jest to zajęcie, które jest dla mnie wstydlive i hańbiące?

Często przekupuje Teresę i prośbą i daniną, ażeby ten kawałek drogi do ogrodu, szczególnie na ulicy Kaminskiego niosła ten dzban za mnie!

Nie wiem, dlaczego wydawało mi księżę, jeżeli przypadkowo spotkam moją dziewczynę w momencie, kiedy wyjdzie ze swojego domu, to może mnie zapytać gdzie idę i co niosę w tym olbrzymim pękatem dzbanku?

Obowiązek codziennego noszenia tego żarcia dobijał mnie i nie mogłem doczekać się już Kiedy ona dorośnie do odpowiedniej wielkości i wreszcie będziemy ją mogli zabić?

Okrutne to, ale prawdziwe!

Idąc alejką przez ogrody byłem spokojny, że drzewa i krzewy maskują mnie doskonale przed ciekawskimi oczyma.

Po drodze wstępowałem nieraz do mojego kuzyna Mietka Rybarczyk, który zamieszkał tymczasowo z rodziną w altanie solidnej murowanej na narożnikowej działce. Zamieszkał tutaj z żoną Marylą i synkiem Romanem

Mój kuzyn po siostrze mojego ojca był o kilka lat starszy od mnie, jak i jego siostra Kazia Rybarczyk. Mieszkali oni przed wojną na wsi o nazwie Wielichowo. Pomagali rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa rolnego.

Jako dziecko wiem, że byłem tam z rodzicami na żniwach, mówią o tym zdjęcia rodzinne. Dzieci w rodzinie, Rybarczyków było dość dużo. Wymienię moje kuzynki i kuzynów. Kuzynów wiec Kazia, Hela, Stasia i Felicja. Chłopaki to Mieczek i Heniu.

Kiedy zaczęła się okupacja po 39 roku dość duże gospodarstwo wujka dano napływowemu Niemcowi a rodzinę polską przesiedlono do Bełęcina Kolo Wolsztyna?

Kazie i Mietka zabrano przymusowo na roboty do Niemiec?

Dopiero po wyzwoleniu Polski i to nie od razu zdecydowali się oni wrócić do domu? Tam w międzyczasie założyli rodziny i tam pracowali i uczyli się. Zdobywali nowe zawody w tych latach powojennych w Niemczech w strefie amerykańskiej!

Kiedy jednak zdecydowali się na powrotu do polski? Postanowili, że na owies już nie wrócą? Najlepiej byłoby zatrudnić się na kolei. Przecież ich wujkowie Stach, Janek i Feliks pracowali przed wojną na kolei? I dobrze zarabiali?

Szczęśliwym trafem dowiedzieli się, że wujek Feliks, czyli mój ojciec jest kierownikiem Zakładach Taboru Kolejowego we Wrocławiu, toteż po kilku dniach próby zatrudnienia się na PKP w Poznaniu i skontaktowaniu się z ojcem niezwłocznie z tobołami i dziećmi przyjechali do Wrocławia!

Takie to były lata osadnictwa na terenach zachodnich, czyli jak pisała prasa na „Dzikim Zachodzie”. Od tego momentu właściwie zaczyna się ekspansja rodu Nowaków poza Wielkopolskę!

Ja bardzo ucieszyłem się z tego, że przybywa mi tutaj rodziny. Cieszyłem się, że nie musimy już być tacy samotni? Szacunek, jakim darzyła mojego ojca rodzina Rybarczyków, czy też Zatoniów trwał przez wszystkie lata dając mu zadowolenie z tego, że mógł pomagać innym, co bardzo lubili! Dodawało to jemu autorytetu seniora rody!

No, nareszcie ukończyłem szkołę podstawową. Wracalem do domu sciskajac swiadectwo siódmej klasy. Nie bylo ono zbyt piekne. Czulem sie troche zagubiony i zrezygowany. Po trzy razy czytalem oceny. Niektore wydawaly mi sie niesprawiedliwie zanizone. Ale przeciez spadlo to na mnie tak szybko, oczywiscie to zakonczenie szkoły, ze nie mialem zadnych planow na przyszlosc!

Bardzo podle uczucie, kiedy czlowiek czuje sie zerem, a widzi wokol siebie ludzi z innych domow inteligenckich, rowiesnikow, ktorzy tryskaja erudycja i gotowym zaplanowanym przez rodzicow przyszlym zyciem.

Wtedy chyba zawiodlem mojego ojca, albo przerastalo to jego marzenia o tym azeby syna wyksztalac na inzyniera, lekarza czy tez innego mądrego czlowieka. Moze za wczesnie stracil wiarę we mnie?

Moje wyniki na pewno mialy na to wplyw, ale rowniez brak tradycji inteligenckich w mojej rodzinie spowodowal to, ze ojciec trzymal sie poznanjskiej zasady, ze najwazniejszym jest zdobyć zawód w jakimś rzemiośle.

Powiedzial do mnie- Pójdiesz do szkoły kolejowej i nauczysz się zawodu ślusarskiego!

Byłem tak zrezygowany wówczas, ze ani jednym slowem nie zaprotestowalem. Bo rowniez nie wiedzialem, co zrobic dalej ze soba!

Skonczyłem przeciez juz 15 lat i nic mądrego nie przychodzilo mi do glowy. Spotkalem sie z Edkiem, który wybieral sie do ogólniaka. Jego rodzice tak zadecydowali. Ja tez poczułem ochotę azeby z nim pójsc. Ale ojciec powiedzial:-

-Po ogólniaku nie bedziesz mial przeciez zadnego zawodu!

Nie wierzył jeszcze wtedy, ze ja sie zmienię i zacznę się naprawde dobrze uczyc, na tyle dobrze, aby isc pozniej na studia.

Dla bezpieczenstwa mojej przyszlosci wolał mnie skierowac do szkoły kolejowej.

Przez kilka dni chodzil jak czlowiek bez zadnego celu, nic nie potrafilem wymyslíc innego i pogodzilem sie z ta decyzja.

Ktoregos dnia ojciec wrócił z pracy i powiedzial, ze pojedę na kolonie letnie dla dzieci kolejarskich do Sośnicy niedaleko Kąt Wrocławskich.

Zamieszkalismy w ładnym budynku o duzych oknach i tarasach polożonym w parku w oddaleniu od innych zabudowan.

Pokoje bardzo sloneczne i przestrzenne. Podzielono nas. Ja dostalem sie do pokoju o nazwie krasnale. Zamieszkało nas tam chyba siedmiu. Byli to koledzy, ktorych pierwszy raz poznalem, ale wszyscy byliśmy dziećmi kolejarzy. Żyliśmy w zgodzie. Dziewczyny zajely drugie skrzydło tego palacu.

Bardzo mile wspominam tą moją ostatnią kolonie, zwlaszcza, ze poznalem bardzo miłą higienistkę. Była ona studentka medycyny i w czasie wakacji zajela się nami. Pamiętam, ze była zgrabna i ładna. Na dodatek była jeszcze bardzo miła i uczynna oraz opiekuńcza totez się w niej zakochalem.

Ta moja sympatia do niej przetrwala kilka lat, odwiedzalem ją, kiedy juz zostala lekarzem pracujacym w instytucie i nawet wyszła za mąż. Mówila mi nieraz ze lubi zemną rozmawiac poniewaz jestem czytany i może na wiele tematow porozmawiac. Ja uwielbialem jej łagodnosć i to, ze nie lekcewazyla ani nie wysmiewala mojego zakochania i tego zachwytu w moich oczach dla niej.

Nieraz myślę, ze spotykalem naprawde wspaniale kobiety na swej drodze zyciowej, ale byly duzo starsze ode mnie. Nie wiem dzisiaj, czy naprawde byly takimi aniolami, czy tylko moja wyobraznia i niedojrzalosc je takimi utrwalily w mojej pamieci!

Jeszcze nie tak dawno bałem się oddalać od swoich bloków w pojedynkę na koniec naszej uroczej alejki, ale życie wymusza na nas odwagę, przekraczania bezpiecznej oczywiście umownej linii naszego dzieciństwa i bezpieczeństwa. W Poznaniu już dużo wcześniej oddalałem się w odległe nieraz dzielnice. Tutaj jednak pokutowało przeświadczenie, że jesteśmy na "dzikim zachodzie". Takie opinie pokutowały w Centralnej Polsce! Prawda była taka. Jeżeli chodzi o bezpieczeństwo, to było jednakowe czy tu czy tam. Ale moje mama i przypuszczam, że więcej kobiet w jej wieku, bały się naprawdę oddalać od miejsca zamieszkania.

Początkowo życie moje i chłopaków skupiało się przy szkole. Graliśmy często w piłkę również w rejonie bloków kolejowych. Polegało również na wyjściach do kościoła na ulicę Kasprowicza. Ewentualnie zimą z chłopakami na Wały Odrzańskie przy moście Trzebnickim. Ten świat wydawał się tak już rozległy i w zupełności nam wystarczał! Nie interesowałem się, na co dzień, co się tam dalej dzieje po drugiej stronie Odry.

Teren naszych wypadów i stałych kontaktów z chłopakami i dziewczynami zahaczał nieraz o dzielnicę Placu Gotwalda, ale raczej nieczęsto. Część chłopaków przychodzących do kościoła była z tamtego rejonu. Jedynym magnesem w tamtym kierunku było kino na placu.

Byłem tam z dwa razy z kolegą na atrakcyjnych filmach. Jeden był o "Tarzanie człowieka małpie" a drugi wojenny. Bitwa na morzu okrętów angielskich i niemieckich. O bilety nie było łatwo. Trzeba było stać w kolejce wiele godzin. Ale i tak łatwiej niż w kinie Warszawa na ul. Swierczewskiego, tam trzeba było płacić drożej, konikom, czyli handlarzom.

Uliczki za kościołem, mianowicie Wincentego Pola, oraz Konopnickiej też już poznałem, ponieważ mój nowy kolega starszy chyba o dwa lata Jurek Podlak mieszkał właśnie na ulicy Konopnickiej w dużej starej wilce.

Poszedłem do niego z wizytą ażeby posłuchać płyt tanecznych i operetkowych.

Poznałem wtedy jego dwie siostry. Starszą nie pamiętam imienia i młodszą Olę, czyli Aleksandrę. Już w tym pierwszym momencie powiedziała do mnie- mów mi Ola! Przyjrzałem się jej z zaciekawieniem, ale i z moim skrępowaniem! Wydało mi się jej zachowanie trochę kokietujące? W myśli zanotowałem "smarkula", była przecież o dwa lata młodsza, a to było w tym wieku ogromna różnica- tam wtedy myślałem?

Nie uwzględniłem wtedy w moim myśleniu w tym pierwszym kontakcie, że jej dojrzałość i wiedza oraz poziom intelektualny jest wyższy niż przeciętny!

Ojciec ich był profesorem w wieku dość zaawansowanym i zachowywał się dość dziwnie. Pomimo siwych włosów- jak chłopak?

Mama ich widać dużo młodsza od męża sprawiała wrażenie kobiety energicznej i zarazem dla dzieci tolerancyjnej. Ujęła mnie swoją uprzejmością i dobrym potraktowaniem. Takie było moje pierwsze wrażenie.

Zaimponowało mi to, że ludzie z inteligencji, posiadający dużą wiedzę, bo to można było od razu zauważyć, przyjęli mnie grzecznie nie dając mi odczuć moich mankamentów i braków towarzysko edukacyjnych. Z uwagą słuchali, co mam do powiedzenia, nie przerywając ani słowem, ani żadnym gestem zniecierpliwienia? Dzisiaj zdaję sobie sprawę, z jakim tupetem Wygłaszałem im swoje mądrości! Pokory i taktu musiałem się dopiero nauczyć! Pamiętam, że pilnowałem się trochę ażeby nie wypaść źle, jako prostak i nieuk!

Wtedy jednak zauważyłem pierwszy raz w życiu, jaką wiedzę i „kinderstube” posiadają dzieci z takich inteligentnych domów? Ta wizyta i następne u nich zdopingowały mnie do pracy nad sobą, do czytania, zdobywania wiedzy o kulturze życia!

Oczywistym jest, że nie mogłem w początkowym okresie moich kontaktów z nimi przy kolejnych wizytach dyskutować o muzyce i literaturze jak równy z równym, ponieważ oni tą umiejętność wyssali z „mlekiem matki”!

Ja musiałem tego uczyć się od nich! Jednak z każdym miesiącem, czy rokiem stawałem się dla nich równoprawnym partnerem! Zauważali, że wnoszę w wiele tematów nowe ciekawe spojrzenie!

W tym 1948 roku zaczynałem nowy podniecający okres życia. Wakacje się właśnie skończyły i nadszedł dzień rozpoczęcia nauki zawodu w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego, które będę odtąd nazywał warsztatami. Ojciec zaprowadził mnie do biura mieszczącego się w parterowym budynku tuż za portiernią. Po wejściu do wnętrza zwróciłem uwagę na to że biuro to było czymś na kształt kiosku oszklonego umieszczonego pośrodku hali produkcyjnej. Jak zorientowałem się to wewnątrz wokoło tego kiosku i pod oknami ustawione były stoły z imadłami wiertarkami?

W biurze przyjął nas kierownik pan Zalewski. Był to siwy pan o twarzy inteligentnej i miłym Głosie, a przy tym znający się dobrze z moim ojcem, może, dlatego był dla mnie bardzo uprzejmy?

Poznałem w tym pierwszym dniu również instruktorów. Byli to panowie ubrani w fabryczne kitle, czyli fartuchy ochronne.

Jeden z nich nazywał się Świnka drugi Szczurek. Ten pierwszy miał mnie uczyć ślusarstwa a drugi pan Szczurek kowalstwa. Później poznałem jeszcze innych instruktorów pana Charkiewicza i pana Ludwiczaka od spawalnictwa.

Po rozmowie z kierownikiem przekazano mnie pod opiekę pana Świnki. Musze tutaj zaznaczyć, że nie uprzedzam się nigdy do ludzi, których pierwszy raz spotykam w życiu, ale ten człowiek swoim zachowaniem i to w obecności kierownika swoim sposobem wyrażania się w ogóle, swoją arogancją nie przypadł mi do gustu? Jak się później okazało będę miał z nim nieraz” na pieńku”?

Dowiedziałem się, że będę odbywał przez trzy dni w tygodniu praktyki warsztatowe i trzy dni pod rząd naukę w szkole mieszczącej się przy ulicy B. Chrobrego.

Ta perspektywa nastrojała mnie dość optymistycznie, bo przynajmniej nie będę musiał się, co drugi dzień przebierać w brudne łachy jak niektórzy moi koledzy, którzy poszli do innych szkół zawodowych.

Pan instruktor Świnka zaprowadził mnie do wolnego imadła, przy innych już zawzięcie piłowali moi nowi koledzy. Otrzymałem duży pilnik. Wkręcił w moje imadło surowy młotek „,odkuwkę” i pokazał mi jak mam prowadzić jego obróbkę. Powiedział – prowadź pilnik nie naciskając zbyt mocno i nie kołyszac nim na boki Sprawdzaj czy uzyskujesz równą płaszczyznę?

Wykonywałem tą czynność do znudzenia zapoznając się jednocześnie z najbliższymi kolegami. Instruktor, co jakiś czas sprawdzał wyniki mojego i innych piłowania..Pokazał jak się mierzy suwmiarką. Czyli sprawdza wymiary. Ten pierwszy dzień ciągnął się w nieskończoność. Zajęcie to wydawało mi się dość nudne, ale w przyszłości przekonałem się, że utrzymanie wymiarów wymaga dość dużej koncentracji i wcale nie było łatwe. W końcowej fazie obróbki otrzymaliśmy płótno ściernie w celu wygładzenia powierzchni już opilowanych.

Efekt końcowy był oceniany przez instruktorów zależnościami od dokładności wykonania zgodnego z rysunkiem otrzymywaliśmy odpowiednio wysoki stopień.

Pochwalę się tutaj, że oceniono moją pracę dosyć wysoko, co oznaczało, że będę chyba dobrym ślusarzem!

Wówczas było mi dość obojętne, kim będę w życiu, ale ten mały sukces sprawił mi dużą przyjemność, chyba spowodował pobudzenie mojej ambicji i zmobilizował mnie do rywalizacji z innymi chłopcami.

Pierwszy dzień wreszcie zakończył się. Wracałem do domu bardzo zmęczony po całodziennym staniu na nogach i wysiłku związanym z piłowaniem. Ale optymizm, że dam sobie radę i że nie taki „, diabeł straszny jak go malują”,-Na tyle mnie podbudował, że nie myślałem o następnym dniu w czarnych kolorach!

Minęły trzy dni praktyki warsztatowej. Dzisiaj ubieram się schludnie to znaczy, długie spodnie przerobione przez mamę ze spodni ojca. Koszula i marynarka nieco za duże wiadomo też, jakiego pochodzenia. Niestety przemysł odzieżowy nie istnieje jeszcze a jeżeli już są takie rzeczy to na bazarze to ludzie zarabiają bardzo mało pieniędzy? Dzięki przydziałom mundurów dla kolejarzy, możemy te materiały wykorzystać na wykonanie „jupki”, czyli ciepłej granatowej kurtki. Krawcowe mają zajęcie i matki, które potrafią szyć na starych „Singerkach”, są bardzo doceniane przez domowników? Moja mama ma taką zdobyczną maszynę! Zresztą można na bazarze kupić ją za grosze!

Tak elegancko ubrany wybieram się do szkoły! Moja trasą dojazdu będzie teraz w każdym tygodniu przez trzy dni taka sama! Będą się tylko zmieniać warunki atmosferyczne?

Nieraz będę ja przemierzał w deszczu i śniegu, a wiele razy w okresie kwitnienia drzew, zapachu kwiatów i otaczającej mnie wokół pięknej przyrody.

Jak można się domyślić to tak właśnie wygląda odcinek drogi od wyjścia z domu na ulicy Mochnackiego nr.29 i przebycie „alejki”, czyli drogi tylko dla pieszych położonej pomiędzy ogrodami?. Odcinek ten zajmuje mi 15 minut swobodnego kroku!

Piętnaście minut potrzebuje na dojście stąd do pętli tramwajowej. Po drodze przechodzę ulicę Kasprowicza, mijam po lewej stary wysoki dom z niemieckimi olbrzymimi, malowanymi reklamami i już jestem na pętli tramwajowej. Po prawej stronie ulicy widać zieleń ogrodów i całkiem blisko Odry bloki mieszkalne przy ulicy Na Polance. A na wprost zielone przesła mostu Trzebnickiego!

Tramwajem jadę pięć przystanków przez most i wysiadam na ulicy Chrobrego przy placu, a właściwie jest to skwer przy skrzyżowaniu ulic, Paulińskiej i H. Brodatego. Później z przyjemnością stwierdzę, że okna mojej klasy na pierwszym piętrze wychodzą na skwer z kwitnącymi kasztanami!

Budynek mojej szkoły okazał się dużą kamienicą secesyjną, bodajże czteropiętrową, z zewnątrz bogato zdobioną w gzymsy, filarki i duże wysokie okna. Poczerniała i poobijana przez wojnę i nosił numer 2.

Na poddaszu mieścił się internat, mieszkali tam chłopcy z okolic Wrocławia, czyli pobliskich wsi i miasteczek!

Parter zajmował pokój Dyrektora, pokoje nauczycielskie, sekretariat i chyba pokój na pomoce nauczycielskie.

Pierwsze i drugie piętro zajmowały nasze klasy. Piętro drugie uczniowie klas elektrycznych. Piętro pierwsze uczniowie klas mechanicznych.

Ja otrzymałem miejsce przy oknie w pierwszej ławce na pierwszym piętrze z widokiem jak już wspomniałem na skwer!

Ławki szkolne, to były po prostu stoły z półką pod blatem. Sadzano po dwóch uczniów do jednej ławki. Obok mnie siedział Edek Paula urodzony w Warszawie, a obecnie jego rodzice po wojnie zamieszkali w Odolanowie koło Ostrowa Wielkopolskiego. Edek jednak mieszkał niedaleko szkoły u ciotki na ulicy Rostafinskiego.

Po usadzeniu nas w klasach, przyszła do nas miła pani, chyba w wieku mojej mamy, czyli około 45 lat, uśmiechnięta, bacznie się nam przyglądająca? Było nas w klasie około 25 uczniów. A więc niewielu? I powiedziała:

Nazywam się Katarzyna Baranowa, w domu wołają na mnie „Kacha” i będę was uczyła języka polskiego oraz „savuar vivru”-czyli dobrego wychowania!

Będę również waszą wychowawczynią przez najbliższe trzy lata. –Jak zapewne wiecie szkoła zgodnie z decyzją kuratorium działa na zasadach trzyletniego gimnazjum?

Kończy się to egzaminem zwanym "małą" maturą", Upoważnia to absolwentów do kontynuowania nauki w Liceum . Ponadto nasza szkoła daje absolwentom zawód ślusarz maszynowy i elektryk!

Praktykę zawodową odbywacie na warsztatach kolejowych, dzięki czemu po podpisaniu umowy z kierownictwem zakładów zwanym Dyrekcja ZNTK, stajecie się automatycznie pracownikami tych zakładów i uzyskujecie prawo do urlopów wg. Taryfikatora, wynagrodzenia za pracę i korzystania ze zniżek na przejazdy kolejowe. Ta informacja o przywilejach bardzo nas ucieszyła. Wszak każdy z nas miał otrzymywać wynagrodzenie za pracę, czyli pierwsze zapracowane pieniądze? Jeden z tych elementów okazał się jednak bardzo przykry? Koniec z wolnością! Bardzo krótki urlop będzie się należał, w pierwszych latach!

Nasza nowa pani wyczytała nas po nazwisku i imieniu, z dziennika! Przyjrzała się nam z mu uwagą, zapytała gdzie obecnie mieszka i skąd przyjechał? Większość nas była spoza Wrocławia! Ci zamieszkali w internacie albo na kwaterach prywatnych jak również u rodziny we Wrocławiu. Byli też tacy, którzy zdecydowali się na dojazdy koleją. Musze tutaj dodać, że do 1948 roku większość Niemców wyjechała. Transporty odchodziły z Dworca Świebodzkiego. Było to związane z zarządzeniami Wielkiej Trojki!

Były rodziny niemieckie, które postanowiły pozostać i zostać Polakami, szczególnie kobiety, które wyszły za mąż za Polaków, a i też ludzie starsi!

Ma się rozumieć, że na ich miejsce napływali Polacy z różnych stron polski jak i wywiezieni przez Rosjan a pochodzący z naszych kresów wschodnich! Nas mieszcuchów było siedmiu w klasie. Wzrostem i tężyzną ciała też różniliśmy się bardzo Byli wśród nas chłopcy zbudowani jak „ Ursus z Quo Vadis” Henryka Sienkiewicza

Byli też tacy jak „Nemeczek z Chłopców z Placu Broni „ Molnara. Ja należałem do tych drugich! Dzieliliśmy się też na mózgowców i siłaczy.

Na przerwie wysypaliśmy się wszyscy na korytarze! Na końcu naszego pierwszego pietra urządziła szkoła oficjalna - palarnie! Szkoła wyrażała zgodę na palenie przez uczniów, ale tylko w tym wydzielonym miejscu i ze względu na różny wiek uczniów!

Z ciekawością udaliśmy się tam, koledzy Edek Paula i Car Staszek. Gwar tam panował wewnątrz tego małego pomieszczenia jak na wschodnim bazarze! Kłęby dymu otoczyły nas wokół. Małe okienko od podwórza nie dawało możliwości szybkiego przewietrzania?

Staszek jedyny palący wtedy spośród nas trzech pozostał w tych kłębach , ja z Edkiem uciekliśmy czym prędzej! Wróciliśmy do naszej klasy zapoznawaliśmy się z dalszymi kolegami. Opowiadaliśmy o naszym wojennym losie i o naszych zamięowaniach.

Dzisiaj powiedzielibyśmy o naszych „hobby”.

Na tablicy zawieszono nazwy przedmiotów, których będziemy się uczyli w pierwszej klasie i nazwiska nauczycieli. Z tego programu wynikało, że będą to:

Język Polski. Chemia i Materiałoznawstwo. Fizyka i Maszynoznawstwo Rysunek Zawodowy Techniczny, Matematyka, Wychowanie Fizyczne, Religia, Zagadnienia Społeczno Wychowawcze, Język Niemiecki- to było by na razie tyle! W drugiej klasie miały dojść jeszcze nowe ważne przedmioty?

Jak nam powiedziano, to tylko podręczniki do języka Polskiego i do matematyki będziemy mogli obecnie kupić, pozostałe może się ukazać w sprzedaży w późniejszym okresie, jeżeli drukarnie wydrukują?

Pan Jan Kaca matematyk zrobił na nas groźne wrażenie!

Niewysoki pan z wydatnym brzuszkim, ostrzyżony na języka, wiecznie wycierający pot z czoła i karku. Na pierwszej lekcji z nami ani razu nie uśmiechnął się! Głosem ostrym zapowiedział że u niego, taryfy ulgowej nie będzie?

Dodał jeszcze, że matematykę to on umie na cztery, a uczeń jak dostanie tróję to niech się cieszy! Obowiązywała wówczas skala 5 punktowa. Następną lekcją była fizyką, do klasy weszła pani, blondynka również nie młoda. Nazywa się Stanisława Chojnacka.

Twarz też oschła bez uśmiechu! Siedzieliśmy jak myszy strwożone przed kotem. W przyszłości okaże się, że to było pierwsze wrażenie?

Ten rok 1948 obfitował w ciekawe wydarzenia. Mianowicie jak nam prasa donosi, to 25 lutego powołano Powszechną Organizację Młodzieży „Służba Polsce” oparta na wzorach wojskowych. Co to znaczyło dla mnie i moich kolegów jeszcze wtedy sobie nie zdawaliśmy sprawy? Jedno było pewne, że trzeba będzie przymusowo odrobić pewien okres czasu na budowach socjalizmu. Na razie, kto się uczy jest odroczone!

Jedna wiadomość dotyczyła mojego ojca. Jak zauważyłem i zapamiętałem jego komentarze, to nie był z tego zadowolony? A co się stało? Oto 10 marca zapadła decyzja o połączeniu PPR z PPS-esem.

Ojciec mój już przed wojną należał do PPS-esu. Uważał, że jest to partia Polska i broni interesów narodowych.

Odtąd partia będzie się nazywała PZPR.

9 maja wielkie wydarzenie sportowe, pierwszy raz odbył się Wyścig Pokoju na trasie Warszawa-Praga. Relacje w radiu i dużo zdjęć w gazetach. W wyścigu biorą udział drużyny z różnych krajów. Polacy drużynowo i indywidualnie jada bardzo dobrze. Wygrywają niektóre etapy.

Nasza szkoła bierze udział w przygotowaniach do Wystawy Ziem Odzyskanych, która ma się odbyć w Hali Ludowej i na terenach przyległych.

W gazecie ukazują się dużo artykułów. Przed Halą ustawiono stu metrową iglicę z lustrem na górze i dwa ozdobne przesła na tle kopulastej Hali Ludowej.

Wystawę tą nazwano, przez partyjne kierownictwo, na czele z sekretarzem Borejszą – Kongresem Intelktualistów w Obronie Pokoju. Wiadomo, że był to czas zimnej wojny.

Kongres stał się okazją do kampanii propagandowej przeciwko imperialistom.

W efekcie tej kampanii wiele delegacji, czy też indywidualnych delegatów, którzy przyjechali do Wrocławia na dni 25- 28 sierpnia, wyjechało wcześniej.

Po wyborach w lutym 1947 roku nastąpiła stabilizacja rządów komunistycznych, i to ośmieliło władzę do przejęcia władzy nad handlem. Państwa zaczęło niszczyć prywatny handel i gastronomie, tradycyjnie już przed wojną świetnie rozwinięty.

31 sierpnia do 3 września 47 w następstwie dramatycznych i burzliwych obrad Plenum KC PZPR stały się istotne zmiany w życiu społeczno-politycznym kraju. Bolesław Bierut w wygłoszonym referacie „ O odchyleniach prawicowych, poddał ostrej krytyce Władysław Gomułkę. W rezultacie Gomułkę pozbawiono funkcji szefa partii, stanowisko to objął oczywiście Bierut.

22 października zmarł prymas Polski kardynał August Hlond. Jego następcą został dotychczasowy biskup lubelski, 47 letni Stefan Wyszyński.

W ZSRR oczywiście rządzi nadal generalissimus Józef Stalin.,Który baczy na to, co jego towarzysze robią, czy czasami nie marzy im się niepodległość?

1 stycznia 1949 roku Utworzono Państwowe Gospodarstwa Rolne. Już 1950 roku obejmowały 10% krajowych obszarów upraw.

Mimo wszystko życie jest znośne, chociaż kartki żywnościowe będą nam jeszcze długo towarzyszyć. Będziemy obserwowali zmiany w naszym życiu i na lepsze i na gorsze. Ja się ma 15 lat to wydaje się, że jest przed nami tak dużo życia, że przyjdą na pewno lepsze czasy, bo tak nas ciągle zapewniano i siłą rzeczy człowiek żył nadzieją i wierzył w te hasła. Dopiero jak się zaczęły dołki, wtedy przychodził czas na refleksję. Ale muszę przyznać, że to było wiele lat później!

Ciągle odkrywam piękno Wrocławia- można powiedzieć, że jest on Wenecja Północy. Takie mnóstwo kanałów, zakoli, rozlewisk, przeróżność wspaniałych mostów.

Najlepiej to widać z lotu ptaka, albo z wieży kościoła garnizonowego Sw. Elżbiety.

W fosie miejskiej ciekawe złote i czerwone ryby. Urokliwe parczki z ławeczkami. Stylowe Pałacyki położone nad wodą. Te miejsca dają komfort odosobnienia w bujnej zieleni!

Na Różance mieszka mi się bezpiecznie i przyjemnie. Otoczenie nasze to dobrzy sąsiedzi i rodzina. Mój kuzyn Mietek Rybarczyk otrzymał mieszkanie na ulicy Brodzinskiego i tam z rodziną się przeniósł z działki. Przy naszej alejce łączącej nas z miastem, po prawej stronie, jak już pewnie nieraz wspominałem ciągnęły się ogrody podchodzące pod same bloki. Zachodzę tu nieraz, ponieważ obecnie Mieczek tutaj otrzymał ładny ogród, a na dodatek w krótkim czasie stworzył tu oazę na wzór słynnych ogrodów Semiramidy i nie bez przyczyny w konkursie zdobywał najwyższe wyróżnienia.

Lubię zachodzić i rozmawiać na wiele tematów! Mietek przez pewien okres przebywał zaraz po wyzwoleniu w strefie amerykańskiej. Pracował jako magazynier i dość dobrze opanował język angielski. Przywiózł do polski podręczniki i rozmówki. Ja zapaliłem się wtedy ażeby nauczyć się tego języka. Mietek uczył mnie słówek i przepytował! Okazało się to jednak, przy braku mojej wytrwałości nieskuteczne, w dodatku ten język mylił mi się z językiem niemieckim. Rzeczywiście wiele słówek było bardzo podobnych do siebie!

W trakcie mojej późniejszej edukacji szkolnej będę jeszcze wracał do tego języka. Jednak nigdy nie opanuje go na tyle ażebym mógł się nim porozumiewać z innymi. Za to radziłem sobie dobrze w języku niemieckim i rosyjskim!

Odwiedzam z ojcem też nieraz jego kolegów, czy to w domu, czy też na działce. Pan Jerzak z rodziną przyjechał tutaj ze Lwowa. Panowie Kaczmarek, Teodorczyk, Wąsikiewicz z poznańskiego a zastępca ojca na warsztacie pan Sobczyk z Tarnowa.. Ten ostatni ma żonę krawcową chwaloną przez kobiety z bloków i dwie ładne córki, obie młodsze ode mnie!

Dnie upływają szczęśliwie. Nie mam żadnych większych zmartwień! Z chłopakami włączymy się po naszym zazielenionym terytorium. Mojego psa Pikusia nauczyłem chodzenia po drzewach. Robimy sobie zdjęcia, na wodzie, na konarach z pieskiem, aparatem skrzynkowym, który dostałem od ojca! Jest to aparat po niemiecki o formacie 6x9. Filmy są na szpulkach. Odbitki tak zwane stykówki robię sam. Nauczył mnie tego ojciec i wujek Stachu!

Ostatnio jeździmy rowerami na dzielnicę Poświętne na tor kolarski. Jest to dla nas chłopaków duża atrakcja. Zupełna nowość. Nikt z nas nie zna zasad. Ale intuicyjnie wiemy, że chodzi tu o rozpędzanie roweru w trakcie podjazdu i następnie szybki zjazd w dół po przeciwległych stronach stadionu. Niekiedy za dużo nas się tutaj zjeżdża i dochodzi do nieprzyjemnych kraks!

W trakcie jednego z moich wyścigów doszło do zderzenia się z drugim rowerzystom i w efekcie tej kolizji mój składany z części rower się rozleciał, a ja miałem pościerane kolana i łokcie. Kto by się w tym wieku przejmował takimi sprawami? Rany się zagoiły a rower zmontowałem sobie nowy!

Lubię jeździć do kina Warszawa na ulice Swierczewskiego. Nigdy nie ma pewności czy uda się bilety kupić. Na ogół trzeba kupować od „:koni”. Po przeciwnej stronie ulicy jest kino Śląsk, ale tam jeszcze trudniej o bilety. Taki wyjazd jednak nawet, jeżeli się nie dostanie biletów nie jest całkowicie na marne! W mieście są jeszcze inne atrakcje. Pod kinami bardzo często można spotkać ulicznych śpiewaków. W mundurach wojskowych nieraz bez jednej nogi, ci inwalidzi grają na gitarze, albo mandolinie modne piosenki, Przeważnie o minionej wojnie, o losie żołnierza i.t.p. Lubię słuchać: -Czerwone Maki na Monte Casino albo Jarzębina czerwona.

W domu organizujemy z Teresą tańce przy gramofonie. Najlepiej jednak tańczy mi się z mama. Mamy piwo własnej roboty i trochę domowego słabego wina. Hausiu" smali cholewki" do Teresy, ale ona chyba jest obojętna!

Obecnie, kiedy chodzę do szkoły gimnazjalnej na ulicę B. Chrobrego pogląd na świat z każdym dniem mi się poszerza!

Coraz dalej i śmielej, czy to pieszo, czy tramwajem z kolegami zapuszczamy się w inne dzielnice poznając swoje miasto, które funkcjonuje coraz sprawniej.

W księgarniach ukazują się ciekawe książki. Nowe wydania. Książki takich autorów jak np. Jacka Londona, Corwoda czy też Karola Maja. Można też spotkać naszych rodzimych pisarzy Kraszewskiego i innych polskich pisarzy.

Pieniądze, które zarabiam jako uczeń I-szego roku nie są duże, około czterech tysięcy ówczesnych. Oddaje część do domu, do wspólnej kasy!

Życie dość dużo kosztuje. Ojciec nasz ma na utrzymaniu matkę, mnie i Teresę!

W sklepach towaru mało i drożyzna. Na zakup butów, czy garnituru potrzeba dużo więcej, około pięciu moich pensji i to na ubranie z tak zwanej „pokrzywy”, czyli z materiału, który gniece się jak ścierka do podłogi, toteż chodzę nadal w rzeczach przerabianych po ojcu. Zresztą prawie wszyscy koledzy znajdują się w podobnej sytuacji. Jeden tylko z naszej klasy ubiera się modnie na Ówczesne czasy. Moda samodziאלowa, polega na tym, że materiały te są wyrabiane ręcznie na krosnach i dlatego są drogie! Moda ta dla bogatych! Marynarka kraciasta gruba, buty na grubej zelówce, tzw. Szkoty, i krawat z goła baba.

Mama tego kolegi prowadzi sklep niedaleko naszej szkoły i widocznie stać ją na takie wydatki. Ten kolega to Zdzichu Budzanowski i gra rolę eleganta w naszej klasie.

Ta moda nie jest jeszcze taka zaraźliwa i nie powoduje u nas nadmiernej gorączki!

Panuje opinia o tak ubierających się, że to bażanty i bikiniarze, oczywiście do pełnego obrazu należy dodać jeszcze czapkę z samodziאלu i koniecznie długie włosy ulizane brylantyną. Strasznie ich tępią aktywiści z ZMP, nienawidzą oni ideologicznie wszystko to, co kojarzy się z Ameryką czy kulturą zachodnią. Dochodzi do tego, że napadają na takiego pojedynczego bażanta w domu towarowym za cichą zgodą kierownictwa, wciągają do korytarzy, obcinają mu włosy i krawat sam byłem świadkiem takiej sceny w domu towarowym. Robi to ta zdrowa młodzież z bojówek komunistycznych. Nie mógłbym brać udziału w takich łapaniach przypominających niedawne czasy okupacji!

Ostatnio poznałem w naszej szkole Zdzicha Starościaka kolegę z klasy elektrycznej. Zaprosił mnie do siebie na ulicę Kaszubską. Leży ona przy ulicy Pomorskiej na skraju parku. Dom bardzo stary i mieszkanie olbrzymie. Pokoje z wysokimi oknami. A na podwórzu mnóstwo szczurów. Boję się takich zatechłych zakamarków.

Poznałem ojca Zdzicha, jest to starszy inteligentny pan, poznałem wtedy również jego starszą siostrę. W domu widać dużo książek polskich i fortepian.

Siostra jego chcąc mi sprawić przyjemność zagrała specjalnie dla mnie utwór z operetki, którą często nucili sobie moi rodzice była to chyba Kraina Uśmiechu.

Po chwili odwiedził go jego sąsiad Heniek Lis, zaproponował nam zabawę w bombardowanie szczurów!

Była to zabawa ucieszna! Rozdał nam gliniane bombki, które można było kupić w każdym sklepie papierniczym. Kulki te uderzając z wysokości wybuchają dając trochę ognia.

Zabawa polegała na tym, że z pierwszego pietra obserwowaliśmy łażące po podwórzu szczury. Należało dokładnie wycelować i z siłą w najbliższego trafić taką kulką!

Pisk i popłoch wśród tej zgrai zlewał się z wybuchami naszych pocisków. Żaden z nich nie zginął, ale na jakiś czas straciły odwagę!

Zajęcia na warsztatach szkolnych nie są tak przyjemne jak lekcje w szkole. Ciekawi mnie wprawdzie wiele spraw związanych z zawodem, ale minusem jest to, że muszę wcześniej wstawać, ażeby zdążyć do pracy. Bywam często niewyspany. Niektórzy koledzy odczuwają to również. Dojazdy są dość uciążliwe.

Ktoś z naszych kolegów wykombinował, że można się urywać z zajęć i chować w starych parowozach.

Również dałem się namówić. Przemknęliśmy ostrożnie, ażeby nas nie zauważono na pobliskie tereny porośnięte wysoką trawą i chaszczami.

Wleźliśmy do stojących tu od dawna parowozów a następnie do wnętrza paleniska . Wewnątrz jest dużo miejsca. Dosypiamy tutaj nieraz godzinę, a i nieraz dłużej!

Obok naszej ślusarni budujemy nowy obiekt spawalnie i dział obróbki mechanicznej. Cegły na tą budowę musimy sami sobie zorganizować!

Od najbliższego tygodnia zaczynamy wyjazdy w rejon olbrzymich rumowisk jeszcze nieuprzątniętych, a są nimi zburzone zakłady produkcyjne / późniejsze M5 i Pafawagu/ w celu rozbiórki i oczyszczenia cegieł.

Każdy z nas musi codziennie uezierać z ogromu gruzu, który zalega również na drogach dojazdowych i oczyścić sto cegieł. Następnie podpychamy w ten rejon przyczepy, na które ładujemy nasz urobek. Około godziny trzynastej przyjeżdża ciągnik i my zakurzeni brudni ładujemy się na wierzch cegieł. Ruszamy przez miasto do zakładów na Rychtalską.

Raz w czasie takiego wyjazdu w kierunku zachodnim / rejon Pafawagu / jechaliśmy jak zwykle na pace przyczepy rozglądając się ciekawie po trasie naszego przejazdu. Traktorzysta jechał ulicą Stalina obecnie Jedności Narodowej, dalej Ołbinską przy straży pożarnej, w kierunku Parku Staszica, dalej ulicą Pomorską do skrzyżowania z Dubois w prawo, Mieszkańską do Placu 1 Maja. Wjeżdżamy w ulicę Legnicką, po obu stronach jak okiem sięgnąć teren oczyszczony, zniknęły rumowiska, widać tylko pojedyncze zabudowania niezburzone na ulicy Mogileńskiej i Poznańskiej. Przy bunkrze skręcamy w lewo i już zbliżamy się do rejonu naszej dzisiejszej pracy.

Ten dzień został mi w pamięci, ponieważ stwierdziłem, że chyba jakaś siła czuwała nad moim młodym życiem!

A było to tak jak zwykle bywało. Wybieraliśmy całe cegły oczyszczając je młotkami z zaprawy. Zajęcie to jest jednak nudne. Słońce prażyło niemiłosiernie, picia żadnego nie posiadaliśmy, rozmowy się już nie kleiły. Wtedy ktoś zauważył, że na wysokości chyba drugiego piętra, na pionowej ścianie przy całym jeszcze budynku jest otwór drzwiowy. Zaciekawilo nas jak tam można wejść i sprawdzić, co tam się uchowało przed szabrownikami w tej fabryce?

Wszyscy twierdzili, że tam jeszcze nikt nie zaglądał od czasu zakończenia wojny!

Jedyna droga, która prowadziła do tego otworu drzwiowego to gzyms pozostały po zerwanym stropie.

Postanowiłem, że tam wejść! Jedni odradzali, inni robili zakłady że mi się nie uda!

Droga wydawała mi się stosunkowo bezpieczna, gzyms dość szeroki, lęku wysokości nie miałem!

Ruszyłem dość szybko, najpierw wdrapałem się po rumowisku na wysokość gzymsu. Następnie nie patrząc w dół ruszyłem przylepiony twarzą do ściany w kierunku otworu.!

Po kilku krokach, coś mnie podkusiło ażeby popatrzeć w dół!

Nagle zdałem sobie sprawę, że już nie zrobię ani kroku wprzód, ani w tył!

Zesztywniałem ze strachu, poczułem spływający zimny pot po plecach. Rozpaczliwie szukałem w myślach ratunku i sposobu wyjścia z tej rozpaczliwej sytuacji. Pomyślałem że nikt mi przecież nie może tutaj pomóc! Nikt nie znajdzie drabiny, po której mógłbym bezpiecznie zejść na dół!

Uświadomiłem sobie, że muszę się uspokoić, pomimo że serce bije jak młotem, a murek pod nogami wydaje się węższy niż jest naprawdę. Głosy kolegów dochodziły do mnie jak przez mgłę. Staralem się ich rad nie słuchać. Wiedziałem, że tylko ja sam mogę sobie pomóc! Krok za krokiem zacząłem się przesuwać z powrotem w kierunku zbawczej pryzmy.

Jeszcze dwa kroczki z twarzą przy ścianie, jeszcze jeden i skok na pryzmę gruzu a później na tyłku w dół do kolegów! Ach! Co za ulga, jestem cały i żyje? Niech żyje życie!

Spotyka się czasem takie osoby, które mają decydujący wpływ na całe twoje życie! Kasia Baranowa należała do tych przyjaznych osób, silnych, energicznych a zarazem wpływających nie tylko na mnie, ale również na grono nauczycielskie. To ona spowodowała, że pani Stanisława Chojnacka rozluźniła się na, tyle że mogliśmy sobie wspólnie z klasą pożartować i zniknęła u niej ta marsowa mina! Również matematyk dziwak, stary kawaler pod wpływem jej pogodnego usposobienia i jej perswazji, stał się bardziej ludzki! „Kacha” rozbudziła u nas chęć zdrowej rywalizacji, w nauce, w czytaniu, dobrych manierach i w. podobnych sprawach.

Ta rywalizacja dotyczyła przede wszystkim jednak naszej trójki. Edka, Staszka i mnie. Reszta klasy próbowała też się podciągać, ale jednak większość odstawała od nas.

Zauważyłem, że my, nasza trójka potrafimy się również czegoś uczyć od siebie.

Jeden inspirował swoimi pomysłami innych! Nasze najlepsze doświadczenia i dotychczasową wiedzę przekazywaliśmy sobie, ale również popisywaniem się przed sobą wiadomościami.

Już wtedy zorientowałem się, że zdobycie wiedzy i odpowiedni status uzyskiwało się, w zależności od tego, do jakiej szkoły się uczęszczało.

Na pewno „Ogólniaki” miały większy prestiż aniżeli szkoły zawodowe. Posiadały one w swoich programach przewagę przedmiotów humanistycznych i co tu dużo gadać poziom ogólnej wiedzy przekazywanej był dużo wyższy!

Oczywiście taki absolwent nie posiadał żadnego zawodu i nauka jego musiała nadal trwać!

Dorośli o tym wiedzieli. Ja natomiast zacząłem to sobie uświadamiać spotykając się z moimi kolegami z bloków. Niektórzy z nich poszli właśnie do szkół ogólnokształcących i w naszych kontaktach okazywało się że ich wiedza przewyższa moje wiadomości.

Wtedy to właśnie nasze drogi zaczęły się rozchodzić!

Kolega z bloków Czechu Szrodke, który nie był nigdy orłem w nauce, a raczej osłem.

Oddalił się od naszej paczki z innymi. Stali się oni agresywni w stosunku do nas. Nazywali nas „paniczykami”, jakby obarczając nas winą za swoje nieuctwo i brak wspólnych zainteresowań. Z naszej strony nie było przecież żadnej wrogości!

Ja zdałem sobie sprawę, że jeżeli nie postaram się o podniesienie swojej wiedzy do poziomu kolegów chodzących do ogólniaków to zostaną wykluczony również z tej paczki.

A więc drogi chłopaków z bloków częściowo się rozeszły. Heniek Wencel, Julek Stachowiak wyjechali do Gdyni na szkołę morską.

Heniek Kliks jeździ do miasta do ogólniaka. Mój najbliższy kolega i sąsiad Edek Sypniewski wyjechał do Ostrzeszowa do gimnazjum Salezianów. Kolega z mojej ulicy Piechota poszedł na szkołę oficerską. Danka nasza sarenka modrooka wyszła za mąż i nie mieszka już w naszych blokach.

Często bywam w domu u Heńka Kliksa rodzice jego są mili. Jego ojciec to olbrzym, chyba ma ze dwa metry wzrostu.

U Heńka poznaje się z jego nowymi kolegami ze szkoły, niektórzy z nich mieszkają w mieście. Jeden z nich Franek Kumala mieszka na Obornickiej przy cukrowni. Sprawia on wrażenie trochę nieśmiałego nosi również okulary tak jak i Heniek. Imponuje mi piękną grą na pianinie!

Siostra Heńka o imieniu Danusia to jeszcze smarkula, oczko w głowie mamusi i tatusia. Na mój gust zbyt cukierkowa lalunia.

Heniek jest z mojego rocznika, ale w sprawach damsko –męskich orientuję się lepiej niż ja. Tematy mamy różne. Dużo w naszych rozmowach mówi się o patriotyzmie i wszechobecnym terrorze ZWM, OMTUR, WICI zamienionych z połączenia na ZMP..

Ja w tym okresie należałam do harcerzy, co mi sprawiało radość i życie obozowe oraz zbiórki. Nie myślałam wtedy nigdy w kategoriach nowej niewoli komunistycznej. Wydawało mi się że nie może już nic być gorszego od niewoli niemieckiej, w przeciwieństwie do Heńka.

Nie traktowałem poważnie wypowiedzi Heńka o jakimś ruchu oporu, o którym nieraz mi wspominał. Znałem go na tyle że wiedziałem jaką ma bujną wyobraźnię jak lubi jeszcze książki K.Maja. W przyszłości z dużymi przykrościami dla mnie miałem się przekonać jak bardzo się myliłem w ocenie tego, co do mnie mówił!

Nie wstąpiłem wprawdzie na zakładach szkolnych ZNTK do ZMP, chociaż mnie usilnie namawiano, a nawet instruktor Świnka mi groził konsekwencjami.

Przyczyny tego były dwie. Po pierwsze nie podobało mi się to, że załamywano historie. Która znałem z przekazów rodzinnych? Po drugie że o moim losie, sposobie życia, sposobie myślenia chciały decydować osoby wprawdzie też chłopaki, ale głupszy ode mnie i to karierowicze bez skrupułów. W szkole zajmujący w nauce ostatnie lokaty.

Nic nie mam przeciwko chłopakom ze wsi, mój ojciec też pochodził ze wsi i ja całą okupację spędziłem na wsi, ale rzuciło się w oczy że u niektórych, szczególnie tych którym rodzice na wsi nie przekazali naszych tradycji historycznych, możliwość zrobienia kariery bez żmudnego zdobywania wiedzy przysłoniła sumienie i potrafili zrobić z naszej narodowej dumy kloakę w myśl hasła komunistycznych że Polska zaczęła się dopiero 1945 roku.

Widząc tą szansę, że mogą mieć wpływ na inteligencję i ją stłamsić nie mieli żadnych skrupułów i byli zdolni do najpodlejszych rzeczy!

Zawsze była jakaś duma we mnie patriotyczna poprzez tradycję rodzinne i wiedzę, jaką z tego czerpałem. Dlatego nie mogłem ścierpieć nieprawdy i niesprawiedliwości, a co dopiero poddania się rozkazom takim ludziom.

Miałem to szczęście, że autorytet mojego ojca wybronił mnie od przymusowego należenia do tej młodzieży, której wartości i hasła były mi całkowicie obce!

Raz zdarzyło się idąc z Ekiem Paulą ze szkoły ulicą Chrobrego zauważyliśmy przed jednym domem dużo młodzieży z opaskami na rękę. Brama udekorowana flagami narodowymi i czerwonymi. Zapraszali nas gorliwie do środka, na piętro, do świetlicy. Postanowiliśmy wejść, co nam szkodzi posłuchać! Weszliśmy z Ekiem w momencie, kiedy na sali był już tłum.

Wsluchaliśmy się w przemowę prelegenta. Niektóre hasła o sprawiedliwości o szacunku do pracy, o okupancie, o konieczności odbudowy naszego państwa, o reformie rolnej wydawały mi się słuszne i podobały mi się!

Przypominam sobie jak wiele lat później, kiedy byłem już dojrzałym, w pełni ukształtowanym człowiekiem przeczytałem mądre słowa francuskiego pisarza, byłego komunisty. Napisał on tak:

- Jeżeli się ma dwadzieścia lat i nie jest się komunistą!
- To znaczy, że się nie ma serca!
- Ale jeżeli się ma czterdzieści lat i jest się nadal komunistą!
- Oznacza to, że się jest idiotą!

Słuchaliśmy z Ekiem jeszcze przez chwilę z zainteresowaniem. Ale kiedy zaczął pluć na nasze tradycje historyczne i twierdzić, że wszystko, co dotychczas nasz naród stworzył i czym się dotychczas chlubił, było nic nie warte, jedna zgnilizna burżuazyjna, ogarnął mnie niesmak. Dobrze wiedziałem, jakie zasługi dla ojczyzny miała moja rodzina. Najstarszy brat mamy w 18 roku wcielony przez prusaków do armii niemieckiej został wysłany na front rosyjski.

Kiedy wojna zbliżała się ku końcowi, wstąpił do oddziałów Powstania wielkopolskiego? Po odzyskaniu niepodległości jako podoficera skierowano go na szkołę oficerską. Nadszedł rok 1920 znowuż trzeba było walczyć, ażeby obronić naszą kruchą wolność. Rok 1939 wrzesień beznadziejna walka w obronie ojczyzny, potem pięć lat oflagu. Moja matka miała jeszcze dwóch braci i dwie siostry i matkę wdowę. W domu biednie, ale patriotycznie. Pytam się, jaka to burżuazja? Młodszy bracia matki w 39 roku w obronie Warszawy ranni. W 1945 roku poszli na ochotnika walczyć z Niemcami na Poznańska Cytadela.

Rodzina ojca mieszkała przed pierwszą wojną na wsi. Najstarszy z Nowaków Stachu w poszukiwaniu pracy znalazł się w Warszawie pod zaborem ruskim. Gdy tylko wojna wybuchła internowano go i wywieziono na Syberię do Orenburga. Ledwo z życiem wrócił z żoną w czasie rewolucji. Starszy nieco od ojca brat Janek poszedł z Prusakami do Francji pod Verdun. Wrócił, ale już nie ten sam człowiek. Mój ojciec w 1920 roku gonił Moskali z polskiej ziemi. Tak to w skrócie wyglądała historia mojej rodziny! Nie mogliśmy dłużej słuchać prelegenta. Ogarnął mnie jakiś lek przed tymi sfanatyzowanymi ludźmi, w większości podatnymi na manipulację. Wszak byli to chłopcy też ufni w jedyny, sprawiedliwy świat – głoszony przez zetempowskich agitatorów!

Kupiłem sobie wieczne pióro. Całe metalowe i niebieski do tego atrament. Uczę się nim posługiwać. Trudno się zdecydować, czy pisać pismem prostym? Czy pisać pochylonym? Czy pochylonym w lewo, czy pochylonym w prawo? Moi koledzy, Edek Paula i Staszek Car mają również ten dylemat. Wszyscy wyrabiamy sobie charakter pisma. Nie jest to umiejętność, którą się szybko zdobywa trzeba w to włożyć dużo pracy. Nasz nauczyciel rysunku technicznego nauczył nas nowego pisma! Jest to pismo bardzo czytelne, ale nie da się szybko nim pisać! W każdym razie jest to trud, który należy rozłożyć na następne miesiące. Dla wyćwiczenia ręki przepisujemy śpiewniki, i książki. Ja przepisuję kryminał polskiego pisarza Antoniego Marczyńskiego, przygody i perypetie detektywa Rafała Królka – wspaniały pisarz ten Marczyński! Kupiłem sobie ostatnio arkusz bristolu, czyli białego kartonu na którym staram się jak mogę ażeby moje rysunki techniczne były bez błędów. Lubię ten przedmiot. Często się zgłaszam na lekcji i na innych również. Zostało to zauważone u nauczycieli. Stopnie mam coraz lepsze i wyrobioną markę, że wiem wszystko. Wymaga to dużej czujności z mojej strony. Jeżeli któryś z pytanych kolegów nie wie! To wtedy pada komenda; -To na to pytanie odpowie Janusz Nowak! Tak szczęśliwie dotychczas się składa, że wiem wszystko i dlatego zbieram plusy!

Dnie upływają nam szybko. W szkole jest jednak przyjemniej aniżeli na warsztacie. Ale i tu też się coś dzieje. Wybudowano nam nowe pomieszczenia z cegieł przez nas czyszczonych i wybieranych nim odbywam praktykę na obrabiarkach, Mam przydzieloną rewolwerówkę, na której wykonuje nakrętki. Jest to maszyna podobna do tokarki, ale pracuje szybciej i nie wykonuje głębokich wytoczeń. Nadaje się doskonale do produkcji elementów wykonywanych w dużych seriach. Po pewnym czasie, kiedy się już opanowało tą maszynę, praca na niej staje się nudna! Spawalnia mieszcząca się również w tym nowym budynku pracuje pełną parą. Spawa się tutaj przeważnie acetylenowo. Wszyscy na warsztatach wykonujemy elementy potrzebne do remontu parowozów. Zbliży się koniec pierwszego roku szkolnego. Ja szykuje ojcu miłą niespodziankę! Nie wie jeszcze, że tak bardzo się poprawiłem w nauce. Szkoła szykuje dyplomy pochwalne. Chyba każdego rodzica to cieszy jak otrzymuje wiadomość, że jego latorośl wyróżnia się w zdobywaniu wiedzy i jest wzorem dla innych. Wiem jak to mojego ojca ucieszy, a mnie pozwoli zdobyć na nowo jego uznanie! Znam już wszystkie swoje stopnie: sprawowanie-bardzo dobry, język polski-bardzo dobry, geografia-bardzo dobry, chemia i materiałoznawstwo –dobry, fizyka i maszynoznawstwo – bardzo dobry, rysunek zawodowy – dobry, matematyka – dostateczny, ćwiczenia cielesne – dobry, religia – dostateczny, zagadnienia pol.- dobry, język niemiecki-bardzo dobry. Opuścił godzin 8. I przechodzi do klasy drugiej. Tak napisano na świadectwie!

Na dole świadectwa, data 30 czerwca 1949 roku. Wrocław.

Otrzymał promocję do klasy drugiej.

A więc jeszcze nie wszystkie przedmioty opanowałem na piątkę. Jak widać ze świadectwa to matematyka mnie dobija?. Ale taka jest prawda. Zaległości dają znać o sobie!

Nieraz tłumaczyłem się z tego, że jestem bardziej humanistą niż technikiem. Ale tak naprawdę lubię oba te kierunki. Muszę tylko więcej pracy włożyć w zgłębienie formułek matematycznych i na pewno dużo zadań rozwiązać!

Wakacje w szkole 1949 roku już się zaczęły i cóż z tego, że nie chodzimy do szkoły, kiedy musimy codziennie uczęszczać na warsztaty na praktykę.

Przysługuje nam tylko dwutygodniowy urlop, taki sam jak pracownikom o małym stażu.

Trudno jesteśmy przecież pracownikami kolei z wszystkimi prawami, ale też z wszystkimi obowiązkami.

Lato ma swoje prawa, ale koledzy, którzy mają dwumiesięczne wakacje, zazdroszczą nam, że my otrzymujemy pieniądze, których oni nie mają.

Czujemy się ważni, bo możemy im nieraz zafundować np. jazdy na karuzeli! Naprzeciw Hali Ludowej jest duży teren gdzie przez większość roku ustawia się wesołe. Czego tu nie ma?

Jest wszystko: diabelskie koło, wirujący smok, gabinet luster wahadło zegara Ściana śmierci i wiele innych atrakcji.

Lubię tutaj przyjeżdżać w niedzielę. Muzyka gra, dużo młodzieży uczącej się. Dziewczyny i chłopaki noszą na głowie czapki studenckie, tak je nazywamy. Gimnazja i licea noszą w kolorze przynależnym danej profesji. Na przykład medycyna biały, kierunki elektryczne niebieskie, a my kierunek mechaniczny kolor brązowy.

Nieraz trzeba było uważać, bo chuligaństwo już się zaczynało panoszyć. Duże grupy chłopaków z nudów zaczepiało na tym terenie tych, co mieli pieniądze i kupowali bilety.

Raz wydarzyła się nam niebezpieczna i nieprzyjemna przygoda. Wybrałem się do tego

lunaparku z Jankiem Hausiem. Kupiliśmy bilety na smoka. W trakcie jazdy, do Janka

dokoczył jakiś chłopak i zabrał jemu czapkę z głowy. Rzuciliśmy się w pościg za nim!

Aż tu nagle otoczyła nas banda około 15 chłopaków i zaczęła się szarpanina. W pewnym

momencie w tej grupie rozpoznałem jednego chłopaka z naszej szkoły, nawiasem mówiąc

Strasznego łobuza, ze złamanym nosem. Wrzasnąłem na niego, – Co ty tu robisz Gałka?

-tak się nazywał. Poznał mnie i zawołał chłopaki dajcie spokój! To jest mój kumpel z budy!

W taki to sposób uratowaliśmy skórę, jak to się mówiło popularnie.

Na warsztatach już nam zapowiedziano, że w sobotę jedziemy na cały dzień na wieś.

Wyznaczono 50 osób. Będziemy pracowali w pegeerze, nie wiem jeszcze gdzie? W

okolicach Wrocławia tyle nam tylko powiedziano.

Zresztą jest mi wszystko jedno. Cieszę się, że będzie trochę urozmaicenia w szarej harówce.

Wieś mi nie straszna. Praca na świeżym powietrzu dobrze robi!

Edek nieprzyzwyczajony do takiej pracy. Toteż, kiedy dano nam widły o kazano na wozy

ładować słomę. Nie był zadowolony. Zwłaszcza że to, co wrzucił na górę, to natychmiast

spadało z powrotem. Takie wyjazdy odbywaliśmy na przyczepie z ciągnikiem albo

samochodem ciężarowym.

Najgorzej przy tych pracach było z tym, że słabo się nami opiekowano i zawsze brakowało

napojów. Obiad, na ogół to była gęsta zupa z wkładką!

Wychowawczynie i fizyczka wywołują mnie nieraz w trakcie czytania książek pod ławką, muszę wtedy zachować szczególną ostrożność! Z niesłychaną wprawą to robimy z Edkiem. Może ich belferskie wprawne oko zauważa to nasze przestępstwo! Dzisiaj sam bym nazwał takie zachowanie, przynajmniej brakiem szacunku dla nauczyciela. Ale wtedy istotnie tak bywało, robiliśmy to dość nagminnie. Jednak nieraz wrywał mnie czy Edka do odpowiedzi okrzyk lub raczej komenda: - to na to pytanie odpowie Janusz! One dwie obdarzały nas nutką zaufania i pewności, że na pewno znamy odpowiedź i nie skompromituje również ich w oczach klasy. Nieraz z Edkiem byliśmy w trudnej sytuacji, bo tak nas wciągnęła lektura książki, że nie dotarło do moich uszu pytanie! Ale widząc na pewno wyraz roztargnienia na mojej twarzy, powtarzały pytanie na moje szczęście! I tak mi się zawsze udawało, Jeżeli idzie o innych nauczycieli, od matematyki, rysunku, czy innych przedmiotów to byłem wywoływany bardziej oficjalnie, np. -Proszę o odpowiedź, szukanie w dzienniku i pada nazwisko-Nowak! Nieraz myślałem sobie z zadowoleniem- że Kocham tą budę, bo mogę się wykazać i mam wyrobiony status, czego nie mogłem stwierdzić o mojej pozycji na warsztatach. Tam panował wszechwładnie kolektyw instruktora Świnki. Oni takich mądrali nie lubili i z wielkim upodobaniem podstawiali mi nogę! Nie przejmowałem się tym aktywnym ZMP-owskim, bo miałem poprzez ojca „dobre plecy” u obu Naczelników ZNTK. .

Zima jeszcze nie chce odejść. Za dwa dni będzie 25 Marca, 1950 roku, czyli moje siedemnaste urodziny. Z jednej strony czuję się prawie jak dorosły i samodzielny, a z drugiej wiem, że nie mogę tak mieszkać samodzielnie, na pokoju jak Edek P. chyba jednak wole mieszkać z rodzicami. Nie muszę się martwić o byt. Mam swój pokój, czyli pewna intymność!

Mój pokój jest wyjątkowy. Okna wychodzą na stronę północną, czyli na ogrody. Nad biurkiem wiszą tablice i wzory matematyczne, oraz mapy. Zawsze miałem pociąg do nich. Biurko duże, pojemne, czarne, za plecami moje łóżko!

Tutaj czytam, przygotowuję się do lekcji i odrabiam zadania, jak również ćwiczę rękę, dużo rysuje, zgodnie z zaleceniem profesora Ruszkowskiego. To on zauważył, że ja i kolega z drugiej ławki mamy zdolności rysunkowe.

Nie jestem za bardzo zadowolony z tych rysunków, ale lubię też rysunek techniczny, robię tutaj jednak dużo błędów. O perspektywie już pojęcie mam i trochę o stereometrii tego uczy nas starszy siwy pan inżynier z zakładów. W rysunkach odręcznych ludzi, zwierząt, martwej natury nie wychodzi mi jeszcze cieniowanie i gubię nieraz proporcje. Kolega Zbyszek Segin świetnie cieniuje!

Zbliżam się do ukończenia drugiej klasy. W szkole wszystko idzie bardzo dobrze. Jadę często na fali-, czyli na dobrej opinii. Ale muszę być czujny na niespodziewane wrywki i klasówki. Wypracowania z Polskiego piszę nie chwając się zawsze na pięć. Stosuje dużo przymiotników i staram się zawsze dodać coś do oficjalnego materiału szkolnego z przeczytanych przez zemnie książek.

Mam teraz okres intensywnego czytania. Rywalizujemy pomiędzy sobą, nasza trójka. Edek Paula i Staszek Car. Zapisaliśmy się do prywatnej biblioteki mieszczącej się w pobliżu naszej szkoły. Starsze małżeństwo jakimś cudem uratowało wiele polskich książek i przywieźli je do Wrocławia. Widać po ich zużyciu, że wydrukowano je przed wojną!

Nie rozumieliśmy wtedy, jaki to był skarb- dla tych ludzi. Oni nie zdawali sobie sprawy w tym pierwszym okresie, że oficjalna propaganda niszczy i tępi taką literaturę!

My mieliśmy tą świadomość, dlatego też było trochę dreszczyku emocji przy wypożyczeniu książek.

Najpierw przy wyborze kierowaliśmy się autorami. Czytało się według tego klucza.

Wszystkie tytuły Karola Maja, potem Coorwoda, Jacka Londona, Fenimore Coopera. Był to świat Indian, początków powstawania Ameryki. Potem fantazje Julese Verna, czy Chesstertona.

Następnie szły kryminały Antoniego Marczyńskiego, Leblanca, Conan Doyle, Edgara Poe i.t.p. Nie gardziliśmy też literaturą kobiecą n. P. Curts Mahler, Rodziewiczówna, I. Zarzycka, Kraszewski, Michał Zevaco, A. Dumas, w. Hugo i Walter Scot.

Wreszcie czytamy wszystko, co nam w ręce wpadnie. Nie jest to na pewno właściwa edukacja, ukierunkowana. Ale jedno jest pewne, że poszerza horyzonty myślowe i wzbogaca w wiedzę!

Jak już wspomniałem, ukazują się już w księgarniach nowe Polskie wydawnictwa?

Kupuje tyle na ile pozwala mi gotówka, oczywiście kupuje beletrystykę, podręcznice i z czarnego rynku serie o Tarzanie autora Burougsa.

Kolega z klasy Zbyszek Segin dochodzi nieraz do naszej paczki. Narysował świetne nasze karykatury. Do palarni już nie chodzę. Mam dosyć palenia, mam nadzieje, że na wiele lat!

Klasy nasze są to sale niezbyt duże, meble to stoły i krzesła, proste i stare. Czytamy na przerwach i na lekcjach. Czytanie jest jak narkotyk. Czytamy wszędzie i w każdej wolnej chwili. Nasi pozostali koledzy z klasy nie podzielają tego zapału, są inni i różni. Większość z nich mieszka na wsi pod Wrocławiem, i żyją problemami swoich rodziców i swoich gospodardek. To nie znaczy, że nie żyją naszymi psikusami i rozrywkami szkolnymi!

Ulubionym zajęciem na przerwach ich, a i również naszym to gra w cymbergaja!

Na naszych starych stołach rysujemy dwie bramki o rozstawie 10 cm. Moneta służy za piłkę, a grzebień metalowy za piłkarza. Mecze są zawzięte i kibiców też jest wielu.

Nasi koledzy z klasy nie posiadają tak dużych wiadomości, ale przynajmniej nie wymądrzają się, tylko chętnie słuchają, co my mamy do powiedzenia i liczą na nasze podpowiadanie na klasówkach. W przyszłości oni zostaną jednak oficerami, inżynierami, dyrektorami.

Najgorzej w życiu wychodzą zdolne lenie jak mówi stare przysłowie! Pracowici mniej zdolni zawsze odnoszą sukcesy!

Odwiedzamy rodzinę w Kościanie i Poznaniu. Jest Maj mamy kilka dni wolnego! Trwa wyścig Pokoju. Nasi dobrze jadą. W Kościanie idziemy do wujka Stacha Grygra. Mieszka w domku przez siebie wybudowanym w dzielnicy Górostwo.

Wujek Stachu codziennie dojeżdża do Poznania, pracuje w Zakładach Kolejowych jako stolarz. Cenie jego charakter, spokój i opanowanie. Jest on dobrym i życzliwym człowiekiem. Odwiedzamy również na Kielczewie – mojego kuzyna Marysia Karczmarka.

On również dojeżdża do Poznania do pracy w warsztatach kolejowych. Maryś z żoną i dziećmi mieszka w bardzo małym pomieszczeniu na parterze, niewysokiego domku. Na dodatek tych utrudnień życiowych choruje na żołądek. Oj, nie ma on łatwego życia! To nocne wstawanie do pociągu i te codzienne dojazdy!

Trudne są te lata powojenne. Życie każdemu przynosi trudy i niedostatek. Ja z moim usposobieniem upewniam się, że nie istnieją dla mnie powody do narzekań. Chyba dobrze jest być optymistą!

Na noc dojeżdżamy do Poznania. Mamy w planie złożyć wizyty, w Junikowie, zobaczyć, co u wujka Janka Nowaka słychać i w jego rodzinie?

Nocujemy na Krzywinskiej pod nr. 10 u wujka Stacha i cioci Wikci w nowo wybudowanym przez nich domeczku?

Ładnie u nich, tutaj jest również kawał, około 1000 metrów ogrodu, tylko stąd trochę, tak mi się wówczas wydawało, daleko do tramwaju na pętli Górczyńską.

Wujek Stach jest zawsze powściągliwy, ale dzisiaj radość widać w jego promieniujących oczach, od momentu, kiedy nas tylko rozpoznał, chodzi cały rozpromieniony!

Ciocia Wikta nie ukrywa wzruszenia, gada jak najęta. Heniek cieszy się również, chodzi nerwowo i od czasu do czasu wtrąca się do rozmowy starszych, za co zostaje tradycyjnie ofuknięty!

Oglądamy rano ogród wujostwa. Wujek Stachu w lączkach prowadzi nas od drzewa do drzewa. Widać, że jest szczęśliwy, że wrócił do źródeł. Ma nareszcie kawałek ziemi, z ogrodem i własnym domkiem.

To już inny świat od tego w Oborzyskach z lat młodości. Ciotka Wikta też tęskniła za kawałkiem ziemi, własnym domem przypominający tej szlachciance obrazy z dzieciństwa-jej Rzędziany, przypominało jej skąd przyszedliśmy, skąd nasz ród!

Wiem, że mamy niedawno kupioną ziemię w Mosinie. Nieraz myślę z niepokojem, co ja tam miałbym robić na tej ziemi? Czy wybudować dom? Czy dojeżdżać do Poznania do pracy? Co by to było za życie? Buntuję się wewnątrz. Wolalbym już założyć swoją rodzinną siedzibę w Poznaniu.

Na drugi dzień pobytu dowiaduję się że ciotka pomyślała za nas i kupiła nam duży kawałek ziemi, 11 arów w niedużej odległości od ul. Krzywiskiej, Są to tereny po cegielni.

Wujek Stachu to się wyczuwa, namawia ojca ażeby po przejściu na emeryturę wrócił do Poznania.

Widzę, że, ojciec się waha, nie daje na razie pozytywnej odpowiedzi bratu.

Wybieramy się popołudniu, ojciec, matka wujek, Heniek i Ja, do Junikowa, do wujka Janka Nowaka. Jego córka Jasia cieszy się na nasz widok, jej brat Andrzej przygląda się nam z ciekawością.

Zwiedzamy ich ogród. Domek wydaje mi się jakiś mniejszy, niż poprzednio, ale to złudzenie to po prostu ja urosłem. Ciotka i wujek Janek usadzają nas w ogrodzie. Ciotka cały czas mówi nie słuchając nas, co my mamy do opowiedzenia. Rozmowy dorosłych się przeciągają. My młodzi, szczególnie Joanna interesuje się, co ja porabiam, jak tam jest w tym Wrocławiu? Rozmawiamy o szkole, o nauce. Itp.

Odwiedzamy w drodze powrotnej Cmentarz Górczyński- grób Tadeusza Nowaka a następnie idąc naszą stałą trasą wstępujemy do ciotki Stelli i jej męża Bruna.

Zawsze ile razy do nich zachodzimy, nie mogę sobie wyobrazić, jak oni tutaj śpią, odrabiają lekcje? Bo w porównaniu do naszego mieszkania to tutaj mają straszną ciasnotę!

Urok ma ich ulica Albańska jest tutaj cicho i pachną kwitnące drzewa. Ela się uczy, Wojtek się uczy, Zbyszek się uczy, jak oni odrabiają lekcje?

Po naszej wstępnej rozmowie zorientowałem się, że ich w ogóle nie interesuje nasze życie we Wrocławiu. Nie interesuje ich jak mieszkamy, co porabiamy, jak wygląda Wrocław?

Oni mówią pogardliwie, że, to dziki zachód! To jest ten ich szowinizm lokalny!

Opowiadają tylko o swoich sprawach, tylko o Poznaniu, orientuje się po chwili, że zaczyna to wyglądać jak dziecinna zabawa, kto ma ładniejszego misia, że tak naprawdę nie mam, o czym z nimi rozmawiać, że drażni ich zachwalanie n. p. wielkości, czy zabytków Wrocławia.

Postanawiam, że nie warto dalej na temat naszego tam życia rozmawiać. Chociaż nurtuje mnie pytanie skąd to u nich się bierze, że ignorują nasze życie dają do zrozumienia, że to jest nieważne, co my robimy. Ja myślę, że robią to z zazdrości. Zazdroszczą nam wszystkiego, to jest chyba ta polska bezinteresowna zazdrość. Zazdroszczą nam odwagi, że wyjechaliśmy z Poznania. Po drugie, że tam nam się powiodło, że tam jesteśmy szczęśliwi. Ze wszystko mamy do życia, a więc przyjaciół, pracę, ogrody owocowe. I tak już pozostanie chyba, że będą mi wszystkiego zazdrościć!

Idziemy wreszcie do cioci Jadzi i Walka oraz kuzyna Jurka. Ciekawie jest rozejrzeć się po swoim starym mieszkaniu. U cioci jest bardzo czysto, widać również robotę ojca – mebelki, tacki itp. Ojciec zawsze kochał swoją młodszą siostrę, może, dlatego że nie miała łatwego życia i przeszła wielką udramę w czasie wojny. Należy jej się trochę szczęścia przy nowym mężu. Moje rozmowy z kuzynostwem stały się dość obojętne, widać, że czas zrobił swoje. Nawet propozycję przyjazdu ich do Wrocławia nie wzbudzą większego zainteresowania. Jedynie z Heńkiem mam stały serdeczny stosunek. Chociaż on woli nieraz rozmawiać ze starszymi i od nich czerpać wiadomości. Wcale się jemu nie dziwie jest przecież o 10 lat starszy o de mnie.

Nasi goście z Poznania mówią, że zmężniałem i urosłem. Minęło już trochę czasu od ostatniego nasze spotkania. To prawda, że nasze kontakty już nie takie same jak niegdyś w Poznaniu.

Wytłumaczyłem wujkowi Władkowi, że odbyłem już niektóre praktyki zawodowe. Między innymi na kuźni. Praktyka u instruktora Szczura nie była łatwa. Pierwsze dni ślaniałem się na nogach. Codziennie po powrocie z pracy kładłem się na leżance na dwie godziny.

Pierwsze trzy dni mogłem policzyć wszystkie swoje kosteczki. Ale z każdym dniem stawałem się mocniejszym i łatwiej znosiłem trudy.

Praca polegała na tym, że dwóch uczniów otrzymało duże młoty / nie wiem ile ważyły?

Majster rozgrzane do białości żelazo wyciągał z koksowego paleniska. Kładł na kowadle, a my z kolegą tłukliśmy młotami celując w to miejsce rozgrzane.

Trzeba było utrzymać rytm i nie zwalniać tego tłuczenia. Taki kawałek płaskownika szybko wystygł i wtedy przestawał być plastyczny.

Pot zalewa czoło, gorąco od paleniska a na rękach tworzą się bąble! Tak wygląda ta praca!

Instruktor pan Szczur śmieje się z nas, że jesteśmy takimi słabeuszami.

Nieporadni przy tych dużych młotach. Daje wreszcie możliwość samodzielnego nagrzania żelaza i formowania go na kowadle.

Obecnie pracuję na naszej nowej spawalni. Spawam acetylenem różne koszyki, koszyczki z drutu / spawa się to palnikiem zero albo jedynką/. Poprzednio uczyłem się spawać w poziomie i pionie. Łączyć dwie metalowe części. Potrafię spawać też żeliwo i metale kolorowe. Do tego trzeba używać boraksu.

Chodzenie na warsztaty już nie jest tak uciążliwe, zwłaszcza, że poznajemy wiele nowych zagadnień. W trzecim roku na praktyce będę pracował na różnych obrabiarkach. Mianowicie, trzeba będzie wykonywać toczenie, frezowanie dłutowanie i to już będzie się odbywało na produkcji!

Zarobki nasze podwyższają z każdym nowym rozpoczętym rokiem szkolnym, nie są to duże pieniądze. Nie wystarczają na kupno ubrania. Kupiłem sobie letnia marynarkę, jakaś tandeta! Z bytami to jestem teraz ostrożny od tego czasu, kiedy kupiłem te modne i na deszczu zelówki w nich odpadły. Chciałbym mieć na zimę nową jupkę, tzn. kurtkę!

Ojciec przeznaczył dla mnie swój przydziałowy kolejarski materiał, z którego znajomy krawiec jeszcze przed zimą obiecał uszyć! Ależ to będzie radocha!

W domu wszyscy mają swoje zajęcia. Teresa uczy się w szkole krawieckiej. Mama produkuje wino z owoców i wspaniale piwo w butelkach. Bardzo lubię sobie po pracy wypić taki napój, wystrzeliwuje zawsze jak szampan. Ojciec ma ostatnio nowe "hobby", buduje własnoręcznie ule, dla pszczół! Będziemy mieli własny miód. Mieczka i Wacka namówił na założenie pasieki na własnych ogródkach. Jak się zorientowałem to wielu kolejarzy ma te same plany?

Wczoraj spotkałem brata Wisi. Wyglądał pięknie w mundurze marynarskim. Opowiedział mi, że na Kowalach jest Szkoła Marynarki Śródlądowej i że właśnie tam uczęszcza. Zapytałem, co u siostry słyhać, czy ma do mnie, jaki żal? Odpowiedział mi krótko, że chyba wyrosła z tej dzieciannady. I że pracuje i uczy się w zakładzie kuśnierskim. Jest zadowolona i że nikogo nie ma! Domyślałem się z jego mowy, że byłby nawet zadowolony z naszych bliższych kontaktów. Opowiedziałem jemu jak dużo czasu poświęcam teraz na naukę. O moich planach na przyszłość, że chciałbym pójść na szkołę plastyczna, albo do liceum.

Na pożegnanie kazałem jemu pozdrowić siostrę i rozstaliśmy się w przyjaźni! Będąc w pobliżu ulicy Romanowskiego postanowiłem wstąpić do Rybarczyków. Drzwi otworzyła mi Krysia córka kuzyna Mietka. Żona jego Maryla robiła zaprawy właśnie i poinformowała mnie że chyba poszedł do nas, na działkę. Musze stwierdzić, że Mietek bardzo często odwiedzał mojego ojca. Że darzył go szacunkiem i słuchał jego rad!

W blokach zrobiło się trochę nudno i za ciasno dla mnie! Coraz częściej w sobotę czy niedzielę wypuszczam się w bardziej atrakcyjne miejsca Wrocławia. Zwłaszcza, że koledzy rozjechali się po świecie. Edek Paula często na niedzielę wyjeżdża do rodzinnego Ostrowa, a właściwie okolice Ostrowa. Staszek Car, nasz śpiewak etatowy, zawsze popisował się ładnym głosem przy okazji akademii szkolnych, w niedziele czas spędzał w Namysłowie, gdzie mieszkali jego rodzice i z którego codziennie dojeżdżał do Wrocławia

Latem można było pójść nad Odrę i popłażować sobie. Wielu ludzi przychodziło tutaj z kocami, z dziećmi, z jedzeniem na cały dzień. Wokoło rozbrzmiewała muzyka z gramofonów, śmiechy, ogólna radość!

Po naszej stronie Odry nie było warunków do kąpieli. Nie było piaszczystych plaż, tylko cały teren poniżej wałów porośnięty był trawą. Piaszczysta plaża ogrodzona znajdowała się po drugiej stronie, drugiego koryta powyżej śluzy. Wstęp tam był oczywiście płatny. Tutaj względnie bezpiecznie, ale w wyznaczonych miejscach mogły się kąpać nawet dzieci. Woda mnie zawsze ciągnęła, chociaż nie umiałem porządnie pływać. Anioł Stróż jednak wielokrotnie nade mną czuwał i ratował moją skórę. Pierwszy raz zdarzyło się to przy moście Trzebnickim.

Pewnego dnia z bratem Julka Stachowiaka, Marysiem starszym o pięć lat ode mnie, wybraliśmy się z jego kajakiem na Odrę. Zawieźliśmy go na wózek dziecięcym przerobionym do tego celu. Kajak nie był duży, tylko na jedną osobę.

Ja jeszcze nigdy w życiu nie pływałem na takim sprzęcie. Ale wydawało mi się to bardzo proste, dopóki nie spróbowałem. Dzisiaj uświadamiam sobie, że to nie był zwykły turystyczny kajak, tylko wyczynowa jedynka.

Najpierw pływał Marian. Dziwnie sztywno i wysoko siedział jak na koniu, równomiernie wiosłując. Na pewno nie było to jego pierwsze popisy pływackie!

Gdzieś po pół godziny podплыł do brzegu i zaproponował mi samodzielną przejażdżkę! Ostrożnie wsiadałem do tej chybotałej skorupy podpierając się wiosłem o brzeg. Marian udzielił mi kilka wskazówek i odepchnął lekko na głęboką wodę. Wskoczyłem jak strzała, ale czułem jak się chybotaje kajak, kiedy próbuje wiosłem odpychać się od wody.

Złapałem jednak po chwili rytm, zanurzając równomiernie z obu stron łopaty utrzymując przy tym chwiejną równowagę. Pływałem coraz szybciej upajając się nową umiejętnością i nawet nie odwracałem się do tyłu ażeby nie stracić równowagi.

Straciłem już z oczu wszystkich plażowiczów. Przede mną ukazała się mi nieznaną okolicą, wszak to już chyba z 10 minut tak pływałem i zbliżał się moment, w którym należałoby zawrócić!

Naciskając wiosłem z prawej strony mocniej zauważyłem że mój kajak zaczyna zwolna się obracać w lewą stronę. Nie przyspieszając kontynuowałem ten manewr aż ujrzałem ponownie most Trzebnicki i naszą plażę. Pływałem sobie dość spokojnie wypatrując gdzie leży na kocu mój kolega. Minałem go po chwili, zaklaskał mi z uznaniem, pewnie za moją bezbłędną technikę!

Popływałem jeszcze kawałek w kierunku mostu i postanowiłem zawrócić! Może jednak miałem za dużą szybkość a może zbyt gwałtownie pociągnąłem wiosłem.?

Kajak zachybotał i nagle znalazłem się w wodzie! Zacząłem płynąć tym moim stylem, ni to żabką ni to kraulem źle łapałem oddech, piłem wodę, ale widziałem, że biegnie do mnie Maryś. Nie było sensu, aby wskakiwał do wody, bo byłem już tuż, tuż. Podał mi rękę i pomógł wyjść na brzeg.

Upewniwszy się, że nic mi nie jest, wskoczył do wody, aby przyholować kajak i wiosło.

Wzbudziłem dość duże zaniepokojenie wśród odpoczywających tutaj ludzi. Którzy widząc to moje rozpaczliwe płnięcie chcieli się rzucić na ratunek?

Tym razem jeszcze skończyło się szczęśliwie. Ale za kilka lat powtórzy mi się historia!

My ludzie z bloków prawie wszyscy się znamy! Jest to takie odrębne społeczeństwo w stosunku do tych, co mieszkają w mieście, gdzie ludzie nie znają nawet bliskich sąsiadów. To nasze kolejarzkie społeczeństwo, daje nam poczucie przynależności do ważnej grupy. Nakłada pewien obowiązek, ale i zarazem przyjemność bycia dla siebie ufnym i życzliwym. Jednocześnie wyrozumiałym dla krążących plotek!

Nasze drogi krzyżowały się wielokrotnie w tym małym społeczeństwie, coś tam o sobie wiedziliśmy. To znaczy były osoby w tym środowisku, które traktowało się pogardliwie albo obojętnie. Były to rodziny na ogół etatowych pijaków, niekoniecznie kolejarzy!

Z innymi kłanialiśmy się sobie i to nie z fałszywym uśmiechem. Tylko z prawdziwą życzliwością. To przecież nasi ojcowie i mężowie naszych sąsiadek, pracowali razem na kolei, na różnych stanowiskach. Wprawdzie powodowało to pewną hierarchizację w stosunkach pomiędzy żonami i dziećmi!

Mnie traktowano w tych domach współpracowników ojca, gdzie były dorastające dziewczyny bardzo grzecznie, co mnie z kolei onieśmiało.

Dochodziły do mnie głosy, że byłem dobrą partią dla córek kolejarzy!

Wbijało to mnie w dumę i chyba robiłem się zbyt wybredny, nie angażując się w żadne układy!

U ojca pracowały również ładne dziewczyny i jak twierdził porządne, nadające się na żony! Próbowałem na uroczystościach z okazji Święta Kolejarzy organizowanych na naszych podwórkach festynach tanecznych, zapoznawać pracownice ojca. Naprawdę zrobiłem dla niego ten gest synowskiego posłuszeństwa! Nie powiem dziewczyny były ładne i miłe. Ale przy tych niewątpliwych zaletach wydawały mi się nie z tej epoki i nie do tych tematów, jakie młodych ludzi z mojego otoczenia interesują. Ani ich ubiór!. Sprawiały wrażenie raczej mamki, aniżeli dziewczyny z ikra!

Nic z tego nie wyszło. Nawet się z nią nie umówiłem za spokojna dla mnie! Widocznie jestem skazany na 'femme la fatal',. Takie szalone mi wtedy imponowały!

Z okna bloku naprzeciwko, chyba od Kuświków dochodzi do mnie melodia „la cumparsity”,
Z łazienki wyglądam na ulicę Mochnackiego. Mam stąd wgląd również w kawałek ulicy Kamńskiego i na ogród Sypniewskich.

Dobry punkt obserwacyjny, co?

Jest wczesne popołudnie, sobota, ciepło, nawet bardzo, chyba z 27 stopni C. Miesiąc sierpień. Czuję również zapachy, chyba z naszej kuchni, kiszonych ogórków, kopru i soku z malin.

Na ogół wszędzie senny spokój, ludzi nie ma na ulicy, nikogo nie widzę! Żadnego kolegi ani na rowerze, czy też pieszo. Trzeba coś wymyślić, coś zrobić z resztą dnia.

Wróciłem z pracy, jestem wymyty, wyczesany, trzeba zaplanować coś na wieczór.

Pies kręci mi się pod nogami, też ma ochotę wyskoczyć na dwór. Osikać z dwa trzy drzewa, trochę poszczekać na rowerzystów, albo pogonić, za jaką suczka.

Taki spokój w sobotę, nawet nie przejeżdżają ruskie ciężarówki z fabryki z za cementarza!

Ale jest fajnie. Zjadłem dobry obiad. Mama nasmarzyła placki ziemniaczane i mizerię do tego, kompot jabłkowo-gruszkowy.

Na ogół nie przywiązuje wielkiej wagi do tego, co jem! Jestem szczupły, wagę mam w normie! Uprawiam też gimnastykę. Zawsze ćwiczę kilka minut w moim pokoju, mam na tym punkcie fisia. Chciałbym być trochę muskularniejszy, trochę lepiej zbudowanym. Niestety natura nie da się oszukać, jestem po rodzinie ojca chudy. Wyczytałem, że ćwiczeniami można to trochę nadrobić. Ale na pewno Tarzanem już nie zostanę.

Lubię słuchać muzyki i to w każdej postaci. Czy to orkiestry dęte, czy kolejarskie, czy kameralne np. u państwa Sypniewskich? Na instrumentach, tak jak się gra u nich, czyli pianino, wiolonczela, saksofon i skrzypce, albo muzykę cyrkową / taką, jaką pamiętam jeszcze z okresu okupacji z cyrku Sarassani, czy też tanga, czy rockend roll, grane na deskach. Najbardziej lubię tańczyć tanga i sloffoxy.

Również przyjemność mi sprawia słuchanie muzyki z radia, bądź to operetkowej czy ludowej i muzyki amerykańskiej w stylu Fraka Sinatry, również orkiestry Glena Millera.

W radiu jest taka stacja, która zapowiada się zawsze: - Isi Radio Monte Carlo! Nadają tutaj zawsze piękna muzykę. Nowości. Śpiewają tu takie sławy, jak Tino Rossi, czy Edit Piaf. Najbardziej lubię chodzić jednak do kina, to jest dla mnie inny świat! Biorę go na serio, potrafię się całkowicie zaangażować w akcje. Szczególnie przeżywam filmy przygodowe, ale i również muzyczne. Np. Miłość Paganiniego. Jak sztubak zakochuje się w aktorkach?. Z Francuskich to Michel Morgan. Z Włoskich to oczywiście Gina Lollobrigida i amerykańskich Elizabeth Taylor.

We Wrocławiu widać duże zmiany. Tramwajem można dojechać do najbardziej odległych dzielnic, np. do Leśnicy. Jest to osiedle oddalone od centrum. Kilka kilometrów za Pilezycami. Gruzy z ulic zniknęły. Sterczą tylko mury zabytkowych obiektów, pałaców w centrum. Pracują już fabryki. Pafawag Archimedes i M.-5.

Niebezpieczne są jeszcze niektóre dzielnice, okolice Dworca Głównego, szczególnie jego zaplecze zwane Małpim Gajem, również ulica Ślężna przy starym cmentarzu, Brochów. Łobuzeria i chuligaństwo lubi się w tych miejscach grupować. Widać, że stare domy są remontowane, ażeby jak najwięcej ludzi mogło zamieszkać. Nowego budownictwa jeszcze nie widać!

Najprzyjemniej jest w rejonie Placu Grunwaldzkiego, w kierunku ogrodu zoologicznego i terenów wystawowych. Są tutaj zaciszne alejki i pergole. Można nawet kogoś miłego poznać. Również pod kinami spotyka się wiele młodzieży i na Dworcu Głównym.

Do kościoła przestałem chodzić, chyba z lenistwa! Obecnie brak takiej mody w moim otoczeniu /kolegów/

Zawieram nowe znajomości w dzielnicy w szkole jak i poza nią. Uczestniczę, w prywatkach, składam wizyty w różnych domach.

Wiele zaczyna się dziać w szkole i zakładzie. Moja szkoła prowadzi aktywnie zajęcia dla młodzieży. Powstają różne sekcje sportowe, które umocowane są w klubie sportowym Kolejarski.

W pierwszej kolejności werbowano do sekcji bokserskiej. Tak mnie to rozpało, że postanowiłem się zapisać do tej sekcji. Ale po namyśle przychodzi refleksja – gdzie ja z moim sztywnym nosem, pcham się! Przecież złamię mi go przy pierwszych walkach. Ile to razy już krwawiłem po otrzymaniu ciosu w nos w różnych bójkach z chłopakami. -Nie! Ja się nie nadaje do tego. Musiałbym się zoperować /wyjąć przegrodę nosowe i kawał kości! Nie! Lepiej już zostanę z tym moim wystającym nosem Nowaków, a zapiszę się do sekcji szermierki!

Niestety i tutaj spotkało mnie rozczarowanie, bo już nie było miejsc! Pozostała mi lekkoatletyka! No dobrze niech będzie. Przecież w szkole i na podwórku z chłopakami nie byłem najgorszy w biegach i skokach..

W przyszłości okaże się, że będę dobry tylko na długie dystanse 5 km i 10 km. A to, dlatego że nie jestem szybki, ale jestem wytrzymały.

W szkole zapisałem się też na różne kursy! Wszystko mnie interesowało! A więc zapisałem się na kurs PCK- udzielania pierwszej pomocy – skończyłem je nawet I-szy i II-, gi stopień. Zajęcia odbywały się w świetlicach za Dworcem Nadodrze.

Tutaj kolej miała swoje baraki socjalne, gdzie też mieściły się wszystkie sekcje sportowe!

Nie jedną Niedziele spędziłem na zawodach i treningach, ale to już odbywało się na stadionie Kolejarza na Niskich Łąkach. Ćwiczyliśmy skok w dal, skok wzwyż i trójskok, jak również biegi na różne dystanse. Przychodzili tu też chłopcy i dziewczyny z innych szkół!

Nasza szkoła w tygodniu w ramach zajęć lekcyjnych organizuje nam wyjscia zbiorowe do różnych prac pomocniczych.

Przypominam sobie, że raz poszliśmy do muzeum Na Tamce leżącej na wyspie, ażeby pomóc w segregacji i układaniu eksponatów. Zajęcie to nawet nam się podobało! Zwłaszcza, że leżało tutaj w różnych skrzyniach mnóstwo starej i nowszej broni palnej! Chłopców zawsze pociąga broń!

Ukradliśmy jeden pistolet, był to bodajże amerykański Colt!

Wniosłem go pod bluzą z pomieszczenia i jak ustaliliśmy, że najlepszym schowkiem będzie skarpa pod mostkiem, toteż tam go schowałem!

Jednak po zakończeniu pracy, ustawiono nas czwórkami i nikomu z nas nie udało się go stamtąd zabrać! Może to i dobrze. Nie wiadomo, jakie konsekwencje mogłyby nas spotkać, jeżeli ktoś by nas sypnął na UB.

Chodziliśmy ze szkołą wielokrotnie do teatru. Jedna sztuka mi w pamięci zapadła. Było to o generale Sułkowskim adiutancie Polaku przy boku Napoleona. Świetnie grana i był to kawałek historii, którą zawsze lubiłem z przekazów ojcowskich. W szkole jest zawsze ciekawie, na zajęciach praktycznych uczymy się introligatorstwa. Bardzo ciekawe zajęcie. Każdy z nas przyniósł z domu książkę w miękkiej obwolucie i samodzielnie zszywa i oprawia w sztywną i ozdobną okładkę.

Ja oprawiłem sobie już trzy książki ażeby mieć pamiątkę na całe życie. Niestety gdzieś one zaginęły! Nigdy nie wiadomo, jaki zawód może się człowiekowi przydać?

Pewnego dnia ucieszyła nas wiadomość, że szykuje się wycieczka zbiorowa do Karpacza i Jeleniej Góry. Zbiórka pod szkoła na Chrobrego. Następnie ładujemy się wszyscy do obu wagonów tramwaju nr. Siedem i obok pedetu dojeżdżamy do ulicy Swierczewskiego. Dalej cała banda z naszymi nauczycielami idziemy pieszo w kierunku Dworca Głównego. Już po chwili widzimy olbrzymi malunek reklamowy przed kinem Śląsk. Tytuł „Płomień Nowego Orleanu i piękny portret „Rity Haywort”. Trzeba przyznać temu artyście, duży talent.

Pociągiem dojechaliśmy w dobrych wesołych nastrojach do Jeleniej Góry. Po drodze widać było piękne widoki. Pierwszy raz widzimy górę Ślęże zwana Sobótka. Ciekawie jest ta góra usytuowana, bo wkoło równina, aż tu nagle wyrasta taka góra. Mamy w programie następnej Wycieczki zwiedzenie tej starostwianńskiej siedziby/ Mijamy Wałbrzyskie zagłębienie węgla koksującego, uprzednio zatrzymał się nasz pociąg na stacji Świdnica. Jest to dość duże ładne miasteczko w odległości około 50 kilometrów od Wrocławia / w przyszłości będę tu dość często przyjeżdżał moją Jawą 350 do Edka Sypniewskiego/ Wałbrzych jest usytuowany/ na pagórkach. Ładnie wyglądają domy przyklejone do zbocza. Jedne są w górze drugie w samym dole. Duże miasto!

Dojechaliśmy do Jeleniej Góry, pociąg wspinał się dość mozolnie. Miasto ma dużo zieleni, ale zimą pewnie źle chodzić po takich nierównych ulicach. Ci, co tutaj mieszkają pewnie się przyzwyczaili a kontentują się pięknymi widokami i czystym powietrzem!

W mieście kursuje tramwaj! Pojedziemy nim do Cieplic.. Jest to miejscowość zdrojowa.

Ale największą atrakcją będzie zwiedzanie zamku na wysokiej górze Chojnika¹

Zmęczeni jesteśmy okrutnie po wejściu na górę! Przewodnik opowiada nam jakąś historie tragicznej miłości i straszną przepaść gdzie ponoć rzucono dziewczę niewierne! Zwiedzanie zamku zajmuje nam prawie godzinę. Słońce już na zachodzie, każdy dojada resztki z prowiantu, który zabrał z domu. Najgorzej, że picia nie ma i kasy też. A pro po kasy to pamiętam, że dość często na wycieczkach nie stać mnie było na kupno różnych frykasów na Które obecnie młodzież nie wiem skąd ma pieniądze? Byłem często głodny i spragniony, ale do nikogo nie miałem pretensji o to, że mnie nie stać, tak jak innych!1

Zmęczeni, już pod wieczór dojechaliśmy do Karpacza. Zjeżdżaliśmy z góry podziwiając małe domeczki, wyglądające jak klocki poukładane wewnątrz miski. Przy bliższej perspektywie domki sprawiały wrażenie domeczków z bajki, a właściwie z piernika. Rozlokowano nas w pokojach czteroosobowych. Łazienki znaleźliśmy na korytarzu. Kazano nam zejść na kolację. Po tym zezwolono na indywidualne wyjście na miasto z zastrzeżeniem ażeby nie oddalać się zbyt daleko od naszej kwatery. Na drugi dzień wracaliśmy pociągiem. Szkoda, że tak mało czasu nam dano na poznanie tej okolicy. Zawsze kochałem góry, chociaż te są trochę inne, aniżeli w Zakopanym!

Dzisiaj popołudniu zrywamy owoce na naszej działce. Przychodzimy tutaj prawie codziennie. Nasi goście pomagają przy zbiorach. Odwiedzamy kuzynkę Kazię Zatoń, która ma działkę po sąsiedzku. Zatonio wie mieszka na Sępa, Sarzyńskiego w starym budownictwie. Zostaliśmy zaproszeni na imieniny do nich. Będą również tańce. Pijemy wino domowej roboty. Mnie nie dają dużo, bo jeszcze nie mam 18 lat. Ale jest fajnie. Bawię się dobrze z ich młodą sąsiadką.

Wrocławianie w przeciwieństwie do poznaniaków prowadzili domy otwarte. Szczególnie gościnni byli Lwowiacy. A ich mieszkała większość.

Dlatego też chodziło się w wolnych chwilach do takich domów. Bywałem u państwa Jerzaków, ojca kolegi rodzina mieszkająca na ul. Mochackiego. Państwo Jerzakowie mieli jedną córkę Marysię, niezbyt piękną, ale inteligentną. Bywając u nich, lubiliśmy pograć sobie w karty, czy też pobawić się flirtem towarzyskim. Bo muszę tutaj wspomnieć, że często u nich zbierało się większe towarzystwo. Przychodzili do nich kuzynowie i kuzynka, bardzo ładna zresztą, wszyscy byli w naszym wieku.

Mama Marysi kobieta inteligentna brała udział w naszych dyskusjach, co nam wcale nie przeszkadzało. Czułem się u nich jak u siebie w domu. Wyczuwałem jednak, że trochę za tą jej uprzejmością kryło się jej przyzwolenie na zainteresowanie się jej córką.

Ja oczywiście zdawałem sobie sprawę, że Marysia się we mnie podkochiwała. Nie dawałem jej jednak chcąc być w zgodzie z własnym sumieniem żadnych odznak wzajemności. Nic do niej nie czułem oprócz przyjaźni!

U państwa Sypniewskich, naszych sąsiadów mieszkających pod nami bywałem wielokrotnie. Po prostu szło się do Edka. Dyskusje jak również wspólne gry i zabawy robiło się często, szczególnie, kiedy ich odwiedzały kuzynki.

Poznałem w ten sposób ich kuzyna Mariana i jego siostrę Olę z Ostrzeszowa. Przyjeżdżała też z Katowic ich kuzynka Krystyna z rodzicami, przysłała pani stomatolog, a nie doszła moja żona!

Bywałem często u Stachowiaków, Mariana i Julka ich ojciec również kolejarz! Przeważnie wszyscy z tych kolegów posiadali swoje pokoje, gdzie mogliśmy rozmawiać sobie na każdy temat bez udziału rodziców. Stałym gościem byłem też u Heńka Kliksa, gdzie mnie chętnie widywano. Bywałem u Franka Kumali mieszkającego nieco dalej, na ulicy Obornickiej przy cukrowni. Chodziliśmy do niego z Heńkiem żeby posłuchać gry na fortepianie. Franek grał dużo z nut i o wiele lepiej niż Heniek. Włoczyliśmy się razem po cukrowni, w której pracował ojciec Franka. Franiu jako okularnik był trochę nieśmiały, ale był przystojnym chłopcem i często sprawiał wrażenie zamyślnego. W cukrowni szukaliśmy melasy-brunatnej słodkiej cieczy! W naszych blokach odwiedzałem często kuzyna Mietka. Maryla jego żona lubiła posłuchać naszych rozmów rodzinnych. Do mnie koledzy również przychodzili, chociaż ja częściej bywałem u nich, może, dlatego że moja mama miała jeszcze stare przyzwyczajenia. Mianowicie takiego lustrowania już w drzwiach każdego odwiedzającego mnie delikwenta. Pytała czy wytarł buty, a potem niezbyt zachęcającym głosem, mówiła, „ że chyba Janusz jest w swoim pokoju”. Wiem, że takie traktowanie ich bez cienia uśmiechu, czy życzliwości zrażało ich!

Mamy już Czerwiec. Pięknie na dworze, pachną kasztany w parku. Za kilka dni kończę drugą klasę. Pewny jestem, że świadectwo otrzymam wspaniale i jak mimochodem wspomniała nasza "Kacha" jakieś nagrody rzeczowe.

Trochę się jednak napracowałem, ażeby zasłużyć na miano najlepszego ucznia!

Nie wiem jeszcze czy mi się udało? Czy profesor Kaca nie popsuł mi wyniku?

Mamy okrągłą datę, rok 1950, a ja w marcu skończyłem 17 lat.

Wiem już, że nie będę miał samych piątek i to nie przez profesora Kace. Ten w końcu dał mi pięć, chociaż zawsze twierdził, że on sam nie umie na pięć!

Świadectwo popsuka mi czwórka z rysunku zawodowego. Tak sknocilem ostatni rysunek, że nie było szansy.

Więc stopnie wyglądają tak:

Technologia – Bardzo dobry

Fizyka i maszynoznawstwo – Bardzo dobry

Rysunek techniczny – Dobry

Zag. Społ. Wychowawcze – Bardzo dobry

Matematyka – Bardzo dobry

Język Polski – Bardzo dobry

Historia – Bardzo dobry

Służba Polsce – Bardzo dobry

Sprawowanie – Bardzo dobry

Religia – Bardzo dobry

Język Niemiecki – Bardzo dobry

Otrzymałem promocję do klasy trzeciej!

Wrocław dnia 23 czerwca 1950 roku. Podpisy Dyrektor Rogowski. Opiekunka klasy

Baranowa. I na dole pieczęć okrągłą.

Na zakończenie roku odbyła się akademie przy udziale zaproszonych gości. Przedstawicielei Dyrekcji Kolei to znaczy ZNTK.I niektórych rodziców.

Można było przy okazji zaobserwować jak panoszy się ta klika warsztatowa aktywistów i lizusów towarzysza Świnki. A przepraszam zapomniałem, że zmienił sobie niedawno nazwisko na Świątkowski. Tak się składa że to towarzystwo nie ma uznania u profesorów ani u dyrektora Rogowskiego, pomimo głoszenia przez nich szczytnych komunistycznych haseł, bo są to na ogół głąby w nauce!

Ale jak się okaże później, kiedy będę kończył trzecią klasę, czyli za rok. Te czerwone świniopasy podstawią mi nogę i zrobią mi plamę w świadectwie!

Na akademii wyczytano najlepszych uczniów z wszystkich klas mechanicznych i elektrycznych.

Otrzymaliśmy książki z dedykacją profesorów i dyrektora. Kiedy mnie wyczytano?

I p. Baranowa powiedziała kilka słów o mnie, widziałem jak mój ojciec uronił łzę ze szczęścia i dumy. Warto się uczyć chociażby dla takich momentów, kiedy ojciec może być dumny z syna!

Po akademii idziemy w czwórkę kolegów na ul. Rostafinskiego na kwaterę Edka Pauli.

Staszek Car, Franek Macheta, Zbyszek Segin i Zdzichu Budzanowski. Planujemy przed ich wyjazdem do domu jeszcze trochę pogadać i zrobić małe bezalkoholowe pożegnanie.

W tamtych czasach nie było w modzie picie piwa czy innego alkoholu, jak to teraz robi młodzież! Papierosy niektórzy palili. Ja to świństwo rzuciłem i mam spokój, jestem przecież sportowcem klubu Kolejjarz!

Edek proponuje mi ażeby na niedziele przyjechać do niego, właściwie to do Ostrowa to zapozna mnie ze swoimi koleżankami. Często mi o nich opowiada. On zrobił się pierwszej klasy podrywaczem. Ja jestem jeszcze w stosunku do dziewczyn zbyt zasadniczy, wydaje mi się ciągle, że nie będę umiał tak paplać, jak one to lubią. Edek twierdzi, że trzeba im mówić Dużo komplementów!

Wakacje tego 1950 roku zapowiadały się dość ciekawie! Ojcu przyznano, to znaczy Rada Zakładowa, wczasy rodzinne wagonowe w Giżycku na Mazurach!

W tamtych latach było to całkowitą nowością wczasy rodzinne zakładowe. Ludzie nie nawykli do opuszczania swoich siedzib, niechętnie gdzieś wyjeżdżali i to jeszcze w nieznanie. Dlatego na ogół nie było chętnych!

Ja mogłem również pojechać z nimi, ponieważ przysługiwało mi dwa tygodnie urlopu! Bardzo mnie ciekawiło jak tam będzie, wszak to Mazury. Pierwszy raz znajdę się w stolicy mazurskich jezior. Wodę uwielbiałem. Chociaż z pływaniem u mnie było kiepsko. Teresę również cieszyło ta możliwość codziennego przebywania w wodzie, na plaży! A może na żaglach?

Jechaliśmy dość długo. Przez Olsztyn. Bardzo zniszczony przez wojnę. Oglądaliśmy go tylko z okien naszego wagonu, bez możliwości wysiadania.

Już przed tym dość dużym miastem widać było piękne jeziora, czy to z prawej, czy to z lewej strony. Bujna zieleń, piękne lasy sosnowe i brzoźowe. Pogoda zapowiadała się wspaniale! Przypomniałem sobie książkę Wańkowicza „Na Tropach Smętka „. O Mazurach rodowitych mieszkańcach tych ziem i o okresie przedwojennym i o ich germanizacji.

Było chyba południe, kiedy nasz pociąg wtoczył się na stację. Wystawiłem głowę razem z ojcem. Przeczytałem tablicę Giżycko. Wokoło dość pusto. Dworzec niepokazny.

Ale za to z przeciwnej strony naszego pociągu ujrzałem odbłask tafli wodnej! Wydawało się być tak blisko. Chyba do jeziora można dojść w dwie minuty po wyjściu z pociągu.

Z Teresą i rodzicami wysiedliśmy na peron i kiedy nasz pociąg odjechał wskazano nam na bocznicę kilka towarowych wagonów.

Przed każdym były schody z desek, tak że dość łatwo wchodziło się i wychodziło.

Otrzymaliśmy klucze do olbrzymiej kłódki od jednego pana, który pełnił tutaj funkcję kierownika. Wtaszczyliśmy dwie nasze walizy do środka. Nie rozglądając się dużo po wnętrzu. Wybiegliśmy, czym prędzej do jeziora.

Przed moimi oczami roztacza się olbrzymia tafła wody, niczym morze! Tak nota bene morza jeszcze nie widziałem!

To, co widzę, to aż po horyzont, po kres woda. Spokojniutka, leciutka fala marszczy tafle. Białe ja duże ptaki, żaglówki w oddali. To zjawisko to jezioro Mamry! ✓

Dla dokładności powiem, że te wody mają w sobie jezioro Dargin, Kisajno i Dobskie, a dla pełnego obrazu tego pojezierza mazurskiego, to dodam, że z przeciwnej strony miasta, mamy jeszcze jezioro Niegocin.

Podchodzimy z Teresą do niedużej piaszczystej plaży i zanurzamy ręce w wodzie jeziora. Jest ciepła chociaż to już wieczór prawie Słońce jest już dość nisko, ale do wody, ażeby się zagłębić w nią upłyną jeszcze dwie godziny.

Wracamy z żalem, bo obiecaliśmy, że zaraz wrócimy ażeby się rozpakować. Pora kolacji zresztą już nadeszła. W wagonie stoją żelazne łóżka, chyba sześć. Na nich sienniki i koce w poszewkach. Przy łóżkach stoliki dość prymitywne, stół i szafa, aha jeszcze zasłona przedzielająca wagon na połowę. Wewnątrz panował półmrok. Małe okienka jak to bywa w wagonach towarowych nie dają dużo światła. Mama nie była zadowolona z tego komfortu! Ale nam to było obojętne. Szybko zaakceptowaliśmy te warunki, ojciec również.

Powiedział tylko: - nie przyjechaliśmy tutaj żeby przesiadywać w ciemnym wagonie! Będziemy raczej na łonie natury i będziemy moczyć się w wodzie!

Stółkę mieliśmy po przejściu torów, zaraz przy budynku stacyjnym. Była to parterowa świetlica. Wewnątrz czysto. Na stołach ceratowe obrusy. Usiedliśmy przy stoliku czteroosobowym blisko okienka skąd młode kelnerki na tacach roznosiły dania.

Nagle ujrzałem jak do naszego stolika zbliża się piękna dziewczyna. Czarnulka oczy duże też czarne. W białym fartuszkowi wyglądała wprost ślicznie. Z wrażenia aż mnie zatkało siedziałem jak zahipnotyzowany tylko gapiłem się na nią, gdzie tylko się ruszyła.,

Dopiero po dwóch dniach , na stołówce przy śniadaniu ujrzałem ją znowu. Czarne jak heban włosy splecione w gruby warkocz i ogromne ciemne oczy. W białym fartuszkowi wyglądała niczym śliczny ptak!

Zapałałem czystą platoniczną miłością do niej , której nie można było wyrazić prostymi słowami. Była to jakaś mieszanina, tęsknoty, wyobraźni i nienasycenia oczu jej obrazem. I znowu nie zdobyłem się na odrobinę odwagi ażeby zagadać do niej, czy się umówić na spotkanie.

Wyszliśmy ze stołówki, ja jak to ciele razem z rodzicami Obiecywałem sobie w myśli, że już następnym razem to na pewno odezwę się do niej.

Lubię przyglądać się jak starsi ode mnie, pewnie już studencka młodzież przygotowuje jachty do wypłynięcia na szerokie wody.

Wiem, że musi być lekki wiatr nadymający wielkie żagle żeby płynąć. Dzień bezwietrzny, czyli flauta to dzień stracony dla żeglarzy!

Od moich nowych znajomych posiadaczy pięknej żaglówek kabinowej p.t.” Piękna ,, dowiedziałem się, że jutro będą płynęli do Szymontu Małego, a może nawet do Węgorzewa. Jeżeli załatwię sobie zgodę rodziców to mogę popłynąć z nimi, zwłaszcza, że w tym samym dniu wracają!

Taka ogromna radość mnie ogarnęła, bo nie będę ukrywał, że żeglarstwo mi się bardzo podobało. Pobiegłem do ojca z nowiną! Ale wcale sprawa nie była taka łatwa do załatwienia. Moi rodzice przewidywali od razu burzę morską, zatonięcie i tym podobne kataklizmy. Ja nie ustępowałem , aż ojciec udał się ze mną do tych żeglarzy, którzy definitywnie rozwiali jego obawy.

Spałem czujnie żeby nie przegapić pierwszych promieni wschodzącego słońca. Tak się umówiliśmy skoro świt- wypływamy w dal!

Co to za ogromna przyjemność płynąć pod białymi żaglami obserwując wschodzące słońce, rozjaśniające otaczający nas świat?

* * *

Szum wody z tyłu za sterem, lekko pochylony jacht, napięty jak struna nabrzmiała łopotem żagla pruje do przodu, ale nie wprost tylko zakosami. Taka jest zasada płynięcia z bocznym wiatrem. Kazano mi na wszelki wypadek przywiązać się liną do jakiegoś uchwytu.

Wakacje to jest piękna sprawa!

Po powrocie z tej wycieczki prześladowało mnie już myśl, że muszę zbudować w przyszłości jacht, a w ostateczności kajak.

W tym pierwszym tygodniu wakacji pojechaliśmy na wycieczkę do miejscowości Kętrzyn, położonej około 30 kilometrów od Giżycka .

Każdy był ciekawy jak wyglądała podziemna główna kwatera Hitlera. To stąd wydawał rozkazy mordowania setek bezbronnych cywilów całej Europy. To tutaj dokonano na niego zamachu, oczywiście nieudanego. Szatan nad nim czuwał, bo przeżył i okrutnie się zemścił na oficerach i własnym narodzie!

Podziemia skrywały potężny obszar, małe miasteczko, z torami kolejowymi stacjami rozładunkowymi. Kilka kondygnacji bunkrów z wentylacją, elektrycznością, wodą i. T. p. sprawami.

Cały tydzień już upłynął a ja nie mogłem się zdobyć na to, ażeby umówić się z Henią na spotkanie. Paraliżowała mnie ciągle wyobraźnia i myśl, o czym będę z nią rozmawiał i co mam jej zaproponować?

Gapiliśmy się tylko na siebie w czasie, kiedy roznosiła posiłki. Zerkała również często w moją stronę dając mi pewnie znać że miałbym u niej szansę!

Na imię ma Henia! Nareszcie wiem, dla kogo bije moje serce? Powiedziała mi przed obiadem, kiedy nakrywała do stołu i jeszcze nikogo nie było na stołówce! Znałem jej imię już wcześniej, kiedy koleżanka ją zawołała, ale nie miałem pewności? Mój plan się udał! Postanowiłem, że dzisiaj albo nigdy. Że wyprzedzę o kilka minut naszych wczasowiczów, udam się w kierunku kuchni! Tak też zrobiłem! Opuściłem nasz towarowy wagon i biegiem udałem się w wiadome miejsce? Drzwi do jadalni były już otwarte? Wszedłem i zauważyłem ją od razu!Powiedziałem dzień dobry!- Usiadłem przy naszym stoliku. Zdałem sobie sprawę ze swojej głupoty? – Przecież już rano byłem na śniadaniu i też tak powiedziałem! Ale –niech tam nigdy grzeczności nie jest za dużo?? Podeszła rytmicznym krokiem do naszego stolika i z uśmiechem pierwsza odezwała się do mnie, stawiając talerze na obrusie:--Czy już taki głodny jesteś, że wyprzedziłeś Wszystkich? --- Nie!—Bąknąłem. Ale szybko dodałem – chciałem ciebie zobaczyć i zapytać o twoje imię? Uśmiechnęła się i spojrzała na mnie tymi czarnymi latarniami Tak jakoś słodko?. Na imię mi – Henia! A mnie Janusz!- Odpowiedziałem. I po chwili zapytałem – czy możemy się spotkać po obiedzie?? -Po sprzątaniu talerzy mam wolne aż do kolacji- odparła! Wyjdę na drogę w kierunku jeziora! Ludzie zaczęli się schodzić na obiad. Nie mogłem już dłużej jej zatrzymać! Uśmiechnięty, cały w skowronkach patrzyłem jak rodzice i Teresa zasiadali do stołu Nie uszło to uwagi Teresy? Toteż zaraz mnie zapytała:- pewnie umówiłeś się z tą kelnerką? – Nie musiałem odpowiadać, tylko skinąłem głową.

Obiad smakował mi wyśmienicie, ale nie wiem, co jadłem, bo wzrok mój wędrował ciągle za Henią. Ona trochę była tym speszona, ale chyba mniej to przeżywała niż ja?

Te pierwsze lata po okupacji były z jednej strony radosne i szczęśliwe- a to z powodu, że żyjemy wszyscy. Ze mam, matkę, ojca, Teresę, że nikt nie zginął w tych ostatnich dniach wojny. Że mieszkamy we Wrocławiu. Wprawdzie bardzo zburzonym? Ale niekojarzącym mi się z okupacją niemiecką w Poznaniu i z niedobrymi Polakami, przez których żyłem wtedy w strachu i byłem wydany Niemcom?

Jedzenie było skromne, na stołówce również! Ale nikt po latach głodowania nie narzekał! - Mięso jedliśmy tylko dwa razy w tygodniu, ale jarzyny były wszelkie. Kto zresztą w tym wieku przywiązuje wagę do tego, co je? Aby tylko brzuch zapchać i cieszyć się życiem? Takiej pokory nauczyły nas tamte czasy?- Mam tu na myśli młodzież!

Nie spieszyłem się z jedzeniem nawet, kiedy rodzice już wyszli! – Patrzyłem na Henie jak sprawnie porusza się na tej niedużej stołówce. Wszystkie dziewczyny miały na sobie białe fartuszki i na głowie też białe opaski z koronki.

Dowiedziałem się później, że one są ze szkoły gastronomicznej i odbywają na naszym turnusie praktykę zawodową!

Wybiegłem wreszcie i ruszyłem przez tory do naszych wagonów..Wewnątrz nie było zbyt jasno! Małe okienka nie przepuszczały go. Chociaż słońce cały dzień dawało ciepłko i nagrzewało dachy naszego lokum.

Wewnątrz przegrody imitowały pokoje. Ja miałem swój na końcu. Stały tam prycze z siennikiem do spania. Były dwie. Chyba, dlatego że niektórzy mieli większe rodziny? Chciałem coś ładnego ubrać na spotkanie? Ale ładnych rzeczy też nie mieliśmy? Szczytem elegancji dla mnie wtedy było?; Mieć bluzę wojskową w kolorze khaki, jaką nosili alianccy żołnierze.

Szliśmy drogą ocienioną dużymi drzewami. Było ciepło. Ptaki śpiewały gdzieś w gałęziach Nad głowami. Byłem zdenerwowany i zauroczony jej czarnymi oczami.
Włosy miała również czarne jak drzewo hebanowe, gładko zaczesane i zaplecione w gruby warkocz.. Zacząłem jej opowiadać o sobie i moim Wrocławiu.
Szliśmy tak wzdłuż jeziora. Trochę skrzepowani, ale naszą uwagę też zajmowało obserwowanie żagli na wodzie! Wyglądały przy wypełnionych wiatrem żaglach jak ptaki hasające po niebie! Nie miałem odwagi ażeby ją uchwycić za rękę.
Dowiedziałem się, że chodzi do szkoły gastronomicznej i że pochodzi z Giżycka, ale nie urodziła się tutaj! Jej rodzice osiedlili się tutaj po wojnie. Przyjechali gdzieś ze wschodu. Byłem wpatrzony w jej twarzyczkę, ale zauważyłem też, że miała zgrabną figurkę. Cera przypominała brązową brzoskwinie. Przebywanie w takim słonecznym miejscu, pewnie już od kilku tygodni spowodowało to, że ja przy jej opaleniznie byłem raczej bladą twarzą. Chyba podobałem się jej! Śmiała się często z moich nieudolnych dowcipów. Starłem się nie być ponurakiem i zanudzać ją zbyt męskimi sprawami.
Tak chodziliśmy może dwie godziny. A może więcej. Czas nam szybko mijał. Słońce zmierzało ku zachodowi. Postanowiliśmy wracać!
W następnych dniach spotkaliśmy się jeszcze kilka razy! Czuję, że coraz bardziej się w Heni zakochuje i będzie mi trudno się z nią rozstać?
Koniec turnusu już jutro! Przemyślałem jak to zrobić ażeby tutaj wkrótce ponownie przyjechać. Miałem przecież niższą koleją, zarabiałem pieniądze. To na pewno przyjadę do niej! W drodze powrotnej wpatrywałem się ukradkiem w jej zdjęcie!
Rodzice Teresa nie zwracali na mnie uwagi i całe szczęście! W sercu miałem rozpacz!

*

Wrocław po powrocie wydawał mi się jakiś inny. Bardziej widoczne były wysiłki oczyszczania miasta z gruzów. Zauważało się więcej placów i pustych miejsc po domach Rozebranych aż do fundamentów. Skończyło się wolne na warsztatach. Niestety byliśmy już pracownikami i nie przysługiwał nam urlop zbyt długi!
Pracuje obecnie na rewolwerówce na wydziale TC na akord! Toczę i gwintuję jakieś nakrętki. Potrzebne do remontu parowozów, ale nie wiem gdzie one się montuje.
Praca monotonna i trzeba wyrobić normę? Bardzo dużo sztuk w ciągu godziny!
W szkole zaczęliśmy nowy rok nauki już trzeci! Z okna mojej klasy patrzę na park przed szkołą. Leży on pomiędzy Trzebnicką, Paulińską, Henryka Brodatego a naszą ulicą Chrobrego. Widać ludzi spacerujących. Ławeczki, na których których my siadamy w czasie przerwy oraz bujną zielenią krzewów ozdobnych.
Mamy lekcję z panem Kruczkowskim. Zainteresował się on naszymi rysunkami w zeszytach. Moimi i Zbyszka Segina. Nasza nauczycielki już wcześniej zwróciły uwagę na nasze rysowanie i mawiały, że powinniśmy chodzić do szkoły plastycznej a nie do metalowej. Prawdą jest że Zbyszek rysował ładniej niż ja. Świetnie wychodziły jemu karykatury naszych wychowawców. Pan Kruczkowski był również nauczycielem w liceum sztuk plastycznych i po obejrzeniu naszych prac powiedział, że chciałby nas widzieć w tamtej szkole. To liceum mieściło się przy ulicy Łokietka przed mostem uniwersyteckim naprzeciw ul. Cybulskiego. Znaliśmy ten pałacyk z czerwonej cegły, ponieważ wielokrotnie tak chodziliśmy przechodząc przez most uniwersytecki w kierunku rynku czy też na plac Solny!

Opowiedziałem Edkowi i Staszce o mojej wielkiej platonicznej miłości do Heni

Rusieckiej i moich przeżyciach w Giżycku. Odebrali to trochę z uśmiechem, kiedy im powiedziałem, że mamy przecież bilety PKP i mam zamiar do niej pojechać?

Edek powiedział – jedź lepiej zemną do Warszawy, do ciotki. Wiedziałem, że pochodził z tego miasta i chce zobaczyć co pozostało po powstaniu? Jego rodzice mieszkali obecnie koło Odolanowa pow. Ostrowski.

Nie zdecydowałem się od razu, bo jeszcze w sercu miałem obraz mojej czarnulki! Po tygodniu postanowiliśmy, że wyjedziemy w piątek wieczorem do Warszawy a wrócimy w nocy z niedzieli na poniedziałek. Połączenia sprawdziliśmy i tak zrobiliśmy!

Wczesnie rano pociąg wtoczył się na małą stacyjkę chyba to była Warszawa Gdańska /Byłem zdziwiony, że Stolica ma tak mało okazałą stację? Nie wiedziałem jeszcze, jakie morze gruzu zobaczymy za chwilę i że wszystkie stacje są zburzone! Rozespani wyszliśmy na peron. Edek powiedział, że pieszo musimy pójść na tą dzielnicę willową i że ciotki dom jest, nienaruszony jak i sąsiednie domy. Poprowadzili mnie ulicą chyba Marszałkowską gdzie domy posiadały tylko partery i mieściły się tam sklepy. Dziwnie to wyglądało, jak okiem sięgnąć, brak wysokich budynków a tutaj sklep Koło sklepu! Były to przeważnie sklepy z odzieżą i butami. Mówiło się wtedy że to prywatna wytwórczość. Wchodziły już w modę samodziały w kratę. Czyli, materiały, z których szyto marynarki, czapki itp.

Sklepy obuwnicze sprzedawały buty tylko robione przez szewców. Musze dodać, że to wszystko było bardzo drogie a szczególnie na nasze zarobki

Szliśmy tak może z półtorej godziny zanim ukazały się nam domki dzielnicy willowej i to po tym pustkowiu dużego miasta było aż dziwne, że tyle wilek jest całych?

Ciotka Edka ucieszyła się i jednocześnie była zaskoczona, że. Takie młokosy przyjechały aż z Wrocławia¹ Rozmawiali o swoich sprawach rodzinnych i o tym kto przeżył te lata okupacji i gdzie teraz mieszka. Ja wyszedłem na zewnątrz ażeby ich nie krępować. Wiedziałem od Edka, że jego ojciec był granatowym policjantem i dlatego wyjechali z Warszawy. Nie rozumiałem wtedy jeszcze tych zaszłości historycznych!

Po obiedzie udaliśmy się na plac Trzech Krzyży obejrzelśmy kościół niezniszczony i inne obiekty uszkodzone przez powstanie i spalone przez Niemców. Edek znał wszystkie nazwy, ale one mnie poznaniakowi nic nie mówiły Łaziliśmy aż do wieczora czuło się atmosferę cmentarzyska, ale zapach był jakiś inny niżeli zniszczonego Wrocławia. Pamiętam to wielkie rozczarowanie, kiedy wszystko prawie leżało w gruzach a spodziewałem się że nasza stolica będzie bardziej okazała. To Wrocław na pewno nie był aż tak zrównany z ziemią?

*

Za te osiem tysięcy złotych, które zarabialiśmy na trzecim roku można było już kupić sobie, jaki

Ciuch, ale nie samodziałowy! Ja jeszcze część pieniędzy oddawałem rodzicom na nasze utrzymanie i wyżywienie.

W szkole mam nadal fory! Często się zgłaszam do odpowiedzi. Ale mnie już nie pytają nauczyciele. Jest pewne że zawsze znam odpowiedź, chociaż ja nie zawsze jestem tego pewien? Wiem, że nauczycielka zapyta, tych co się dekują. Słyszę często – to Macheta odpowie na to pytanie?- Macheta siedzi z tyłu w ostatniej ławce i nie bardzo wie, o co chodzi- bo jego zawsze trzymają się kawały albo opowiada je innym. Wesoły kolega!.

Cały sekret naszej wiedzy to znaczy Edka i Staszka i mojej, to odczytanie!

¹ Sc

Kolejarze z naszych bloków organizują zabawę dla wszystkich w szkole podstawowej nr. 20 przy ul. Kamińskiego/ czyli w mojej dawnej budzie.. Ma być bufet, strzelnica wiatrówkowa i inne niespodzianki. Matka i ojciec wybierają się to i my również z Teresą. Muszę się przyznać, że chociaż w szkole podstawowej uczono nas tańców to nie mam jeszcze takiej wprawy. Uczono zresztą mazura, poloneza i oberka. Na deskach w ścisłości to człowiek tam jakoś drecze!! Ale chciałbym się nauczyć walca i walca angielskiego. Matka obiecała, że mnie poduczy. Przyszło dużo starszych i młodzieży nie brakowało. Grała orkiestra kolejarska. Była dość głośna, bo przeważnie to były instrumenty dęte. Ludzie z naszych bloków znali się. Nie od czuwało się skrępowania, a wręcz przeciwnie wszyscy byli dla siebie mili i chętnie ze sobą rozmawiali. Ojciec cieszył się dużym szacunkiem i otrzymywał wiele tego przykładów. Byli tutaj również nasi krewni. Mieczek z Marylą, Wacek z Kazią, państwo Talmowie, Sobczyki z córkami, Stachowiaki z Julkiem i Marianem, Wencle z córką i synem, Jerzaki z córką itd. Ludzie ci przyjechali z różnych stron polski i tutaj założyli swoje nowe domy tworzyli nowe przyjazne sobie społeczeństwo. Bardzo dobrze się czułem w takiej grupie, zapomniałem o przejściach wojennych o podłości ludzi zniewolonych przez okupanta. Wujek Włodek brat mamy bawił też u nas, przyjechał z Poznania. Prawie większość czasu spędził na strzelnicy. Tutaj okazało się, jakim dobrym strzelcem był, jakie celne oko miał. Wygrał wszystkie główne nagrody! Ja obtańcowywałem nasze sąsiadki młode i starsze. Ale najczęściej tańczyłem z mamą i Teresą. Mama starała się mnie nauczyć właściwych kroków. W pamięci miałem już zapowiedzianą studniówkę, którą będziemy mieli w szkole na Chrobrego. Jak już pewnie wspominałem trochę inne imprezy w blokach odbywały się z okazji Święta Kolejarskiego? Wtedy przychodziło jeszcze więcej ludzi na to duże podwórze pomiędzy blokami i trwało to do Późnego wieczora. Bardzo to lubiliśmy, to nas łączyło. Zdarzały się też zatargi pomiędzy nami chłopakami, Nawet nastąpił podział na tych mądrzejszych na tych nieuków. TA przepaść rosła pomiędzy nami im dalej szliśmy w naukę. Ci, którzy odpadali stawali się nieraz dla nas uczących się bardziej agresywni. Oni już żyli pracą fizyczną. Wiedza ich nie interesowała! Ale pomimo wszystko łączyła nas przynależność kolejarska i jednakowość naszych początków na tym dzikim zachodzie.

*

Edek, Sypniewski mój druh z mojej bramy/jak się to Mówiło/ jest w Ostrzeszowie. Chodzi do Liceum Salezianów. Heniek Kliks Chodzi do Liceum w mieście. Jego kolega Franek Kumala też tam chodzi! Nieraz jest mi głupio że ja nie chodzę do ogólniaka? Jak sobie przypominę jednak jakie świadectwo miałem na koniec siódmej klasy, to nie mogę do nikogo mieć pretensji a tym bardziej do ojca? Mój ojciec bardzo dużo wysiłku wkładał żebym podciągnął swoje wiedze. Korepetycje mi załatwiał! Niestety byłem wtedy głupi i pierwszy raz platonicznie zakochany! W ostatnich dwóch latach mocno się wzięłem za naukę, Jak już wspominałem dzięki mojej wychowawczyni pani Baranowej. Osiągnęłam już taki poziom wiedzy i obycia towarzyskiego że nie odstawałem od Heńka, czy Franka. Czułem się jak równy z równymi. Zazdrościłem im tylko umiejętności gry na pianinie! Heniek miał w domu instrument i fajnych rodziców ale jego umiejętności nie dorównywały Frankowi Kumali! Zawsze byłem pełen podziwu kiedy potrafił z nut zagrać każdy kawałek. A wydawano już wtedy nuty ładnych przebojów.

W Grudniu 1950 roku odbył się pierwszy po wojnie spis powszechny ludności!
Okazało się, że jest nas dwadzieścia pięć milionów z małym haczykiem! Kilka milionów zginęło przez wojnę!
Dostaliśmy telegram z Poznania! Spodziewaliśmy się tego, ale jednak było to dla mnie też dużym szokiem?
Zmarła babcia Józefa W Poznaniu. Wiem, że chorowała od dość długiego czasu?
Kochałem ją i wiele mnie nauczyła? Ta szlachcianka była inna, aniżeli moja babcia Zofia z Oborzysk Starych! Wiem że obie mnie kochały i pokładały we mnie duże nadzieje? Zimno było w tym dniu. Szliśmy dużym pochodem przez cmentarz Junikowski. Byłem ubrany tylko w wiatrówkę i spodnie z kolejowego materiału, oczywiście miałem sweter pod spodem, ale przez długie stanie mocno przemarzłem. Poza całą rodziną Franciszczaków. Wujka Kazimierza z synami i żoną oraz wujka Władka z żoną Heleną i chyba synem Ryśkiem była Stefa i Zygmunt moi kuzynowie sieroty po ciotce Róży córce babci i z nami była ich siostra Teresa, która mieszkała z nami we Wrocławiu. W tym 43 roku, kiedy umarła ich matka ojciec wziął do nas małą Teresę a babcia jeszcze młodszego Zygmunta a Starsza ode mnie Strefę. Bacie pochowaliśmy w ładnej kwaterze przy powstańcach wielkopolskich. Po lewej stronie głównego wejścia!
Radości wielkiej na stypie nie było. Trzeba było rozstrzygnąć, co będzie z sierotami?
Stefa ukończyła już osiemnaście lat. To znaczy miała chyba 19 iście i mogła sama prowadzić gospodarstwo w mieszkaniu po babci ponadto miała już narzeczonego Zygmunta milicjanta. Problem był tylko, kto weźmie Zygmunta? Uradzono jednak! To znaczy mój ojciec zobowiązał się zaopiekować nim i zabrać go do Wrocławia!
Teresa ucieszyła się, że będzie miała brata blisko! Ja też byłem zadowolony z tego, że będę miał kogoś młodszego, kogo będę mógł czegoś uczyć? Zawsze siedziała we mnie dusza nauczyciela!
Zygmunt miał wtedy chyba 14 lat!
Po Powrocie do domu i rozlokowaniu się z Zygmuntem w moim pokoju zaczął się dla mnie okres intensywnej nauki. Wszak to trzecia klasa i mała matura!
W tym czasie ukazywało się pismo pod tytułem "Młody Technik". W klasie wszyscy trzej to znaczy Edek, Staszek i ja, kiedy poznaliśmy tajniki rysunku technicznego znaleźliśmy dla siebie fascynujące zajęcia/ Na przerwach, nawet na lekcjach konstruowaliśmy różne rozwiązania techniczne. Przeważnie na zadany sobie temat/ Np. Projektowaliśmy różnego typu pistolety! Ja zaprojektowałem pistolet w wiecznym piórze! Były to różne pomysły też z życia codziennego! "Młody Technik" podsuwał nam też ciekawe konstrukcje? Ja już wtedy lubiłem majsterkować wycinać wypilowywać, montować różne urządzenia. Pamiętam że zbudowałem mikrofon węglowy chociaż jeszcze wtedy nie znałem radiotechniki!

Na święta Bożego Narodzenia przyjechali goście do Sypniewskich. Przyjechała z Katowic z rodzicami ich kuzynka Krysia. U nich było zawsze bardzo sympatycznie i muzycznie! Tylko Edek i Marian nie tykali żadnego instrumentu. Ale Bogdan najstarszy 1931 rocznik grał na pianinie i na akordeonie.
Spiewaliśmy kolędy przy akompaniamencie na fortepianie. A zaraz po świątach zrobiliśmy sobie różne zabawy. Gra we flirt itp. W późniejszych okresach z okazji przyjazdu ich kuzynek robiliśmy sobie prywatki a i u nas piętro wyżej szczególnie kiedy rodzice wyjeżdżali robiliśmy fajne prywatki z dziewczynami!
W styczniu napadało dużo śniegu! Chodzimy na wały Odrzańskie. Skaczemy na naszych drewnianych nartach. Nie wychodzi nam to jednak pomimo że górki nie są zbyt wielkie! Buty narciarskie gdzieś zdobył mój ojciec! Jestem dumny z nich!

Jeździmy na łyżwach na stawie państwa Sypniewskich albo nieraz idziemy inny staw. Na odległość trochę za daleko, chociaż lód jest dość gruby! Chodzimy całą paczką, Heniek Kliks, Julek Stachowiak, Czechu Szrodkę i Sypniewscy. A inni chłopcy z bloków dołączają nieraz do nas! Mój pies też mi towarzyszy. Teresa i Zygmunt mają trochę młodsze towarzystwo! W domu palimy w piecach kaflowych! Muszę przynieść węgiel z piwnicy! Trochę mnie to denerwuje? Zwalam na Zygmunta ten obowiązek! Ale ojciec mówi, że jest za mały i go oszczędza! Mamy trzy pokoje to trochę tych wiaderków muszę wnosić? Ale jest przyjemnie, kiedy siedzimy w jadalni. Wszyscy przy odbiorniku radiowym. Nieraz wszyscy siedzimy w kuchni, bo ojciec coś majsterkuje w drewnie i fornirze! Robi piękne inkrustowane skrzynki na przybory do szycia albo tace do filiżanek!

Po lekcjach na Chrobrego idziemy w kilku do Domu Towarowego przy Rynku. Warto zobaczyć, jakie artykuły są już w sprzedaży. Ja noszę chętnie koszule flanelowe a latem krótkie spodnie. Są ubrania z tzw. pokrzywy, bo się gniotą tak mówimy na nie! Kupiłem sobie w jodelkę, ale jest za jasne i nadaje się na każdą okazję?

Zetempowcy ścigają tzw. Bikiniarzy? Tych z fryzurami Ala bażant? Widziałem jak trzech takich aktywistów złapało jednego w sklepie i go maszynką ostrzygli na glacie!

My chodzimy w czapkach koloru brązowego, które mówią o naszej przynależności do branży metalowej! Szkoły elektryczne mają chyba otok zielony?

Byliśmy w kinie na świetnym filmie o Tarzanie z Jonem Weismilerem słynnym kraulistą. Chodzimy też chętnie na Stary Rynek do baru rybnego na wysokie stołki. Serwują tam świetne sałatki! Ulubionym miejscem kumpli ze szkolnej ławy jest też basen kryty. Bywamy tam często chociażby dla świetnych łaźni!

Najwyższy czas przygotowań do studniówki w naszej szkole na ul. Chrobrego! Pani Baranowa powiedziała że na naszą studniówkę przyjdzie też jej córka! Uczyła nas przez lata dobrych manier i właściwego szacunku dla kobiet! To teraz się okaże jak nas odbierze uczennica ogólniaka? Wiadomo że tam jest poziom wyższy i przedmioty humanistyczne są w przewadze, ale niektórzy z was swoją pilnością i czytaniem nie są wcale gorsi? I tutaj popatrzyła znacząco na naszą trojkę! Podniosło to nas na duchu!

Kupiłem sobie u żydów na Wita Stwosza- Szkoty na grubej podeszwie. To były półbuty bardzo modne i na dodatek zamszowe!

Teraz już tylko czekać na bal w naszej szkole! Ponieważ nie było u nas dziewczyn to każdy miał sobie kogoś zaprosić! Nie było takie proste? Wielu z nas było przyjezdnych. I nie bardzo umiało sobie zorganizować te sprawy. W końcu na tym balu było nas niemało? Rodzice też poprzyjeżdżali szczególnie do tych, co mieszkali w internacie!

Nasza szkoła nie posiadała wielkiej Sali tylko świetlicę, ale poradzono sobie. Stoliki stały na korytarzu a tylko tańczyć chodziliśmy na salkę! Przygrywał zespół skrzypce i akordeon. Było to lepsze niż muzyka z gramofonu/?

Serce mi waliło jak młotem ale poprosiłem moją wychowawczynię do tańca! Bałem się, że pogubię kroki i będzie plama? Ale ona chyba dla dodania mi pewności wychwalała przed córką, jakim to jestem dobrym tancerzem! Nie wypadało mi nic innego jak teraz poprosić córkę? Czułem się już pewniej i w przeciwieństwie do mamy poddała mi się całkowicie! Mogłem ją prowadzić jak sam uważałem. Byłem jednak bardzo onieśmielony tą nową znajomością? Nie tak dawno byłem zakochany w Heni z Gizycka a teraz podobała mi się córka mojej nauczycielki! Tak widocznie już jest z tymi platonicznymi uniesieniami w tym wieku?

Bawiliśmy się świetnie! Edek najbardziej śmiały z naszej paczki bajerował ją na całego! Tylko on się nie zakochiwał tak jak my ze Staszkiem! Tańczyłem też z naszą fizyczką panią Chojnacką. Były też siostry kolegów!

Często myślę, co dalej? W którym kierunku pójść? Do jakiej szkoły! Ojciec już nie kieruje moim losem! Spełniłem jego program, co do mojej osoby. Zdobyłem zawód. Czegoś już się nauczyłem! Mam pracę na PKP! Wprawdzie stanie się to za miesiąc w czerwcu 1951 roku. Ale śmiało mogę powiedzieć, że nic już nie stanie mi na przeszkodzie. To już będzie za miesiąc! Niedawno w marcu skończyłem osiemnaście lat! Polubiłem naukę i byłem szczęśliwy przez ostatnie trzy lata nauki.

Ale gdy pomyślałem, że codziennie będę musiał chodzić i to na godz. Szóstą rano a na drugą zmianę na czternastą do tej brudnej mało płatnej pracy to zimny pot mnie oblewał! Nie! Muszę się dalej uczyć? Czasy były trudne, wyżywienie kiepskie! Mięso, rąbanka na kartki raz na miesiąc. Towary inne drogie ojciec i inni nie zarabiali dużo i ja już nie będę mógł dokładać do kasy wspólnej? A ojciec musi utrzymać mnie, Teresę, Zygmunta i mamę z jednej pensji! Nie zazdrościłem nikomu niczego! Tak mnie nauczono! Ale widziałem że niektórym powodziło się lepiej! Ojciec powiedział, że jeżeli chcę się na pewno uczyć to mam się tymi sprawami nie martwić! Byłem szczęśliwy moją młodością i tą przedłużoną wolnością! Za namową prof. Kruczkowskiego udaliśmy się ze Zbyszkiem Seginem do czteroletniego Liceum Plastycznego. Wspominałem już, że mieściło się przy moście uniwersyteckim. Przyjął nas dyrektor z tikiem nerwowym. Ciągłe mrugał oczyma. Trochę to nas deprimowało. Wysłuchał nas i wyraził zgodę na przyjęcie do klasy trzeciej. To wynikało z tego że do skończenia tej szkoły pozostałoby nam dwa lata i matura! Mnie to odpowiadało? Powiedział ile prac musimy złożyć, jakie przedmioty zdać np. historię sztuki i inne przedmioty. Zdawałem sobie sprawę, jaki ogrom pracę nas będzie czekał przez wakacje? Zbyszkowi to jednak nie odpowiadało! Naciskał dyrektora ażeby nas przyjął do klasy czwartej końcowej. Nie chciał się zgodzić pomimo naszych zapewnień, że zdołamy to wszystko przerobić! Dzisiaj wiem, jakie to głupie było z naszej strony ta młodzieńcza fantazja i fanfaronada. Wreszcie Zbyszek zrobił głupią uwagę na temat jego mrugania. To było już po dyskusji! Wynieśliśmy się jak niesforne psiaki!

Nadszedł wreszcie czerwiec! Koniec roku szkolnego i pożegnanie ze starą budą! Wielka uroczystość. Dyrektor Wichtowski zaprosił naczelników ZNAK, instruktorów i naszych rodziców na rozdanie nagród a przede wszystkim świadectw.

Otrzymałem Świadectwo Ukończenia Państwowej Szkoły Zawodowej nr. 5 we Wrocławiu z przedmiotów technicznych i języka polskiego otrzymałem bardzo dobry! A z zajęć Warsztatowych jez. Rosyjskiego i materiałoznawstwa - stopień dobry. Ale i tak miałem najlepsze świadectwo z całej klasy.

Otrzymałem również drugie Świadectwo kwalifikacyjne

Kwalifikacje zawodowe I stopnia w zawodzie ślusarskim

Wszyscy otrzymali podobne! Otrzymałem książki i dyplom uznania. Ze smutkiem żegnaliśmy się z naszymi nauczycielami. Kacha Baranowa wyściskała mnie z łezką w oku.

Ona wiedziała, że ja to jest jej dzieło, jej zasługa, i martwiła się, co dalej zrobić ze swoim życiem?

Wtedy już pięciu kolegów zemną złożyło papiery to znaczy ja tylko podanie o dopuszczenie do egzaminu do klasy czwartej Technikum Budowy Wagonów na ul. Poznańskiej.

Powiedziałem jej o tym! Ucieszyła się i powiedziała- Ale mam nadzieję że o mnie nie zapomnisz i będziesz mnie odwiedzał!?! Chciałabym wiedzieć jak sobie radzisz z nauką?

Naczelnik Krawczyński po rozmowie z ojcem wyraził zgodę na urlopowanie mnie z pracy na okres nauki. Było to dla mnie coś wspaniałego, ponieważ nie traciłem ciągłości pracy. Tylko nie dostawałem wynagrodzenia.

Egzaminy zostały wyznaczone. Jadąc ulicą Legnicka od Pl. 1 Maja mijamy Młodych Techników dojeżdżamy do Poznańskiej. Przy placu Strzegomskim/ bunkier/.

Przed nami budynek z czerwonej cegły przy ulicy. A za nim duże podwórko i drugi czerwony budynek. Tutaj odbywają się egzaminy!

Zaczęło się o 10 tej! Pytania na kartkach z Różnych przedmiotów! Trwało to trzy godziny!

Niektóre bardzo trudne, Matma i fizyka oraz język polski.

Na wyniki trzeba czekać do 16 tej? Z moim przyjacielem Edkiem Paulą i innymi kolegami poznajemy okolice. Jest to dziwne, bo wokół jest przestrzeń bez zabudowy, prawie pustkowie! To są te wyburzone przez Niemców dzielnice? Aż dziw bierze że budynki szkoły się ostały?

O 16 tej wywieszają listy, kto zdał i został przyjęty? Jesteśmy bardzo zaskoczeni? Na liście jest tylko moje nazwisko! O zgrozo niema Edka!

Udaliśmy się do sekretariatu ażeby się upewnić? Pani powiedziała, że osoby, których niema na liście mogą po wakacjach zdawać poprawkowo!

Nie chciałem się rozstawać z Edkiem, dlatego pocieszałem go! O ironio losu! Najmniej mi zależało ażeby się do tej szkoły dostać. Rozważałem przecież czy nie wybrać jakiś kierunek humanistyczny? Zawsze miałem ten dylemat? Pociągały mnie tak rozbieżne drogi życiowe!

Ale stało się! Jest w tym pewnie jakaś opatrność, która kierują mną w tym kierunku!

Mam dużo wolnego czasu! Całe wakacje przedemną. Z Jankiem Hausiem jeździmy na tereny wystawowe do Wesołego miasteczka. Jest tutaj wiele atrakcji tylko trzeba mieć dużo gotówki, Te nowe pieniądze sprawiają trudności w przyzwyczajeniu się do tych drobnych złotych metalowych. Dawniej za 100 złotych papierowych można było kupić bilet do kina i przejechać tramwajem dwa razy po 15 złotych.

Naprzeciw Hali Ludowej usadowił się cyrk! Z Edkiem Sypniewski, który już wrócił z Ostrzeszowa i jego kuzynem Marianem Różynskim wybraliśmy się do cyrku!

Kiedy orkiestra zaczęła grać te kawałki cyrkowe przypomniałem sobie nastroje z moich lat młodzieńczych z cyrku Sarassani w latach okupacji . !Szkoda że ten cyrk zatonął w morzu z całym statkiem zbombardowanym w trakcie wojny. Był to największy, jaki kiedykolwiek istniał! Słonie ,lwy pantery konie, pieski, setki akrobatów wszystko utonęło w morzu śródziemnym.

Lato zapowiadało się upalnie! Zaprzestałem w tym roku jeżdżenia na Niskie Łąki do mojego klubu sportowego Kolejacz gdzie uprawiałem w poprzednich sezonach lekkoatletykę i biegi na pięć kilometrów. Jeździłem też w tamtym okresie na mecze bokserskie naszych kolegów ze szkoły! Pisałem potem artykuły do naszej gazetki a raz nawet zamieszczono mój artykuł w prasie wojewódzkiej! Tak poprzekręcano nazwiska, że koledzy mieli do mnie pretensje! W mojej karierze sportowej była też szermierka! Zapisalem się do klubu "Ogniwo" na szpadę? Miejsca tam długo nie zagrzałem! Nie znalazłem tam ludzi przyjaznych, raczej zarozumiałych, aroganckich studencików!

Któregoś dnia spotkałem na ulicy Kamińskiego Zbyszka Tworkowskiego, kolegę jeszcze z szkoły podstawowej. W krótkiej rozmowie dowiedziałem się, co porabia? Najbardziej zaskoczyła mnie "glapa" w jego klapie. To jest oznaka szybownika! Opowiedział mi że skończył kurs szybowcowy i teraz zdobywa kolejne stopnie pilota szybowcowego!

Dowiedziałem się również, że za kilka dni na ulicy Swierczewskiego odbędzie się nabór nowych kandydatów. To mnie zbeletryzowało natychmiast! Od dzieciństwa marzyłem o lataniu? Umówiliśmy się na następne spotkanie. W dniu przyjęć kandydatów byłem już od rana w budynku gdzie odbywały się badania lekarskie? Nie czułem żadnej tremy byłem już po dwóch kursach udzielania pierwszej pomocy, które skończyłem w 50 roku. Miałem jakieś pojęcie o medycynie.

Paradowaliśmy w szlafrokach po różnych pokojach. Badano wzrok, słuch, rozróżnianie kolorów, orientacje odległościową i itp. Dwóch najważniejszych lekarzy to laryngolog i kardiolog. Nie mogło człowiekowi nic brakować? Około 50 chłopca chodziło nerwowo czekając na wynik! Zapytano, kto ma ładne pismo? Zgłosiłem się ażeby być bliżej wydawanych orzeczeń!

Cały dzień upłynął na tych badaniach! Chłopcy byli rozentuzjasmowani. Były tu różne typy muskularni, cherlaki wszyscy chcieli unosić się w przestworzach. Dużo się słyszało o szkołach szybowcowych w Żarach czy Kolo Leszna! Takim znanym jeszcze z przed wojny był pilot Jan Góra. To on teraz szkolił młodzież! Widziałem już siebie nad łąka polami Rzekami, kiedy siedzę sobie w bielutkim wysmukłym długo skrzydłem szybowcu, który płynie bezszelestnie pod białymi Cumulusikami!

Rodzice nie byli zachwyceni moim pomysłem latania! Ale miałem już osiemnaście lat. Nieraz to im przypominałem. Jeszcze nie wyrosłem z tego młodzieńczego buntu. Zastanawiałem się jak my możemy się tak różnić między sobą? Wydawało mi się, że nic nie mam po nich? A oni zawsze są tacy ostrożni wszystkiego się boją! Nic w nich niema z tego mojego charakteru! Oj dałem nieraz popisy mojego buntu. Nawet powiedziałem kiedyś, że chyba nie są moimi rodzicami! Żaden mój pomysł nie akceptują! Każdy mój entuzjazm hamują?

Wiem, jakie to było głupie z mojej strony? Ile błędów popełniałem w tym okresie 16 do 18 lat!

Kiedy już później miałem dzieci i wnuki to myślałem tak samo zachowawczo w stosunku do ich losu? Bałem się tak samo jak kiedyś rodzice o mnie?

Wreszcie nadeszła chwila ogłoszenia! Kto został przyjęty na kurs? Mnie nie wyczytano! Kobiety, którym pomagałem wypisywać dokumenty były też zaskoczone i zrobiło im się przykro?

To kardiolog odrzucił mnie! Kiedy zapytały lekarza, dlaczego? To powiedział, że z takim sercem o nierównym rytmie to niema mowy!

Byłem załamany!

Przypomniałem sobie, kiedy w młodości spadłem z huśtawki i babcia i ciotki orzekły, że mam chore serce!

Nie miałem dotychczas żadnych problemów ze zdrowiem, ale trudno widocznie będę musiał chodzić po ziemi!

*

Wskoczyłem na rower i z kolegami pojechaliśmy na Polanowice, Widawę!

W tej rzeczce można było się świetnie wykapać! Mój pies nie był zadowolony, kiedy wybieraliśmy się na dalszą wycieczkę. Chciał biec za nami. Ale musiałem go zamykać w domu. Zabierałem go za to zawsze na ogródek albo nad stawy Sypniewskich. Teresa też z nim chodziła. Murzyn był nauczony, że zawsze biegał bez smyczy!

•
•

Naprzeciwko moich okien kuchennych mieszka mały człowieczek. Widuję go nieraz na Mochneckiego, kiedy wraca z pracy. Pracuje on na kolei. Jego żona jest wyższa od niego o całą głowę. Kiedy idą razem wyglądają bardzo śmiesznie? Nazwaliśmy go, my chłopaki „kurdupel”, a ją „gidyja”. Zauważyłem będąc nieraz w naszej łazience, zza firanek, że ona sterczy oparta w oknie. Rozgląda się na wszystkie strony. A to co najdziwniejsze że widać zza niej kurdupla który jakby trzymał się jej pleców, cały czas podskakując.

Początkowo nie mogłem się zorientować, o co tutaj chodzi? Ale latem, kiedy na dworze cieplutko, ptaszki śpiewają i oni ciągle w tym oknie- to wreszcie mi zaświtało, o co tutaj chodzi, dlaczego on tak się nad nią znęca! Podziwiałem jego kondycję! Podziwiałem, że mogli codziennie na tym oknie! Ogarnął mnie jakiś niesmak i niechęć do nich!

Chodzenie z dziewczynami, czy migdalenie się w tramwaju, czy na ulicy nie wchodziło w grę! Opinia publiczna – patrzyła na ogół z dużą dezaprobatą na takie sceny.

Peszyły mnie osoby ciekawskim wzrokiem, nawet, kiedy tylko jechałem z dziewczyną.

Był taki okres, kiedy poznałem cygankę o imieniu Krystyna. Mieszkała ona z babcią chyba przyszywaną na Widawie, w domkach szeregowych, na pierwszym piętrze.

A poznałem ją któregoś dnia nad rzeką Widawa. Pojechaliliśmy we dwójkę z Jankiem Hausiem rowerami nad rzekę, ażeby raki wyławiać!

To zajęcie wymagało brodzenia po dnie i wyciągania spod kamieni tych raczków.

Wody tej rzeczki były bardzo czyste i płytkie, to też tych raków było zatrzęsienie

Przy rzeczce była łąka, niedaleko rosły pachnące akacje i zazwyczaj z okolicy dziewczyny i chłopaki przyjeżdżali rowerami albo przychodzili pieszo żeby się kąpać. Dziewczyny rozsiadały się w pobliżu wody i rozglądały się za chłopakami.

Można było zaobserwować też ciekawe sceny. Niedaleko, około 2 kilometrów znajdowała się ruska fabryka, a właściwie zakłady remontowe samochodów ciężarowych.

Pracowali tam Rosjanie wojskowi i cywile. Niektórzy mieszkali tutaj z żonami. Bardzo często żony ich przychodziły się tutaj kąpać. Początkowo wstydziły się rozbierać. My patrzyliśmy i nie wiedzieliśmy, dlaczego? Aż pewnego dnia się wszystko wyjaśniło. One po prostu nie miały strojów kąpielowych!

Ale kiedy sobie raz popiły, porozbierały się do halek. Agrafkami spięły je w kroku i tak weszły do wody.

My biliśmy im brawo! Po wejściu do wody, halki przykleiły im się do ciała. Wyglądały komicznie jakby były nagie.

Ale było lato, było wesoło, pachniały odekaony od tych rosyjskich dziewczyn i pomału się z nami oswajały.

Ja wtedy poznałem Krystynę. Siedziała z koleżanką na trawie w niedużej odległości, Wpatrywałem się w nią zauroczony! W jej egzotyczna urodę! Jej brunatna skóra, czarne oczy, zgrabna jak nimfa wodna. Cały czas zerkła w moja stronę. Zdobyłem się na odwagę i przysiadłem się do nich. Zapytałem na wszelki wypadek – Cześć dziewczyny, można się do was dosiąść? Jak macie ochotę- odpowiedziały? Przysiadłem na ich kocu, a Janek doszedł po chwili. Siadłem przy tej czarnej. Zauważyłem jak zgrabne ma nogi i jaką śniadą ma cerę. Oczy czarne jak dwa węgielki, uśmiech bardzo przyjazny.

- Ty chyba jesteś cyganką- zażartowałem. Ja jestem naprawdę cyganką! – Odpowiedziała.

Przyjrzałem się faktycznie cera, oczy, włosy się zgadzały, ale ubiór leżący obok wskazywał, że nosi się normalnie, kolorowo, dziewczęco

Ale piękne masz oczy –wykrztusiłem z zachwytem! Nie odpowiedziała nic. –Jak tobie na imię? – Zapytałem. Krystyna! – Pięknie tak swojsko – powiedziałem.

Czy bywasz tutaj często?- Zapytałem z niepokojem, ponieważ pierwszy raz ja widziałem i mogła tutaj znaleźć się przypadkiem. Janek Hausiu nieśmiało zaczął rozmawiać z jej grubą

Koleżanką. Ja tak byłem zauroczony nią, że pomyślałem ze strachem, iż mógłbym jej nie spotkać?

Krystyna wyczuwając moje myśli, odpowiedziała: - My tutaj blisko mieszkamy. Możecie nas odprowadzić! A jutro też będziemy tutaj! Zapytałem: - a o której godzinie przyjdziecie?

O 16 tej na ogół przychodzimy!

Nie czekając na odpowiedź Janka, wyrwałem się z własną ochotą i odpowiedziałem szybko:

- To również przyjedziemy na tą godzinę!
- Postanowiliśmy kawalek, w kierunku wsi Widawa odprowadzić dziewczyny. Szliśmy parami prowadząc nasze rowery. Krystyna szła jak zgrabna nimfa i cały czas zerkała w moją stronę. Zdawałem sobie sprawę, że nie wyglądam jak Rudolf Walentyno, ale miałem cichą nadzieję, że ją zauroczę moim gadaniem. Bo czyż to nie Cyranko de Bergerak, brzydal z długim nosem rozkochał w sobie kobiety rozmawiając z nimi pięknymi słówkami.
- Idąc tak obok niej czułem podniecenie, które trudno mi było nazwać. Miałem chwilami ogromną ochotę dotykać jej, przycisnąć ją do siebie, poczuć jej gorące, rozgrzane ciało do swojej piersi. Muszę stwierdzić, że pierwszy raz tak podziała na mnie dziewczyna. Że pierwszy raz oprócz romantycznego uniesienia ciągnęło mnie coś więcej do wspaniałej jakbyśmy dzisiaj powiedzieli seksownej kobiety!
- Rozmawialiśmy ciekawie, a właściwie to mówiła ona. Opowiedziała mi cały swój życiorys. Słuchając jej trudnych losów zrobiło mi się jej żal. Dowiedziałem się, że jest młodsza ode mnie o rok i że rodziców nie znała. Przez pewien okres mieszkała w domu dziecka a następnie wychowywała się u rodziny polskiej, u której nie miała słodkiego życia.
- Czułem, że zakochałem się już w niej. Trochę z litości, ale nie zaprzeczę, że jej czekoladowa karnacja i jej powabne kształty nie zrobiły na mnie piorunującego wrażenia.
- Odprowadziliśmy je w końcu na Poświsne pod sam domek, toteż miałem pewność, że nie traktuje mnie lekceważąco i że mam jakieś u niej szansę. Pokazała nam gdzie mieszka, zaprosiła nawet ażeby poznać jej babcię.
- Pożegnaliśmy się jednak i ruszyliśmy ulicą Żmigrodzka w kierunku naszych domów!

* * * *

Nową atrakcją dla młodzieży były organizowane zabawy „na deskach”, pod gołym niebem. Było we Wrocławiu kilka takich miejsc w mieście. Jedno mieliśmy na Karłowicach.

Bardzo szybko wyrobiły one sobie „złą sławę”, a to z powodu zbierania się tutaj w tych miejscach, różnej młodzieży i powstawania często bójek. Zdarzało się to na ogół pomiędzy stałymi bywalcami i przybyszami. Powodem do bójek mógł być każdy pretekst.

Moi koledzy na ogół unikali takich miejsc, szczególnie Edek S. Czy Janek H. Heniek K..., Ale ja w swojej dzielnicy czułem się dość swobodnie i bezpiecznie. Większość przychodzącej tutaj młodzieży, szczególnie chłopaków znałem chociażby tylko z widzenia się, czy to pod kościołem w niedzielę, czy też mojej bytności na porankach w kinie na Placu Gotwalda. Dlatego też spotykając się z Krystyną, chodziliśmy wieczorami po wałach odrzańskich i nieraz wstępowałyśmy na deski!

Tańczyliśmy często w tym tłumie. Orkiestry grały w tym okresie melodie do przytulania, stare przeboje, jak np., La Palma, Paproci kwiat albo Dwa małe serca darzą i. T. p. Zaobserwowałem u siebie zaangażowanie się uczuciowe do Krystyny. Znaliśmy się już dwa miesiące. Prawie codziennie spotykaliśmy się. Ciepłe letnie wieczory nastrajały nas romantycznie. Szukaliśmy ustronnych miejsc, gdzie mogliśmy się całować, przytulać być chał okowicie dla siebie! Jej gorące ciało i aksamitna skóra przytulone do mnie dawały mi taką absolutną pewność, że tworzymy jedno i że nasze uczucia do siebie są jednakowo gorące i szczerze!

Absolutną pewność, że tworzymy jedność i że nasze uczucia do siebie są jednakowo gorące i szczerze!

Stałem się jednak od pewnego czasu zazdrosny. Chodząc z nią na te potańcówki denerwowałem się, że mi ją podrywano! Była przecież piękną atrakcyjną dziewczyną. Najbardziej denerwowało mnie jednak to, że szła z każdym bez najmniejszego oporu, nie bacząc na to że sprawia mi ból!

W moim charakterze jest coś takiego, odziedziczyłem to pewnie w genach po ojcu, że muszę się kimś opiekować. Zwłaszcza, jeżeli ta osoba miała w przeciwieństwie do mnie trudne dzieciństwo, tak, jak np. Krystyna.

Wtedy, rodzi się we mnie taka chęć, ażeby otoczyć ją opieką i miłością! Ale, jeżeli ta osoba nie rozumie tych moich intencji, albo podchodzi do tego dość swobodnie – wtedy, moja miłość staje się zaborcza. Przypuszczam, że większość młodych ludzi podobnie reaguje... A nawet dopuszcza się brutalności w stosunku do swojej wybranki.

Ja to przeżywałem inaczej, ból zazdrości, ukrywałem i przeżywałem w samotności!

Coraz częściej zdarzały się takie historie, które wbijały się w moje serce jak zatrute sztylety.

Jeszcze nie tak dawno przemyślałem, czy nie ożenić się z cyganką, miałem już prawie 18 lat!

W domu, kiedy napomknąłem o tym pomysle, wysmiano mnie!

Co wpłynęło na to, że moja miłość w pełnym rozkwicie, zaczęła pomału umierać?

Pierwszy sygnał, który dał mi dużo do myślenia zdarzył się wkrótce!

Bywaliśmy nieraz z Krystyną na ulicy Zmigrodzkiej w lokalu „Pod Beczką”. Była to zwykła tancbuda. Chodziliśmy tutaj na tańce. Któregoś dnia na moją propozycję spotkania się, wykreśliła się jakimiś ważnymi sprawami! Niczego podejrzanego w jej stwierdzeniu nie zauważyłem.

W tym dniu spotkałem się z Jankiem. Lekcję z technikum miałem odrobione, pozostało mi tylko

wkucie metody Kremony z konstrukcji! Nie mieliśmy nic ważnego popołudniu do roboty,

postanowiliśmy zajrzeć, do tancbudy „Pod beczka”. Tłum młodzieży jak na ogół to bywało.

Nagle Janek szturchnął mnie i powiedział: - zobacz tam tańczy twoja Krystyna! Popatrzyłem w tym kierunku który mi wskazał i rzeczywiście ujrzałem ją rozbawioną w ramionach jakiegoś blondyna.

W pierwszej chwili chciałem odejść, ażeby mnie nie zauważyła. Ale uświadomiłem sobie, dlaczego mam uciekać. Przecież to nie ja skłamałem!

Dążyłem jednak do tego żeby mnie zobaczyła. Zbliżyliśmy się do nich. Właśnie przestali grać!

Kiedy mnie ujrzała zmieszana się i coś zaczęła tłumaczyć blondynowi? Chłopak nie odstępował jej na krok, trzymając ją dość poufale za kibić, jak starą znajomą!

Wściekłość mnie ogarnęła!. Chciałem mu dać już w mordę, ale pomyślałem że przecież to ona mnie okłamała, a on może być niczemu nie winien!

Popatrzyłem na nią pogardliwie, zwłaszcza, że trzymała go cały czas w pół i nie miała zamiaru zbliżyć się do mnie!

Wyszliśmy z Jasiem dość szybko, zostawiając ich i tancbudę za sobą.

Mijały dni, zawzięłem się i nie spotykałem się z Krystyną. Ona również nie dawała mi żadnych znaków przez koleżankę jak to uprzednio bywało.

Minęło pewnie około miesiąca. Jechałem tramwajem siódmką do miasta. W tramwaju było dość dużo ludzi. Była chyba godzina szesnasta. Nie było już miejsc siedzących, dlatego stanąłem po prawej stronie, trzymając się uchwyty. Gapiłem się na Odrę, na służę na ludzi idących ulicą, a właściwie po moście. Wrzesień był bardzo ciepły, toteż ludzie chodzili letnio ubrani.

Nagle wydało mi się, że przez okno ujrzałem Krystynę. Szła w kierunku miasta trzymając się za rękę, oczywiście z tym blondynem, z którym ją spotkałem w tancbudzie!

Zrobiło mi się gorąco na moment i żal targnął sercem, do tej pory jeszcze żywiłem jakąś nadzieję że, może się sprawa wyjaśni i znowu będziemy razem?

Rozum jednak mówił mi słowami A. Mickiewicza – kobieto ty puchu marny, kto cię zrozumie?

Ty stworzenie zdradzieckie!

Pomyślałem sobie wtedy, to już koniec!. Koniec tej miłości, weź się Janusz za naukę. Zaczęłeś czwartą klasę i trzeba już mocno wkuwać materiał, który nie jest łatwy? Przecież za rok matura i chcesz zostać Technikiem?

Pieniędzy nie mam dużo? Tylko niewielką sumkę, którą dostajemy od ojca jako kieszonkowe To znaczy Teresa i ja! Nie zarabiam już przecież. Tylko ojciec pracuje i utrzymuje całą naszą rodzinę.

Rezygnuje, przeto z wielu wycieczek organizowanych przez szkołę czy też z innych przyjemności!

Nieraz budzi się żal w sercu, że innych stać na wiele więcej?

Ale ogólnie nie widzę w moim otoczeniu wielu bogaczy i nikt z tym się nie obnosi. Ubiory mamy, jakie mamy i nie to jest najważniejsze! Jesteśmy szczęśliwi naszą młodością i mamy świadomość, że musimy czegoś nauczyć się ażeby w przyszłości zarabiać!

Chodzę nieczęsto na podwieczorki-prywatki, z własnymi płytami do znajomych dziewczyn i chłopaków. Niektórzy mają jeszcze gramofony na korbkę?

Płyty prawie każdy ma,poniemieckie marsze i taneczne-firmy Odeon!

W sklepach muzycznych też już można kupić firmy chyba Profit! I muza. Są to utwory wyk. Przez Folga i Martę Mirką i.T.p.

My mieszkańcy zza żelaznej kurtyny słyszeliśmy w radiu już inną muzykę? Czytaliśmy natomiast w gazetach jak to imperialiści amerykańscy i rewizjoniści Adenaura nam zagrażają i jaki szkodliwy wpływ ma na młodzież ta ich muzyka?

Ciągle wystosowywaliśmy apele o pokój organizowano kongresy obrońców pokoju?

Ale my zdawaliśmy sobie sprawę gdzie jest prawdziwa wolność i jaką muzykę tam lubi młodzież? Pieśni masowe pewnie są im wogóle nieznane? W radio można było posłuchać jazzu. Styl Nowy Orlean i dixilend oczywiście u nas dorabiano od razu ideologię? Jak to ci biedni murzyni musieli cierpieć? Zaczynały się u nich już początki Rock and Rolla?

Radio Luksemburg nadawało dość często te nowe kawałki !Zdarzało się również że władza wpuszczała zespoły amerykańskie? Miałem przyjemność być na koncercie w Hali Ludowej orkiestry Glena Millera!

Niektóre szczególnie studenckie zespoły próbowały tą muzykę zaszczepić na nasz grunt!

Szczególnie JAZZ! Moje radio odbierało wiele stacji zagranicznych, które chętnie przy nauce wyszukiwałem!

Nie przeżywam teraz żadnej wielkiej miłości mam tylko koleżanki, ale cały czas poświęcam na naukę!

Skończyły się żarty! Mam w planie 19 przedmiotów? Niektóre tylko przez semestr, ale jest to huk nauki? Mamy bardzo wymagających profesorów? Szczególnie prof. Łukomski od metaloznawstwa obróbki cieplnej i gospodarki smarami! Jego konik to wykres żelazo-węgiel i przemiany alotropowe! Bardo szybko złapałem u niego lufę, ale wtedy to pół klasy wpadło?

Jego ulubione powiedzonko to – kiepściuniu- panie Nowak! Postawny jak niedźwiedź opanowany jest prof. Kuzior! On wyklada statykę dynamikę itp., Ale również konstrukcję.

Liczmy różne mosty Kremony itp. On ma system wykładania politechniczny. Gada powoli i spokojnie a ty bracie zapisuj co chcesz! Prof. Zuber to uosobienie słodyczy i spokoju matkuje nam, toteż lgniemy do niego jak kurczęta do kwoki! Matma już nie pamiętam prof. Ale wykłady są zrozumiałe z przedmiotów fachowych to mam Kalkulacja połączeń spawanych, Organizacja produkcji, spawanie i pomiary, spawanie elektryczne spawalnictwo ogólne, elektrotechnika ogólna!

Ponieważ mam być technikiem specjalistą od spraw spawalniczych to mam te przedmioty.

Mamy też klasy odlewnicze i obróbkę skrawaniem! Ja sam wybrałem kierunek spawalniczy ponieważ jest to kierunek nowoczesny?

Mamy też przedmioty ogólne, które mają wszystkie klasy to znaczy: Język polski, język niemiecki, nauka o Polsce. Zajęcia warsztatowe, części maszyn , konstrukcje spawane, mechanika techniczna, metaloznawstwo i sprzęt spawalniczy!

Taki olbrzymi materiał mam do przerobienia a jeszcze trzeba dodać, że mam bardzo daleki dojazd?

Dojeżdżałem do mojego technikum na ulicę Poznańska dzień w dzień a nawet w niedzielę do Pafawagu gdzie miałem zajęcia praktyczne ze spawania elektrycznego!

Nie była to sprawa prosta, ponieważ na dotarcie do szkoły potrzebowałem prawie godzinę! I tak to wyglądało: od domu do pętli tramwajowej na Karłowicach 15 minut dość szybkiego marszu. Z pętli tramwajem linii 7, który jechał na Krzyki poprzez ulicę Trzebnicką, Pomorską!

Dojeżdżałem w rejon Rynku a dokładnie na ulicę Mikołaja. Tutaj przesiadałem się na tramwaj, który jechał przez Plac 1 Maja, ulicą Legnicką w kierunku Pilczyc. Jechało się przez pustkowie po odgruzowanych ulicach bez domów. Widziało się tylko hasło "Cały naród Buduje swoją stolicę"

Cegły rozbiórek wywożono wagonami na Warszawę. Wrocławia w tym czasie prawie się nie odbudowywało. Jedyne pożytkiem z tego to taki, że, znikają gruzowiska! Zawsze na tej trasie od placu, przed oczami roztaczały się wielkie puste przestrzenie!

Mijając ulicę Młodych Techników można było zobaczyć pojedynczy czerwony Gmach technikum Elektrycznego, do którego zresztą chodził mój kolega a zarazem kuzyn Edka, czyli Marian Różyński z Ostrzeszowa.

Mam dobrą pamięć, szczególnie wzrokową, toteż starałem się być na wszystkich lekcjach i zapamiętać maksymalnie ile się da z wykładów. Po powrocie do domu zjadałem szybko obiad przygotowany przez mamę i jeżeli pogoda jesienna pozwalała zabierałem swoje notatki i książki na ogródek i tam na wolnym powietrzu powtarzałem, co trudniejszy materiał!

Czułość na lekcjach, kiedy każdej chwili można było być wezwanym do tablicy wymagała poznania materiału i ogromnego skupienia. Co jak się trochę później okaże nie uchroniło mnie od kilku wpadek?

Ja dotychczas pierwszy uczeń zdobywający uznanie u Baranowej prawie bez wysiłku byłem szczęśliwy, kiedy udało mi się tutaj zdobyć trójkę?

Dotychczas jeszcze tak nie harowałem!

Zbliżała się zima! Prasa i radio podawały co się u nas w kraju w tym czasie wydarzyło. W październiku odbył się pokaz pierwszego wyprodukowanego w Polsce autobusu Star-50. A w Warszawie pierwsze samochody osobowe M20 Warszawa ,opuściły taśmę montażową Fabryki samochodów Osobowych na Żeraniu, był to odpowiednik ruskiej „Pobiedy” Również w Warszawie wyprodukowano pierwszy motocykl SHL125.

W gazecie też ukazała się wzmianka, na co specjalnie nie zwróciliśmy uwagi! Że odbył się pierwszy pokaz audycji telewizyjnej. Później Wiech napisał, że jest to „radio z lufcikami” Nie było jeszcze w sprzedaży porządnych odbiorników typu superheterodyna naszej produkcji a i tak wszystko było na talony dla zasłużonych i bonzów partyjnych!

Ukazały się ruskie rowery w sprzedaży, ale tylko dla nielicznych? Ludzie mówili że nic nie warte na ołowianych kulkach? To nasze poniemieckie jeszcze się spisywały. Chociaż jeden mi się złamał w ramię, Kiedy jechałem na Widawę!

Sypnął wreszcie pierwszy śnieg! Dojazdy zrobiły się bardziej nieregularne! Musiałem z domu wychodzić wcześniej ażeby nie spóźnić się do szkoły! Nigdy nie lubiłem zresztą się spóźniać? Na przystankach długo nie stałem, ale w tym moim skromnym odzieniu z kolejowego materiału trochę marzłem?

Dobrze, że zima na razie nie jest ostra i mroźna? Minęło półrocze w szkole! Zarobiłem trzy dwójki? Trzeba jeszcze więcej czasu poświęcić na przetrawianie materiału! Rozwiązuje wiele zadań z matematyki! Problem w tym, że nie mam się, z kim uczyć? Zawsze uczyliśmy się we trójkę albo w dwójkę! A tutaj koledzy dopiero, co poznani mieszkają każdy w innej stronie! Nikt nie dojeżdża z Karłowic ani Różanki?

Byłem na bazarze na ulicy Krakowskiej. Znam tą dzielnicę. Często tutaj w kinie Tęcza udawało się kupić bilety na film, kiedy w innych było to niemożliwe? Chyba, że od koników? Ulicą Trauguta dojeżdżałem również na Niski Łąki gdzie trenowałem loquatletykę i szczególnie biegi, ale to było w czasie, kiedy chodziłem do szkoły kolejowej! Tym razem pojechałem na bazar, bo od kolegów z klasy, dowiedziałem się, że tam można wiele towarów od ruskich kupić! Kupiłem suwak logarytmiczny, który w technikum był podstawowym narzędziem do obliczeń technicznych! Zaciekały mnie również odbiorniki radiowe ruskie "Rekordy", nowoczesne wielozakresowe? „Ale niestety bardzo drogie! Nie nasze możliwości przy naszym oszczędnym trybie życia!

Deskę kreślarską mam z poprzedniej szkoły jak również przykładnice!
Nowy nabytek sprawia radość toteż dużo na nim ćwiczę.
Zima jest nadal łagodna. Moja codzienna trasa jak zwykle. Przesiadki z niebieskiego tramwaju do tramwaju. Wsiadka przy bunkrze na Strzegomskiej, podwórko i moja szkoła. Klasa czwarta F jest na drugim piętrze. To właśnie moja klasa spawalnicza!
Moi nowi koledzy. Siedzimy blisko siebie. T Heniek Orzechowski i Mirek Licewicz.

*

Mamy choinkę pachnącą. Trochę chuda! Ojciec przywiózł z pracy 1 wstawiamy dwie gałązki i już jest foremna. Ubieramy ja we trójkę. Teresa, Zygmunt jej brat i ja!
Zawieszamy resztki pozostałych bombek łańcuchy naszej roboty i czerwone jabłuszka oraz cukierki!
Edek Sypniewski powiedział mi, że na Święta Bożego Narodzenia przyjedzie jego kuzynka Krystyna z Katowic z mamą i ojcem dentystą! Młoda jest ta jego kuzynka! Podoba mi się też jego kuzynka z Ostrzeszowa Ola jest ona siostrą Mariana, który u nich mieszka!
To zapowiada się, że będzie wesoło! Już kiedyś byłem u nich na takim przyjęciu i śpiewaliśmy kolędy! A grali nam Bogdan, jego wujek Wojciech Wasiółka muzyk zawodowy! Przywitaliśmy Też Nowy 1952 Rok lampkami wina domowej roboty! Po nowym roku wszyscy rozjechaliśmy się do swoich szkół. Edek wrócił do Salezianów do Ostrzeszowa. On też robi w tym roku maturę!
W Styczniu opublikowano Projekt Konstytucji PRL-u oraz niby to ogólnonarodowej dyskusji nad tym projektem.
Również podano do wiadomości, że „bratni Związek Radziecki” chce nam wybudować Pałac Kultury w Warszawie na wzór budowanych u siebie!
Zima pomału odchodzi! A ja pracuje jak tytan? Poprawiłem” lufy” z przedmiotów zagrożonych! Z metaloznawstwa u „kiepsciunia” zdałem egzamin kontrolny na pięć? Ale powiedział- No, no dzisiaj należy się ”pięć”, ale przedtem była „dwójka”, więc będzie” cztery”!
Byłem szczególnie dumny z siebie! Nie wszystkim tak się udało!
Już coraz częściej mówiono nam o egzaminie maturalnym! Wiadomo, że to się też nazywała Świadectwem Dojrzałości. Przepustką w samodzielne życie i nową pracę!
O metodach spawania, nowoczesnego konstruowaniu i obliczania mówiło się dużo. Choć nikt z nas nie wiedział gdzie zostanie rzucony do pracy? Obowiązywały „nakazy pracy”. To znaczyło, że każdy młody technik był kierowany przymusowo tam gdzie w Polsce było takie zapotrzebowanie.. Był to też dreszczyk emocji i pytanie- gdzie też mnie po skończeniu szkoły- los rzuci na samodzielne życie?
W marcu skończyłem dziewiętnaście lat i pierwszy raz wyjadę może daleko od domu?
Na dworze coraz cieplej! Wrocław jest piękny w kwiatach kwitnących drzew. Ptaki śpiewają. Przyroda zbudzona i w nas nowa energia!

Na jedną z lekcji przyszli werbownicy z Państwowej Fabryki Wagonów we Wrocławiu. Opowiedzieli nam, jakie wagony produkuje fabryka a mianowicie, wagony towarowe, osobowe i lokomotywy elektryczne wspólnie z fabryką M-5, czyli Dolmenem! Powiedzieli, że fabryka potrzebuje młodych ambitnych techników różnych specjalności? Nie zgłosiłem się, chociaż byli chętni wśród nas! Jeszcze nie wiedziałem wtedy, że po wielu Perypetiach i tak wyląduję w Pafawagu?

Miałem jeszcze zobowiązania wobec ZNTK. To naczelnik urlopował mnie na okres trwania szkoły! Byłem nadal pracownikiem kolei! Nie miałem wielkiej ochoty ażeby wrócić na warsztaty kolejowe gdzie pracował mój ojciec i wszyscy mnie znali od lat chłopięcych. Zakładałem, że nie będę miał takiego autorytetu. Przy moim dziecięcym wyglądzie!

Nadeszły wreszcie te dni! Pogoda była piękna! Ciepło słonecznie, uroczyście? Wyznaczono dni na egzaminy ustne! W pierwszym j. polski a w drugi matematyka. Przyszliśmy zestresowani chyba na godzinę dziewiątą. Na dużej Sali sportowej ustawiono stoliki w dość dużych odległościach od siebie!

Rozdano tematy i zaczęliśmy pisać! Pamiętam, że temat mi odpowiadał tak, że pisałem na dużym luzie. Od dawna czułem się w polskim mocny? Następny dzień matma! Po dwudniowej przerwie ustny! Ten mi się wrył w pamięć ze względu na wiele przedmiotów i długie oczekiwanie na swoją kolej?

Od rana na korytarzu pod drzwiami Sali gdzie siedzieli egzaminatorzy! Wpuszczano po pięciu!

Chyba o 16 tej zostałem wywołany! W sali kilka komisji egzaminacyjnych. Czekano aż się zwolni miejsce i wtedy podchodziło się. Wybierało się kartkę z pytaniem i na siedząco można było po zastanowieniu odpowiadać osobom, które tam siedziały! Byli tutaj również nasi nauczyciele! Matematykę, zadania rozwiązywało się przy tablicy!

Nie wiem jak długo tam przebywałem zanim obszedłem wszystkie stoliki? Wydaje mi się że odpowiadałem dobrze? Ale nigdy się nie wie do końca, jakie postawiono stopnie. Wiem, kiedy wychodziłem ze szkoły, jeszcze trochę gadania było na korytarzu to już się ściemniało i dopiero wtedy odczułem głód po całym dniu napięcia nerwowego?

Dopiero za dwa tygodnie będą wywieszane wyniki i zacznie się rozdawanie świadectw! Nie czułem jednak wielkiego niepokoju przez ten czas, bo wiedziałem, że ciężko pracowałem Na ten dyplom i świadectwo dojrzałości!

Wreszcie mam! Czytam: Świadectwo Dojrzałości nr 29 A na górze: Technikum Budowy Wagonów Ministerstwo Przemysłu Maszynowego we Wrocławiu oraz poniżej: uzyskał prawo używania tytułu Technik Technolog kierunku Spawalniczy. Wrocław 28 maja 1952 roku. Podpisy członków komisji.

Z wielką dumą jechałem do domu, wiedziałem, że ojciec będzie bardzo wzruszony! A matka i Teresa oraz Zygmunt przyjmą to z aprobatą!

*

Dostałem nakaz pracy do Blachowni? Załamanie! Nie! Nie chcę tam jechać! Piszę prośbę o zmianę nakazu z podaniem nowego pracodawcy? Pafawagu! Otrzymuje zgodę! Również Naczelnik ZNTK pan inż. Krawczyński przychylił się do mojej prośby i rozwiązuje z zemną umowę o pracę! I ten to sposób zaczynam w sierpniu swoją karierę Technika w Pafawagu na wydziale kontroli technicznej. Wydziału W-7 produkcja węglarek i wagonów towarowych w systemie trzymianowym!